

DARIUSZ SZPAKOWSKI I SŁUŻBY
CO NAPRAWDĘ JEST W AKTACH SB?



MINISTER KULTURY, CZYLI „TERAZ, KU...A, MY"



UWAGA, REGERMANIZACJA! POLAKOŻERCA W KOSTRZYNIE



SYNOWIE JAKO KURY DOMOWE

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

6 (688) 2026
2–8 lutego 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

BEZBOŻNICY BRAUNA

DRUŻYNA BRAUNA

OBOK GŁĘBOKO WIERZĄCYCH POD ZNAKIEM GAŚNICY ZBIERAJĄ SIĘ NEOPOGANIE, SATANIŚCI I WYZNAWCY NEW AGE. LIDER KORONY NIE MA OPORÓW, BY IŚĆ Z NIMI PO WŁADZĘ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
06
9 772544 269601
Numer w sprzedaży do 9 II 2026 r.

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Wybierz swój Paczkomat®
i czytaj SIECI
już w poniedziałek



Zyskujesz też możliwość czytania SIECI na telefonie



- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** SIECI i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 16b4bd8393

Ostatni dzwonek

W dniu finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy zebrana suma znów była trochę wyższa niż w zeszłym roku i wyniosła ponad 183 mln zł. A więc formalnie znów rekord – z zastrzeżeniem, że ostateczna suma zbiórki będzie znana w marcu. Ale na tym kończą się dobre wiadomości związane z tą liczącą już sobie 34 lata akcją pomocy chorym dzieciom. Bo w tym roku finał WOŚP nie wywołał szerszego poruszenia społecznego, a można nawet powiedzieć, że dało się zauważyć oznaki społecznego chłodu. Np. w Białymstoku, dużym mieście wojewódzkim, w momencie, gdy puszczano „światełko do nieba", pod sceną spacerowało zaledwie kilka osób. Podobne nagrania napłynęły z innych miast, np. z Kędzierzyna-Koźla. W wielu miejscach, np. w Zbąszynku, w ogóle nie utworzono sztabów WOŚP, powołując się na nikłe zainteresowanie wolontariuszy. Liczne relacje mówią o braku kwestującej młodzieży w miejscach, w których zazwyczaj było głośno od puszek wypełnionych monetami.

Mroźna pogoda nie jest w tym przypadku usprawiedliwieniem, bo przecież dekadę czy dwie temu też bywało zimno i wietrznie, a jednak WOŚP aż furczała, napędzana autentyczną energią i zaangażowaniem setek tysięcy Polaków. Przyczyny relatywnego załamania są inne. Przede wszystkim to błędy bądź świadome decyzje samego lidera akcji Jerzego Owsiaka. Zaangażowanie polityczne WOŚP nie jest sprawą nową, prawicowe media opisywały je od lat. Były to jednak działania poboczne, raczej metapolityczne. W kampanii w 2023 r. pękły wszelkie bariery. Wywieszono setki plakatów, w którym zapowiadano walkę ze „złem", czyli – co było jasne dla niemal każdego – z rządem Prawa i Sprawiedliwości. Równie duże znaczenie miało prześladowanie emerytki, która w mediach społecznościowych napisała pod adresem Jerzego Owsiaka: „Giń, człowieku", co w absurdalny sposób potraktowano jako rzeczywistą groźbę zastosowania przemocy. Kobietę skazano na pół roku więzienia, choć ludziom wprost wzywającym do zabójstwa Jarosława Kaczyńskiego nigdy nie spadł nawet włos z głowy. To sprzężenie moralnie wzmożonej akcji charytatywnej z brutalną nadreakcją państwa stało się dla wielu Polaków po prostu niestrawne. Tym bardziej że sam Jerzy Owsiak nie umie bądź nie chce skorygować twardego kursu, który podcina najważniejsze fundamenty przedsięwzięcia, któremu przecież poświęcił życie.



Ale chłód towarzyszący WOŚP ma także jeszcze jeden aspekt: dzisiejsza młodzież to dzieci tych, którzy uwierzyli w hasło „Róbta, co chceta". O ile 10 czy 20 lat temu coroczna zbiórka charytatywna stanowiła wygodne i niedrogie narzędzie uspokojenia sumień i pozwalała na zdobycie „papierów na moralność", o tyle dziś nie ma już tylu zainteresowanych taką transakcją. To już inny świat, dużo bardziej egoistyczny, brutalny, cyniczny. Tak to jest z wartościami, które się zużywa, ale których realnie się nie odtwarza, i które się atakują: powoli umierają i nie da się już ich reanimować, choćby na jeden dzień w roku.

Trzeba dodać, że innym, również ważnym echem hasła „Róbta, co chceta" – rozumianego szeroko jako „program wychowawczy" III RP – jest zapaść demograficzna. Oczywiście zawsze znajdą się tacy, którzy będą przekonywali, że nic z niczym się nie łączy, ale nie ma wątpliwości, że ludzie, których nauczono żyć według impulsów i emocji są znacznie mniej zdolni do budowania trwałych relacji. A tylko w ramach trwałych relacji dzietność może się utrzymać na przyzwoitym poziomie, zapewniającym narodowi przetrwanie. Dzieci zniknęły z krajobrazu życia milionów Polaków z pokolenia WOŚP, więc hasło wsparcia leczenia najmłodszych traci siłę mobilizacyjną. Może czas na akcję wsparcia leczenia „psieci"?

I jeszcze jedno. Sądzę, że narastanie społecznej obojętności wokół WOŚP jest także związane z dojrzewaniem przynajmniej części naszego narodu, który rozumie, że droga do sprawnej służby zdrowia nie wiedzie przez akcje pospolitego jednodniowego ruszenia, ale poprzez sprawne, zasobne państwo. Kilka lat rządów PiS, a więc partii, której Jerzy Owsiak wyjątkowo nie lubi, pozwoliło na podwojenie budżetu NFZ. Dwa lata rządów ulubieńców Owsiaka przyniosły cięcia w wydatkach na odżywianie i zamykanie licznych oddziałów, a wkrótce także całych szpitali.

Podsumowując: to ostatni dzwonek, by Jerzy Owsiak przemyślał, dokąd prowadzi tak cenioną akcję kiedyś. Czy jest w stanie to zrobić?

Jacek Karnowski

Autopromocja

SIECI

spis treści



30 Klasa lekkopółśrednia
Konrad Kołodziejski



38 Ksiądz Jerzy utopiony dwa razy?
Z Mileną Kindziuk rozmawia Goran Andrijanić



44 O czym marzy Ukraina?
Marek Budzisz

NA POCZĄTEK

5 **FARSA GRENLANDZKA I ZACHÓD**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **BEZPIECZNY JAK ŻUREK**
Dorota Łosiewicz

9 **NIEMCY I GLOBALNE POŁUDNIE**
Marta Kaczyńska-Zielińska

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **MATKA WSZYSTKICH PUŁAPEK. VON DER LEYEN SPRZEDAJE EUROPĘ INDIOM**
Daniel Obajtek

13 **TWEET O ZŁOCIE – NERWY PRZY SKARBCU**
Arkadiusz Mularczyk

13 **WIĘZIENIE ZA ŻYCZENIE**
Samuel Pereira

14 **WALIZKA WACŁAWA POKRZYWNICKIEGO**
Michał Korsun

16 **KATASTROFALNY BUDŻET… I CAŁA RESZTA!**
Jan Pietrzak

17 **ZIMA JAK ZA GIERKA**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

18 **BEZBOŻNICY BRAUNA**
Łukasz Wróblewski

KRAJ

22 **CIENKOWSKA, CZYLI „TERAZ, KU…A, MY”**
Maciej Walaszczyk

25 **PRÓBY REGERMANIZACJI, CZYLI FRYDERYK II W KOSTRZYNIE**
Piotr Gursztyn

28 **PREMIER Z KOMPLEKSÓW**
Stanisław Janecki

30 **KLASA LEKKOPÓŁŚREDNIA**
Konrad Kołodziejski

33 **PAPIER TRUDNIEJ OCENZUROWAĆ**
Z Krzysztofem Skowrońskim rozmawia Jerzy Szmit

38 **KSIĄDZ JERZY UTOPIONY DWA RAZY?**
Z Mileną Kindziuk rozmawia Goran Andrijanić

ŚWIAT

41 **MAŁA AMERYKA W DAVOS**
Dariusz Matuszak

44 **O CZYM MARZY UKRAINA?**
Marek Budzisz

47 **BERLIN Z RZYMEM KONTRA PARYŻ Z WARSZAWĄ, CZYLI KTO WYGRA BITWĘ O HANDEL**
Jan Rokita

50 **SYN – KURA DOMOWA**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

52 **RANDKA ZE SZTUCZNĄ INTELIGENCJĄ**
Grzegorz Górny

HISTORIA

54 **CASUS DARIUSZA SZPAKOWSKIEGO**
Grzegorz Majchrzak

SIECI KULTURY

57 **TO PO PROSTU JESTEŚ TY**
Jolanta Gajda-Zadworna

59 **SUMMA POLITYCZNYCH GIER**
Maciej Walaszczyk

60 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

SPORT

62 **25 HEROSÓW NA 25 LAT**
Michał Muzyczuk

PODRÓŻE

66 **MOJE SZLAKI: LUCIE TOURNEBIZE, GUILLAUME DUTREIX**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

67 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

68 **HEREZJA SAMOZBAWIENIA**
Robert Tekieli

70 **DOKĄD ZMIERZAMY?**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **DWIE POLSKI**
Aleksander Nalaskowski

73 **WOLĘ NASZE METEORY NIŻ OBCE GWIAZDY**
Ryszard Czarnecki

74 **URZĄDZENIE, KTÓRE UNIEWAŻNIŁO SZKOŁĘ**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl 16b4bd8393

BRONISŁAW WILDSTEIN

Farsa grenlandzka i Zachód

Liberalno-lewicowy establishment rozpętał histerię wokół wypowiedzi Donalda Trumpa na temat Grenlandii. Można mieć zastrzeżenia do retoryki amerykańskiego prezydenta i jego arogancji. Tyle że jego płomienni przeciwnicy zachowywali się gorzej wobec krajów „nowej Europy", jak (faktycznie pogardliwie) nazywane są państwa, które przystąpiły do Unii po upadku bloku sowieckiego. Emmanuel Macron zadeklarował, że „Polska nie wytycza przyszłości Europy dzisiaj ani nie będzie jej wytyczać jutro". Była to niejako kontynuacja wypowiedzi wcześniejszego prezydenta Francji Jacques'a Chiraca, który przy innej okazji stwierdził, że Polska „straciła okazję, aby się zamknąć". Macron oświadczył m.in., że nie interesują go opinie polskiego premiera Mateusza Morawieckiego, „skrajnie prawicowego antysemity, który wyklucza osoby LGBT+".

Śledząc europejskie media, można odnieść wrażenie, że Amerykanie najechali na rdzenne ziemie Danii. Pomimo werbalnego antykolonializmu europejscy komentatorzy nie dostrzegają, że Grenlandia jest kolonią. Przede wszystkim jednak USA jej nie napadły, a ich prezydent powiedział jedynie, że wobec globalnego konfliktu tylko Stany mogą zapewnić wyspie bezpieczeństwo, co ma fundamentalne znaczenie dla światowej rozgrywki.

Ten wymiar sprawy jest ogólnie pomijany przez europejskie ośrodki opiniotwórcze. Macron, któremu sekunduje ich większość, ogłasza, że należy rozważyć rekonfigurację sojuszy i zastąpić Stany Chinami. I to jest clou sprawy. Ten sam Macron jeszcze przed grenlandzką komedią odwiedził Pekin, proponując intensyfikację relacji gospodarczych między UE a Państwem Środka, w tym współpracę w ramach tworzenia sztucznej inteligencji. Nikt go do tego nie upoważnił, ale nie wywołało to protestów w Europie. A rzecz dotyczy sprawy fundamentalnej dla militarnej technologii. Konflikt między Stanami a Chinami, największym sojusznikiem Rosji, która najechała Ukrainę, narasta, ale francuskiemu prezydentowi w niczym to nie przeszkadza. Wyraźnie nie czuje on większego związku z Waszyngtonem niż Pekinem.

Rzecz nie dotyczy wyłącznie tradycyjnej antyamerykańskości Francji, jak chcieliby to widzieć nawet rozumni polscy komentatorzy. W przeważającej mierze establishment zachodni, w tym polski, nie rozumie specyfiki zachodniej tożsamości i potrzeby solidarności, która z niej wynika. To efekt dominującej dziś ideologii emancypacji kształtującej postępowanie również tych, którzy ideami się nie interesują. Polityka wypływa z głębszych kulturowych źródeł, choć równocześnie sama na nie oddziałuje. Ta elementarna zasada jest dziś w niewielkim stopniu rozpoznana, tak jak i ideologia emancypacji, która głęboko formatuje mentalność ludzi Zachodu.

Jest ona budowana na kontrze do tradycyjnej zachodniej kultury, z której mamy się wyzwalać. Nawet w swoim umiarkowanym wydaniu akceptuje cywilizację europejską wyłącznie jako trampolinę, która umożliwiła osiągnięcie współczesnego stanu, a zatem nie jest dalej potrzebna. Ogólnie uznawana jest za domenę patriarchalnej przemocy oraz wszelkich zmór postępowej psychiki. To główna przyczyna, dla której tak chętnie akceptuje ona sprzeczny wewnętrznie koncept wielokulturowego społeczeństwa i liczy, że reprezentanci innych cywilizacji rozsadzą zachodnią tożsamość.

Postawa ta kwestionuje fundament zachodniej wspólnoty, a układy łączące funkcjonujące w niej państwa przekształca w doraźne sojusze polityczne. Przy takim podejściu wybór między Moskwą, Pekinem a Waszyngtonem staje się kwestią arbitralną.

Rzecznicy establishmentu zachodniego zaprotestowaliby, wskazując, że odwołują się do wartości, takich jak wolność, prawa człowieka, demokracja, pluralizm czy tolerancja. Zgodnie jednak z nową ideologią terminy te zaczynają oznaczać zaprzeczenie swojego tradycyjnego sensu. Ustawodawstwo skierowane przeciw tzw. mowie nienawiści i w obronie poprawności politycznej cenzuruje wolności polityczne i narzuca jedyny zestaw dopuszczalnych idei. Prawa człowieka zaczynają oznaczać preferencje najbardziej wpływowych. Demokracja liberalna zmienia ludowładztwo w oligarchię, a w imię pluralizmu i tolerancji następuje ich faktyczne zakwestionowanie. Brutalna agresja rosyjska wywołuje jeszcze masowy odruch sprzeciwu, ale próba utożsamienia „imperializmu" amerykańskiego z rosyjskim czy chińskim pokazuje, że humanitarne odruchy w praktyce politycznej coraz bardziej pozbawione zostają znaczenia.

Zdaje sobie z tego sprawę Trump, dlatego odwołuje się do krajów, dla których – jak dla Polski – tożsamość zachodnia ciągle jeszcze stanowi wartość. Sojusz z nimi może być ufundowany na trwałych postawach, a więc nie zależy od doraźnych koniunktur – inaczej niż w przypadku demokracji liberalnej, w której panowanie obecnej oligarchii legitymizowane jest ideologią. Prezydentura Trumpa stanowi dla niej zagrożenie, przeciw któremu gotowa jest ona sprzymierzyć się nawet z Chinami.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 16b4bd8393



Sygnalista nadaje

Doszło do dziwnego spotkania: Jego Ekscelencja ***Radosław Sikorski*** udał się do tego Nawrockiego, który jest domniemanym prezydentem. Spotkanie się odbyło w atmosferze. Niestety chyba bez awantur, bo nawet potem Ekscelencja Radosław nie napisał nic ostrego pod adresem człowieka, który ukradł wybory prezydentowi naszych serc Rafałowi. Demokratyczna opinia publiczna jest tym wstrząśnięta, a może nawet trochę zmieszana. Szkoda, że Radosław nie postąpił tak jak pan Konwiński ze Słupska. To człowiek, który wprawdzie kiedyś przegrał z Robertem Biedroniem, ale teraz heroicznie odmówił wizyty w pałacu prezydenckim na zaproszenie tego okropnego Batyra. Heroiczna była też odmowa Anki Maryśki Żukowskiej. Ona też nie pojechała do pałacu, bo powiedziała, że lepsze ciasteczka i kawę ma u siebie w domu. To wiadomo – Włodek nie będzie jadł i pił byle czego.

Podobno ministrowie uśmiechniętego rządu po cichu przyjeżdżają do tego strasznego Batyra, więc chyba te ciasteczka i kawa u niego nie są najgorsze. Ale przyjeżdżają tak, żeby nikt ich nie widział. Podobno jest wśród nich Marcin „Pogłos” Kierwiński. To niedobrze, że tam jeździ, ale dobrze, że potajemnie. Czego oczy nie widzą, tego demokratycznemu sercu nie żal.

Nawrocki chce prowadzić prezydenturę na kontrze do warszawskich mediów i w ogóle wbrew całej warszawce – czytamy w jednej z gazet. Ale jak to? To tak można? Czy to znaczy, że on nie będzie się przejmował tymi komentarzami autorytetów moralnych? Na listy otwarte intelektualistów krakowskich też nie będzie reagował? Szok i niedowierzanie!

Najgorsze jest to, że ten Nawrocki w nic nie wierzy. Nawet w św. Jurasa, patrona walki z sepsą. Pożałował świeczki na Chanukę, a teraz poskąpił tradycyjnych datków na święto Złotego Melona. Chytrus Batyr nic nie dał św. Jurasowi. Kręgi demokratyczne debatują, czy to dobrze, czy źle. W sumie dobrze, bo Nawrockiemu można znowu dowalić. A i tak spotka go kara, bo nawet dziecko (oczywiście demokratyczne) zna przysłowie, że kto bluźni św. Jurasowi, tego spotka kara sześciu miesięcy w zawieszeniu na rok. W sprawie obrazy uczuć wobec św. Jurasa sądy być może nie są zbyt sprawiedliwe, są za to bardzo surowe, o czym przekonała się jedna emerytka z Torunia. Jeśli tak jej zależało na wolności wypowiedzi, to nie musiał pisać w internetach o św. Jurasie, ale mogła publicznie mówić o żołnierzach, że są psami i śmieciami. Wtedy by nie było kary. A może nawet byłaby nagroda – np. w postaci własnego programu w TVP w likwidacji (nieustającej).

Wracając do współczesnego wcielenia Talleyranda, Metternicha i Gromyki, czyli Radka Sikorskiego, to trzeba stanowczo zaprotestować przeciwko haniebnej zniewadze, która go spotkała. Niejaki Elon Musk, biały Afroamerykanin z RPA, nazwał Radosława „zaślinionym imbecylem” (dobrze, że nie debilem, bo to słowo jest zarezerwowane dla Romana). Musi być za to kara! Trzeba wprowadzić sankcje wobec SpaceX i Tesli. Także zakaz

eprasa.pl 16b4bd8393

korzystania z platformy X oraz zakaz wjazdu Muska do Polski. Nie pozbiera się po tym. Przydałby się też pozew o zniesławienie przygotowany przez mecenasa Giertycha. Art. 212 i przesłuchanie przez prokurator Ewę Wrzosek!

Waldek Żurek – mistrz kierownicy! Wirtuoz jazdy Maluchem, traktorem i motocyklem. Nauczył się tego wszystkiego w technikum dla drwali. Nie znaliśmy go od tej strony, bo się nie chwalił. Taki to skromny człowiek, który nie chwali się też swoim ubogim dobytkiem. Poznaliśmy jego mistrzostwo, gdy łaskawie darował życie jakiejś babie, która wtargnęła na przejście dla pieszych, nie ustępując pierwszeństwa maluchowi kierowanemu przez Naczelnego Drwala Praworządności. Ponieważ prawo musi być równe dla wszystkich, babsko surowo za to odpowie. W internetach pojawiła się wiążąca ekspertyza na ten temat: „Z dogłębnej analizy materiału filmowego wynika, że minister Żurek miał na pasach pierwszeństwo" – podobno wypowiedział ją prof. Zoll w stacji Tefałen. Wypowiedź jest tak piękna, że aż chcemy wierzyć, iż prawdziwa, bo całkowicie się z nią zgadzamy. Pozostaje jednak niepewność i niepokój, czy to prawackie trolle nie spreparowały jej za pomocą sztucznej inteligencji.



O tym, ile ma jeszcze pracy przed sobą minister Waldek Żurek, świadczy przykry incydent, który zdarzył się w Sądzie Rejonowym Warszawa-Śródmieście. Miał tam być rozjechany Jarosław Kaczyński za to, że wypowiedział złe słowo przeciwko Krzysztofowi Brejzie. Sąd nie dorósł do swej roli i umorzył postępowanie przeciw Kaczyńskiemu ze względu na niską szkodliwość społeczną. Pseudosędziowie (do ustalenia, czy neo-, czy paleo-) nie zrozumieli podstawowej prawdy, że wszystko, co robi Kaczyński, ma wysoką szkodliwość społeczną. Na szczęście jest apelacja w Sądzie Okręgowym, czyli miejsce, gdzie nie będzie żadnego losowania przypadkowych sędziów ani innych takich głupot. Tam Kaczyński zostanie rozliczony przez praworządność, tak jak ją rozumiemy.



Skokowo wzrosła sprzedaż mikroskopów. Kupują je kibice śledzący walki w partii Polska 2050. To zajęcie pasjonujące, ale możliwe tylko dzięki silnym szkłom powiększającym. Niestety zwykła lupa już nie wystarczy, aby obserwować zapasy Michała Gramatyki z Olą Leo albo sparingi Szymona Hołowni. To zresztą też bez znaczenia, bo właściwie nikt się już nie orientuje, kto się z kim bije w Polsce 2050 i z jakiego powodu. Wydarzeniami w mikropartii Szymka żywo interesuje się wytwórnia Pixar. Na kanwie przygód Szymona, Kaśki Pełczyńskiej-Nałęcz, Ryśka Petru i innych planuje ona zrobić remake słynnej kreskówki „Dawno temu w trawie". W roli Flika oczywiście Szymon, a w roli koników polnych – Donald Tusk oraz inni członkowie jego przyjaźnie nastawionej wobec koalicjantów partii.



Konfederacja bez Korony, czyli zjednoczone (choć nie do końca) stronnictwo ***Sławka Mentzena*** i ***Krzyśka Bosaka***, ogłosiła konkurs. Niestety bez nagród. Konkurs nazywa się Projekt 27 i polega na napisaniu programu dla Konfederacji. Rozumiemy i szanujemy, bo też nie lubimy ciężko pracować i wolimy korzystać z cudzej pracy. W każdym razie osoby popierające Konfederację mogą przysyłać swoje pomysły, a one staną się programem tej niezmiernie popularnej w najmłodszym pokoleniu partii. Zaletą konkursu (oprócz tej wady, że nie ma nagród) jest brak ograniczeń wiekowych. Dzięki temu może uczestniczyć w nim większość sympatyków Konfy, o ile oczywiście rodzice udostępnią swoje telefony i pozwolą korzystać z internetu.



Pomysły z Projektu 27 są inspirujące: likwidacja zmiany czasu, zezwolenie na palenie w restauracjach, wolność niezapinania pasów w samochodach, zakaz wprowadzania przez gminy nocnej prohibicji. Dzięki tym pomysłom Polska urośnie w siłę, a ludziom będzie żyło się dostatnio. Będzie zabawa, będzie się działo. Postulujemy też zniesienie ciszy nocnej, brak kar za wagary i wolność wychodzenia z domu bez pozwolenia rodziców. Będzie głośno, będzie radośnie!

Dalszy ciąg polskiego cudu gospodarczego: rekordowa liczba zwolnień grupowych. Donoszą o tym media i to też dobra wiadomość. Niech ludzie nie kiszą się w tym nadwiślańskim zaścianku, skoro świat daje im lepsze możliwości. Np. zbieranie szparagów w Brandenburgii. Poważny udział – jak co roku – ma w tym cudzie „Gazeta Wyborcza" i jej właściciel Agora. Zwolnienia w Agorze jak zwykle odbyły się w Boże Narodzenie. Tym razem na bruku wylądowało symboliczne 170 pracobiorców „Wyborczej". A właściwie na asfalcie, bo taką nawierzchnią jest pokryta ul. Czerska. Zarząd Agory wprawdzie nie przewiduje podwyżek dla pozostałych pracowników (tylko dla zarządu), ale za to planuje kolejne zwolnienia. Już niedługo, jak z bicza strzelił. Następne Boże Narodzenie ze zwolnieniami grupowymi już tylko za 11 miesięcy.

Fot. Tomasz Warszewski/Shutterstock.com, Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk

eprasa.pl 16b4bd8393

WIEŻA BAB

Bezpieczny jak Żurek

Jeśli ktoś zastanawiał się, dlaczego Polacy nie szanują prawa, być może odpowiedź właśnie przejechała im przed maską. Na pasach

Minister sprawiedliwości Waldemar Żurek najwyraźniej postanowił udowodnić, że pirat drogowy niejedno ma imię, a jedno z nich może zaczynać się od: „Panie ministrze". Bo jeśli ktoś sądził, że piractwo drogowe to domena kierowców w dresach, z telefonem przy uchu i nielegalnym ksenonem w Passacie, to program „Duży w Maluchu" brutalnie wyprowadził go z błędu. Okazuje się, że prawdziwa swoboda na drodze zaczyna się tam, gdzie kończy się respekt wobec przepisów.

Scena jest niemal symboliczna. Mały Fiat, podcastowa atmosfera luzu, rozmowa o państwie, prawie i zapewne odpowiedzialności. Za kierownicą minister sprawiedliwości. I nagle – pasy. A na pasach piesza. Dla zwykłego kierowcy to sygnał: hamulec, skupienie, ustąpienie pierwszeństwa. Dla ministra sprawiedliwości – kwestia interpretacji. Co prawda kobieta jest już na przejściu, ale najwyraźniej nie wystarczająco „blisko" według ministerialnej skali odległości. Skali, której próżno szukać w kodeksie drogowym, ale która świetnie funkcjonuje w świecie władzy.

Prowadzący program reaguje nerwowo: „Proszę uważać!". Pada nawet brutalna sugestia, że mogło dojść do tragedii. Minister zachowuje jednak spokój godny człowieka, który wie, że prawo to on. „Pani była jeszcze daleko" – słyszymy. Tak daleko, że tylko kamera, piesza i zdrowy rozsądek widziały coś zupełnie innego.

I tu zaczyna się prawdziwy kabaret. Bo oto człowiek, który chwilę wcześniej mógł się zapisać w policyjnych statystykach jako kierowca nieustępujący pieszej pierwszeństwa (1500 zł, 15 punktów karnych – drobiazg, niemal napiwek), tego samego dnia zwołuje konferencję o bezpieczeństwie na drogach. To już nie jest ironia. To jest satyra, która pisze się sama, bez udziału scenarzysty.

Minister sprawiedliwości poucza kierowców. Minister sprawiedliwości mówi o skuteczniejszym egzekwowaniu kar. Minister sprawiedliwości zapewne kiwa głową z troską nad losem pieszych. A kilka godzin wcześniej – hop, na pasy, bo przecież „nic się nie stało". Trudno się oprzeć wrażeniu, że w jego wizji świata piraci drogowi to zawsze ci inni: szybcy, agresywni, bezimienni. Nigdy w garniturze. Nigdy z ochroną. Nigdy z konferencją prasową zaplanowaną po drodze.

Sprawą zajmuje się policja. Nagranie trafiło do komisariatu, trwa analiza prędkości, momentu zdarzenia, okoliczności. Krótko mówiąc: wszystko, co zwykły kierowca ma przeciwko sobie od razu, a minister dopiero po medialnym zamieszaniu. Prawo niby równe dla wszystkich, ale jak wiadomo niektórzy są równi bardziej, zwłaszcza na przejściu dla pieszych.

Sytuacja stała się tak groteskowa, że nawet współkoalicjanci nie wytrzymali. W „Onet Rano" padło ostrzeżenie, żeby „nie jechać na Żurka". A żartował wiceminister cyfryzacji Michał Gramatyka. I trudno o trafniejszą metaforę. „Jazda na Żurka" to najwyraźniej nowa jednostka ryzyka drogowego: brak ustąpienia, pełne przekonanie o własnej racji i zero refleksji, dopóki nie włączy się kamera.

Najsmutniejsze w tym wszystkim nie jest nawet samo wykroczenie. Każdy może popełnić błąd. Problem w tym, że minister sprawiedliwości nie widzi w tym problemu. Bagatelizuje, zaprzecza, relatywizuje. Dokładnie tak, jak robią to wszyscy piraci drogowi, zanim powiedzą: „Przecież nic się nie stało". Z tą drobną różnicą, że zwykły pirat nie odpowiada za system prawa w państwie.

W kraju, w którym piesi giną na pasach, a kampanie społeczne błagają kierowców o odrobinę empatii, minister sprawiedliwości pokazuje, że przepisy są elastyczne, zwłaszcza gdy to on trzyma kierownicę. I choć Maluch był mały, to przekaz wyszedł wyjątkowo ciężki.

Jeśli więc ktoś jeszcze się zastanawiał, dlaczego Polacy nie szanują prawa, być może odpowiedź właśnie przejechała im przed maską. Na pasach. W świetle kamer. I pojechała dalej – prosto na konferencję o bezpieczeństwie.

Dorota Łosiewicz



Niemcy i Globalne Południe



Marta Kaczyńska-Zielińska

W ostatnich tygodniach Ursula von der Leyen podpisała dwie umowy, których realizacja przyczyni się zapewne do zmiany sytuacji gospodarczej i geopolitycznej Unii Europejskiej. Umowy handlowe UE–Mercosur oraz UE–Indie mają podobny ciężar strategiczny, choć różnią się strukturą, priorytetami i konsekwencjami geopolitycznymi.

Umowa z Mercosur (Argentyna, Brazylia, Paragwaj, Urugwaj) ma charakter przede wszystkim towarowy i surowcowo-rolny. Jej głównym celem jest otwarcie rynków na produkty rolne i surowce z Ameryki Południowej oraz eksport dóbr przemysłowych z UE. Konkurencja na rynku europejskim zostanie zmieniona przez tanią wołowinę, drób, cukier, etanol, soję i surowce mineralne z Ameryki Łacińskiej, a państwa Mercosur uzyskają łatwiejszy dostęp przede wszystkim do niemieckich maszyn, samochodów, chemikaliów i technologii.

Umowa UE–Indie ma charakter znacznie szerszy i bardziej systemowy. Obejmuje nie tylko handel towarami, lecz także usługi, inwestycje, handel cyfrowy, własność intelektualną oraz współpracę regulacyjną. W mniejszym stopniu dotyczy surowców czy rolnictwa, a w większym – integracji Indii z europejskimi łańcuchami wartości w sektorach przemysłowym, technologicznym i usługowym. W relacji UE–Indie mamy do czynienia z partnerstwem z szybko rosnącą potęgą gospodarczą i demograficzną, która negocjuje twardo, chroniąc swoje sektory wrażliwe (np. rolnictwo czy przemysł motoryzacyjny). W obszarze handlu towarami umowa zakłada zniesienie lub istotne obniżenie ceł na zdecydowaną większość produktów wymienianych między UE a Indiami.

Obecnie największym europejskim eksporterem do Indii są... Niemcy (maszyny, produkty chemiczne, zaawansowane technologie). Umowa z New Dehli stanowi więc szansę przede wszystkim dla niemieckiej gospodarki.

Według hinduskiej ambasady w Warszawie Polska jest już uzależniona od Indii w zakresie substancji czynnych do produkcji leków o kluczowym znaczeniu i importuje surowce do produkcji antybiotyków. Europa, a w szczególności Polska, jest też narażona na konkurencję ze strony indyjskich producentów stali. Biorąc pod uwagę zabójczą dla przemysłu politykę klimatyczną UE, może się okazać, że staniemy się całkowicie zależni od importu wskazanego surowca i jego produktów, na czym ucierpi przede wszystkim przemysł ciężki i zbrojeniowy.

W praktyce umowa UE–Indie nie jest jedynie klasycznym porozumieniem handlowym, lecz także narzędziem geopolitycznym. Dla Indii oznacza ona głębsze zakotwiczenie w zachodnich łańcuchach dostaw, technologii i regulacjach przy jednoczesnym zachowaniu strategicznej autonomii. Obserwowane w ostatnich dniach stopniowe odchodzenie indyjskich rafinerii od rosyjskiej ropy na rzecz dostawców z Bliskiego Wschodu połączone z zawarciem umowy o wolnym handlu z UE oznacza istotny ruch geopolityczny. Nie ma jednak przy tym mowy o całkowitym zerwaniu relacji z Moskwą. Indie od lat zaopatrują się m.in. w rosyjski sprzęt wojskowy, razem z Rosją działają w organizacji BRICS, której zasadniczym zadaniem jest przemodelowanie architektury międzynarodowej na korzyść państw Globalnego Południa z centrum decyzyjnym w Chinach.

Wojenną (po ataku na Ukrainę w 2022 r.) strategię energetyczną Rosji oparto na przekierowaniu eksportu z Europy do Azji z Indiami jako jednym z kluczowych odbiorców. Częściowy zwrot Indii osłabia pozycję negocjacyjną Moskwy, zwiększa jej zależność przede wszystkim od Pekinu oraz przyspiesza ryzyko, że kraj stanie się dostawcą zmuszonym akceptować mniej korzystne warunki. Bliski Wschód konsoliduje swój status zaplecza surowcowego i strategicznego pomostu między kontynentami. Z punktu widzenia Indii lepszy dostęp do rynków europejskich, kapitału i technologii może ułatwić osiągnięcie pozycji kluczowej potęgi „wahadłowej".

W związku z wejściem w życie umów z Mercosur i z Indiami niemiecki przemysł zwiększy swoją produkcję i z pewnością będzie potrzebować większej ilości stabilnych źródeł energii. Pytanie, skąd Berlin będzie importować niezbędne surowce.

REKLAMA



21/0126/F

eprasa.pl 16b4bd8393

Przekleństwo dużych prędkości



Hiszpania

Hiszpania ma najdłuższą w Europie, liczącą 4 tys. km, sieć kolejową pociągów dużych prędkości. Do niedawna uchodziły one za przedmiot dumy narodowej, świadectwo awansu cywilizacyjnego kraju, a przy tym niezawodny i tani środek komunikacji. Styczniowa seria katastrof zachwiała jednak tym przekonaniem i doprowadziła do rozpoczęcia narodowej debaty na temat stanu technicznego infrastruktury kolejowej, którą zaniedbano, skupiając się wyłącznie na budowaniu nowych tras.

Pod koniec stycznia wykoleił się ekspres z Malagi do Madrytu, jadący z prędkością 200 km/h. W tym samym czasie z toru wypadł również jadący z naprzeciwka pociąg linii lokalnej. Bilans tych dwóch wypadków jest tragiczny – przeszło 45 zabitych i niemal 300 rannych. Akcja ratunkowa była chaotyczna, a rząd się skompromitował, bo nie zauważył jednej z katastrof, koncentrując się na wypadku pociągu dużych prędkości.

Ale to był dopiero początek czarnej serii hiszpańskiej kolei. Wkrótce na pociąg linii podmiejskiej kursującej w Katalonii zawalił się mur oporowy. Zginął maszynista, a 37 osób zostało rannych. Czwartym wypadkiem w ciągu pięciu dni było zderzenie pociągu z dźwigiem, który wykonywał prace remontowe, do którego doszło w Murcji na południu Hiszpanii. W związku z serią katastrof związek zawodowy maszynistów zapowiedział trzydniowy strajk, aby zwrócić uwagę na wieloletnie zaniedbania. Prasa pisze zaś o tym, że dworce opustoszały, bo ludzie boją się podróżować koleją.

Według raportu Trybunału Obrachunkowego AIReF w ciągu 18 lat Hiszpania wydała na budowę kolei dużych prędkości 56 mld euro. Inwestycje miały świadczyć o dynamicznym rozwoju kraju, mało kto jednak zauważał, że te ambitne plany realizowano kosztem remontów istniejących już linii kolejowych. W efekcie są one w opłakanym stanie, bo w tym samym czasie na ich utrzymanie wyasygnowano z państwowych funduszy jedynie 3,6 mld euro, co oznaczało milczącą zgodę na dekapitalizację infrastruktury. Przed trzema laty Hiszpania otworzyła też swój rynek kolejowy na konkurencję międzynarodową. Rywalizacja między firmami Iryo i Ouigo (spółka-córka kolei francuskich) doprowadziła do przeciążenia linii i wzrostu liczby połączeń, co z kolei utrudniło zarządzanie ruchem. To, co miało stanowić dumę narodową Hiszpanii, dziś zaczyna być traktowane w kategoriach problemu, a zdaniem niektórych – wręcz „przekleństwa”.

Marek Budzisz



Niemcy

Dzieci terroryzują miasto

W Lipsku brutalny gang nęka mieszkańców. Fala przemocy zalewa miasto od jesieni 2025 r., a sprawcy to dzieci. Grupa 15 dzieciaków popełniła już ponad 150 przestępstw: rozboje, kradzieże, pobicia, groźby, wymuszenia, często z użyciem broni. Większość z nich pochodzi z imigracji i ma niemieckie obywatelstwo.

Według lokalnej gazety „Leipziger Volkszeitung” młodzi przestępcy kradną telefony komórkowe, ubrania i sprzęt elektroniczny. Napadają na sklepy oraz dzieci z prywatnych szkół. Przywódcami gangu są dwaj 11-letni bliźniacy oraz dwójka o rok młodszych Czeczenów. Bliźniacy urodzili się w Lipsku, a ich rodzice są imigrantami z Sudanu Południowego. Jak twierdzi „Die Welt”, sytuacja w ich domach rodzinnych jest „trudna”. Według gazety młodzi sprawcy są skłonni do przemocy. „Nie chodzi tylko o ciosy w twarz, lecz także o użycie noży, pistoletów hukowych i gazu pieprzowego” – czytamy. Cała czwórka ma na koncie ponad 100 poważnych przestępstw.

Departament policji w Lipsku powołał specjalną jednostkę, która nie bardzo wie, jak rozwiązać problem. Sprawcy nie osiągnęli jeszcze wieku odpowiedzialności karnej, który wynosi 14 lat. W Niemczech rozpętała się więc dyskusja, co robić z takimi dziećmi. Bawarska CSU proponuje, by obniżyć wiek odpowiedzialności karnej do 12 lat. „Wzrost przestępczości z użyciem przemocy wśród dzieci jest alarmujący” – czytamy w projekcie rezolucji przyjętym na konwencji partii. Zauważono również, że coraz większa liczba nieletnich jest wykorzystywana do handlu narkotykami. Jugendamt, który chętnie odbiera dzieci np. polskim rodzicom, jest jednak temu przeciwny. Przedstawiciel urzędu w Lipsku zadeklarował, że nie ma mowy o powrocie do „zakładów poprawczych jak w czasach Cesarstwa Niemieckiego”. Według niego dzieci popełniające przestępstwa „potrzebują przede wszystkim opieki psychiatrycznej”.

Policja widzi to zgoła inaczej. Zdaniem jej rzecznika „kary są jedynym rozwiązaniem”, bo „wyczerpano już inne opcje”. Na razie nie ma jednak możliwości umieszczenia takich dzieci w placówce zamkniętej – w każdym razie w Saksonii. Mogłyby one trafić do poprawczaków w innych landach, ale do tego jest potrzebna wola polityczna. Na razie udało się zatrzymać jednego 15-latka. Trafił na trzy miesiące do aresztu śledczego.

Aleksandra Rybińska

eprasa.pl 16b4bd8393



USA

Jak zarobić na klimacie?

W założeniu własność prywatna stanowi fundament amerykańskiego społeczeństwa. Co jednak zrobić, gdy właściciele tracą swoje nieruchomości pod wpływem presji finansowej ze strony wielkich korporacji? Od kilku lat na dużych połaciach Stanów Zjednoczonych trwa wielkie wywłaszczenie. Odbywa się ono pod pozorem zmian klimatycznych.

Ceny domów w Ameryce rosną nieubłaganie od 2018 r. Są jednak miejsca – w szczególności szeroki pas środkowych stanów – gdzie ich wzrost jest niezauważalny. Wszystko z powodu gwałtownie rosnących kosztów ubezpieczenia. Według badań opublikowanych przez „The New York Times" w rejonach najbardziej narażonych na klęski żywiołowe z powodu wysokich składek ubezpieczeniowych średnia wartość nieruchomości spadła o kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Gazeta przytacza historię mieszkańca Luizjany, który musiał sprzedać swój dom za 150 tys. dol., czyli tyle, ile wydał na jego budowę w 1984 r. Stracił na tej transakcji 75 tys. dol.

Ceny domów spadają, bo coraz więcej właścicieli chce się ich pozbyć, ale nie mogą znaleźć kupców. I nie chodzi tutaj o złe położenie nieruchomości ani o ich standard, lecz o zbyt wysokie składki ubezpieczeniowe. Mało kogo stać na wyłożenie co roku nawet kilkudziesięciu tysięcy dolarów na ubezpieczenie. Inny mieszkaniec Luizjany, o którym czytamy w „The New York Times", opowiada, że ubezpieczyciel naliczył mu roczną stawkę w wysokości 20 tys. dol., przy czym odszkodowanie otrzymałby dopiero wtedy, gdyby jego straty przekroczyły 50 tys. dol. Kwoty poniżej tej sumy i tak musiałby pokryć z własnej kieszeni. Taka stawka ubezpieczenia byłaby o 40 proc. wyższa niż wszystkie pozostałe opłaty za dom łącznie.

Można oczywiście ryzykować i zrezygnować z ubezpieczenia, ale jest to niemożliwe, jeżeli ktoś korzysta z kredytu hipotecznego – a dotyczy to ogromnej liczby Amerykanów. Kredytodawcy wymagają bowiem ubezpieczenia, w przeciwnym razie nie udzielą żadnych pożyczek. Właściciele lub potencjalni nabywcy domów są więc często postawieni pod ścianą.

Przyczyną wzrostu składek są rosnące opłaty dla firm reasekuracyjnych, które zabezpieczają ubezpieczycieli przed niewypłacalnością. Firmy te to wielkie korporacje finansowe, które w ostatnich latach zaczęły zarabiać na tzw. ryzyku klimatycznym. Podniosły one ceny ubezpieczycielom działającym na obszarach uznanych za zagrożone zmianami klimatu, ci zaś przerzucili opłaty na właścicieli domów, którzy nie byli w stanie udźwignąć tak wysokich kosztów. Dziś w Luizjanie i okolicznych stanach trwa wielka wyprzedaż nieruchomości. Ciekawe, kto na niej skorzysta.

Konrad Kołodziejski

Fot. Shutterstock

Francja



Stop dla mediów społecznościowych

Francuskie Zgromadzenie Narodowe zdecydowaną większością głosów uchwaliło ustawę, która zabrania osobom niepełnoletnim poniżej 15. roku życia posiadania kont i dostępu do mediów społecznościowych. Z zakazu wykluczone są jedynie platformy edukacyjne i naukowe, encyklopedie internetowe i repozytoria wolnego oprogramowania.

Nowe prawo zobowiązuje firmy z branży IT – pod groźbą wysokich kar – do wdrożenia mechanizmów weryfikacji wieku i automatycznego blokowania kont niespełniających wymagań. Ustawa czeka jeszcze na głosowanie w Senacie i ma wejść w życie 1 września, wraz z początkiem roku szkolnego.

W ten sposób Francja podąża drogą Australii, która jako pierwszy kraj na świecie wprowadziła podobny zakaz dla osób do 16. roku życia. Ustawodawcy chcą w ten sposób chronić młodych ludzi przed zagrożeniami, takimi jak uzależnienie od ekranu, narażenie na nieodpowiednie treści czy cyberprzemoc. Deputowani nad Sekwaną nie zamierzają na tym poprzestać i już debatują nad kolejnym zakazem, tym razem dotyczącym korzystania z telefonów komórkowych w szkołach.

Być może przełom w funkcjonowaniu mediów społecznościowych na świecie przyniesie proces przeciw trzem gigantom internetowym: firmom Meta (właściciel Facebooka i Instagrama), ByteDance (TikTok) i Google (YouTube), który rozpoczął się w Los Angeles. Wspomniane koncerny zostały oskarżone o to, że świadomie zaprojektowały technologie uzależniające i szkodliwe dla zdrowia psychicznego młodych użytkowników. Pozew wniosła 19-letnia Amerykanka, która twierdzi, że wpadła w uzależnienie i depresję z powodu algorytmów stosowanych przez platformy cyfrowe.

Kalifornijski proces może podważyć dominujący dziś mit neutralnych technologii. Okazuje się, że mogą one kierować ludzkim zachowaniem, tworząc środowiska sprzyjające uzależnieniu, izolacji, lękowi, samookaleczaniu i problemom psychicznym. Dlatego konieczne jest przywrócenie właściwego porządku: to człowiek powinien kontrolować narzędzia, a nie narzędzia człowieka.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 16b4bd8393

Matka wszystkich pułapek. Von der Leyen sprzedaje Europę Indiom



O rety, Ursula von der Leyen znowu w akcji! Ta brukselska diwa, która tydzień temu w moim felietonie o Mercosur została obnażona jako główna winowajczyni gospodarczej apokalipsy, nie próżnuje

Mercosur? Toż to mistrzostwo w samobójstwie! Podpisany 17 stycznia bubel otwiera wrota brazylijskiej wołowinie naszpikowanej hormonami i cukrem tańszym niż piasek, która zaleje Europę, topiąc naszych rolników w oceanie bankructw. Von der Leyen opowiada, że to „wielki krok". Prawda – tyle że w przepaść. Dumping cenowy, utrata pracy przez tysiące Europejczyków. A środowisko? Brazylijskie lasy płoną, Ursula zaś udaje, że to grillparty. Niemieckie koncerny zarobią, reszta zdechnie z głodu.

Ale to było nic! Teraz, 27 stycznia w New Delhi, nasza niestrudzona Ursula serwuje „matkę wszystkich umów" z Indiami – kolosalny traktat handlowy dla 2 mld ludzi, obniżający cła na 96,6 proc. towarów. Indie – z kosztami produkcji obniżonymi przez głodowe stawki za pracę i ochroną środowiska będącą ponurą kpiną z unijnych norm – zaleją Europę tanimi tekstyliami, lekami i usługami.

Europejskie – w tym polskie – rolnictwo stanie w obliczu kolejnej nieuczciwej konkurencji, a indyjskie produkty, wytwarzane bez przestrzegania norm środowiskowych czy sanitarnych, zduszą lokalnych producentów. Chcecie jeść sałatę produkowaną w kraju z endemiczną amebą? Nikt was nie pyta o zdanie...

Współpraca w cyberbezpieczeństwie i walce z terroryzmem? To pretekst do głębszego uzależnienia, osłabiającego unijną autonomię i otwierającego drzwi azjatyckiej dominacji. W swojej arogancji von der Leyen ignoruje siłę, z jaką takie umowy powodują erozję fundamentów UE, czyniąc ją peryferiami globalnych potęg i pogłębiając wewnętrzne podziały.

Unia Europejska pod jej przewodnictwem to parodia integracji – instytucja, która miała chronić interesy członków, systematycznie je sabotuje, faworyzując elity korporacyjne nad zwykłymi obywatelami. Brak konsultacji, lekceważenie protestów rolników – to symptomy stylu autokratycznego, gdzie decyzje zapadają w brukselskich gabinetach, daleko od realiów.

Co na to „polski" rząd pod wodzą Donalda Tuska? Ta administracja, deklarująca lojalność wobec Europy, wykazuje żałosną bierność graniczącą z współudziałem. Bez protestów, bez renegocjacji, bez obrony narodowych interesów. Tusk woli uległość wobec von der Leyen niż konfrontację, co w praktyce oznacza zdradę polskich przedsiębiorców i rolników. Jego milczenie to złośliwa kalkulacja polityczna kosztem przyszłości kraju. Jeśli Unia Europejska nie zmieni kursu, stanie się kolonią Azji, a Polska – jednym z jej najsłabszych ogniw.

Von der Leyen i Tusk prowadzą nas ku nieodwracalnej klęsce.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 16b4bd8393

Tweet o złocie – nerwy przy skarbcu



Przedstawiłem propozycję, która dla niektórych mogła brzmieć prowokacyjnie, lecz w istocie była osadzona w realiach polityki międzynarodowej. Skoro pojawiła się koncepcja powołania Rady Pokoju – inicjatywy mającej w założeniu wzmacniać stabilność i bezpieczeństwo globalne – uznałem za zasadne spojrzeć na nią również z perspektywy interesów państwa polskiego. Wskazałem wprost: jeśli udział w takim projekcie wiąże się z kosztami, to naturalnym źródłem ich pokrycia powinny być środki, które Niemcy wciąż są Polsce winne z tytułu nierozliczonych strat wojennych, w tym zrabowanego złota oraz innych aktywów państwowych i prywatnych. W tym kontekście przywołałem niemieckie rezerwy złota przechowywane w Nowym Jorku.

Był to głos w debacie publicznej – jedno z wielu stanowisk formułowanych w przestrzeni politycznej. Jednak kilka dni później w niemieckich mediach – w Deutsche Welle – pojawił się materiał, w którym prezes Bundesbanku publicznie uspokaja opinię publiczną, że niemieckie rezerwy złota zdeponowane w Banku Rezerwy Federalnej w Nowym Jorku są w pełni bezpieczne i nie ma powodów do niepokoju.

Fakt, że pojawiła się potrzeba takiego zapewnienia, jest znamienny. Nikt oficjalnie nie formułował gróźb, nie było mowy o żadnych działaniach operacyjnych. A mimo to uznano za konieczne podkreślenie, że niemieckie zasoby finansowe pozostają nienaruszone. To klasyczny odruch politycznej ostrożności w obliczu tematu, który – choć przez lata spychany na margines – nie zniknął.

Niemcy mają pełną świadomość tego, że kwestia należności wobec Polski nie została definitywnie zamknięta. Dotyczy to nie tylko szeroko rozumianych reparacji wojennych, lecz także konkretnych dóbr – złota, majątku państwowego, dzieł sztuki i innych aktywów – które zostały Polsce odebrane w wyniku agresji i okupacji, a do dziś nie doczekały się pełnego rozliczenia. Problem ten można przez lata ujmować w formuły dyplomatyczne i interpretacje prawne, ale nie zmienia to jego istoty: chodzi o odpowiedzialność i elementarne poczucie sprawiedliwości.

Niemieckie złoto przechowywane w Nowym Jorku stało się w tej dyskusji symbolem. Symbolem bezpieczeństwa finansowego państwa, a także symbolem nierozliczonej przeszłości. Jeżeli mówimy o nowej architekturze pokoju, wspólnych mechanizmach bezpieczeństwa i współpracy, to zasadne pozostaje pytanie, kto i na jakiej podstawie ponosi ciężary oraz czy państwa, które wciąż nie uregulowały zobowiązań wynikających z historii, mogą pomijać ten fakt w debacie o przyszłości.

Wyraźna reakcja po stronie niemieckiej pokazuje, że pytanie to zostało usłyszane. A to oznacza, że rozmowa dopiero się rozpoczyna. Trwały pokój nie opiera się na przemilczaniu rachunków przeszłości, lecz na odwadze ich uczciwego rozliczenia.

Arkadiusz Mularczyk

Więzienie za życzenie



Samuel Pereira

Czy złorzeczenie i pisanie źle o drugim człowieku można oceniać etycznie i moralnie? Jak najbardziej. Tego typu „fantazje" psują debatę publiczną i należy się im przeciwstawiać, nawet jeśli od wieków ludzie pod nosem (niestety) życzą wszystkiego najgorszego sąsiadom, znanym ludziom i politykom. Zrobił tak nawet – o zgrozo – były przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk, gdy w 2021 r. dedykował prezydentowi Andrzejowi Dudzie słowa poety: „Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy i sznur, i gałąź pod ciężarem zgięta". Nikt go za nic nie skazał, bo nie była to starsza pani, emerytka, do której nie tak dawno o 6.00 zapukali policjanci, a która ostatnio usłyszała nieprawomocny wyrok sześciu miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na rok (łaska sędziego nie zna granic!). Za co? Za słowa: „Giń, człowieku, jak najszybciej", które sąd z pełną powagą podciągnął pod dwa artykuły Kodeksu karnego (190 i 255).

A przecież nawet pobieżna analiza pokazuje, że mamy tu do czynienia raczej z obelgą, a w najgorszym wypadku życzeniem śmierci, a nie z realną groźbą popełnienia przestępstwa. Groźba karalna wymaga, by adresat mógł z uzasadnionych powodów obawiać się jej spełnienia, nawoływanie zaś – by ktoś publicznie wzywał innych do przemocy. W zdaniu „giń" nie ma ani sprawczości, ani mobilizacji tłumu.

Sąd jednak w uzasadnieniu wskazał, że dał wiarę Jerzemu Owsiakowi, iż ten poczuł się zagrożony (sic!). A ponieważ mamy świecką religię św. Jurasa, sędzia Marcin Czarciński musiał temu przyklasnąć. Wolność słowa przegrała z potrzebą postawienia starszej pani pod medialnym pręgierzem. Dla przykładu! Problem jest jednak poważny, bo jeśli zaczniemy mieszać życzenia, metafory i internetowe inwektywy z przepisami o przemocy, to doprowadzimy do deflacji znaczenia prawa i Kodeksu karnego, szczególnie gdy obywatele widzą, jaki za tej władzy panuje w Polsce kalizm: państwo potrafi o świcie zapukać do emerytki z powodu jednego zdania, a przymyka oko na „poetyckie" sznury na szyi prezydenta w fantazjach Tuska. Konsekwencją tego będzie – paradoksalnie – jeszcze większe obniżenie poziomu debaty publicznej, bo skoro wszystko jest tym samym, to po co się „szczypać"?

eprasa.pl 16b4bd8393



Walizka Wacława Pokrzywnickiego

dziennikarza Radia Wnet, prowadzącego audycję „MiŚ – Miłość i Śpiew”

Kiedy ją otwieram, nie słychać trzasku zamka, tylko szum lasu i skrzypienie pokładu żaglowca.

Kaszuby były moją pierwszą miłością. Swornegacie, Drzewicz, Funka – nazwy brzmiące jak przysłowia z dzieciństwa. Harcerskie obozy, jeziora pełne śmiechu rówieśników, pierwsze próby odwagi i odpowiedzialności. Pływaliśmy, nie wiedząc jeszcze, że ta beztroska zaprowadzi mnie kiedyś do karty ratownika. W lasach zbieraliśmy jagody i grzyby, ucząc się cierpliwości i uważności. Mówiono wtedy, że są trzy słynne lasy: Las Palmas, Las Vegas i Las Brusy. Dla mnie najważniejszy był ten trzeci. W mojej miejscowości funkcjonowały Zakłady Przetworów Leśnych i Ryb „Las Brusy”, w których pracowała moja mama. Gdy ostatnio odwiedziłem pana Józefa, rzeźbiarza z Brus, martwił się, czy po huraganie nad Kaszubami powrócą bociany, które instynktownie zabrały młode i odleciały. To była jego ostatnia myśl i zarazem testament dla mnie – wkrótce potem odszedł, jak mówią na Kaszubach, do Adamowego Raju. Miłość do podróży przyszła naturalnie. Zaprowadziła mnie na pokład Pogorii, którą jako wychowawca dzieci z domu dziecka wyruszyłem w rejs wokół Włoch. Miał to być czas przygody, a stał się lekcją pokory. Wyprawa zbiegła się z trzęsieniem ziemi w Maroku. Zamiast śpiewów – modlitwa. Kpt. Andrzej Marczak ściągał żagle. Ziemia zatrzęsła się jeszcze raz – w Meksyku. Schroniliśmy się w kościele. Stamtąd przywiozłem obraz Matki Boskiej z Guadalupe, który do dziś wisi na mojej ścianie.

I to ona była ze mną, gdy przyszedł kolejny wstrząs. Pożar bloku w Ząbkach. Ze snu nie obudziło mnie walenie strażaka w drzwi, lecz wybuch samochodu w garażu. Nie było czasu na pakowanie życia w torby. Zdążyłem tylko zdjąć ze ściany Madonnę z Guadalupe i chwycić worek żeglarski.

Najważniejszą ideą mojej pracy w Radiu Wnet jest to, by poprzez audycję „Miłość i Śpiew” ludzie odzyskali instynkt samozachowawczy – umiejętność odróżniania prawdy od fałszu, manipulacji od rzeczywistości. Zapraszam na rozmowy o 6.00 i do archiwów MiŚ Radia Wnet.





eprasa.pl 16b4bd8393





MIKROFON

Jest dla mnie sitem – jak u Sokratesa – przez które trzeba przesiać każde słowo: czy jest dobre, prawdziwe i konieczne.

PIELGRZYMKA

Co roku idę pieszo do Santiago, Rzymu lub Częstochowy. By wypocić toksyny, zahartować ciało przed zimą. Notatki z tych dróg spisałem w „Matuleńce” (cztery tomy, Wydawnictwo JUT). Kroki, pot, modlitwa i cisza.





MATKA ŻYCIA Z GUADALUPE

Uratowała mnie z pożaru i trzęsienia ziemi. Z wdzięcznością odmawiam różaniec z żółwiami przywieziony z Meksyku. Żółwie uczą cierpliwości – modlitwa bywa żmudna, ale pomoc zawsze dociera na czas.

ANIOŁY

Ślad spotkań z Józefem Chełmowskim, szkolnym kolegą mojego taty. Patrzyłem, jak struga je z drewna i słuchałem kaszubskich mądrości. Od tamtej pory zbieram anioły z całego świata.





DREWNO OLIWKOWE

Loppiano, miasteczko Ruchu Focolari. Pracowałem tam w stolarni, wycinając igłą. Razem ze mną pracowali muzycy z Gen Rosso – ich piosenki rozbrzmiewają dziś na antenie Radia Wnet.

APARAT FOTOGRAFICZNY

Lubię zatrzymywać twarze i drogi. W Afryce życie toczyło się przy szosie – jadąc autem, robiłem zdjęcia znienacka, łapiąc chwilę.





CZOSNEK I CZEKOLADA

Na stres i odporność.

NAPARSTEK

Bo czasem worek marynarski pęka i trzeba zszyć włókno żeglarskie. Więcej pożytku z naparstka pełnego pytań niż z cysterny pustych odpowiedzi.





TRZY MAŁPKI

Moja zasada wobec mediów: czasem trzeba nie widzieć, nie słuchać i nie rozpowszechniać zła.

LORNETKA

Zimą dokarmiam ptaki i obserwuję, jak do słoniny przylatują modraszki, sikorki i dzięcioły.



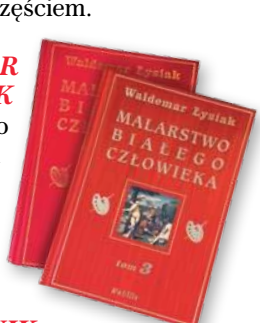


KOŚCI

Gra uczy pokory wobec losu – kareta, full i szansa zawsze idą w parze ze szczęściem.

WALDEMAR ŁYSIAK

Mam wszystkie jego książki. Dzięki nim patrzę na malarstwo jak detektyw, szukając sensu w szczególe.





NIEZBĘDNIK

Metalowe sztućce i naczynia. Proste, trwałe, łatwe do umycia. Jak zasady, których warto się trzymać.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, archiwum Wacława Pokrzywnickiego, Shutterstock (x2)

eprasa.pl 16b4bd8393

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Katastrofalny budżet... i cała reszta!



Jan Pietrzak

Prawy sąd skazał lewych prokuratorów na zwrot ukradzionego telefonu! Człowiek słyszy coś takiego i puka się w skołowaną głowę – czy możliwe jest takie rozwalenie systemu prawnego, że już nikt nie wie, co komu wolno? Kto jest neojurystą, a kto paleoprawnikiem? Jak mam komentować takie wydarzenia – trudzi się niżej podpisany felietonista – by nie popaść w przesadę? Czy określenie „głupie gnojki" wobec prokuratorów włamujących się do KRS jest stosowne, czy ekstremalne? Kto to osądzi?

Teraz, kiedy ministerka kultury z upodobaniem używa słów uważanych za plugawe, jakim słownikiem mamy się porozumiewać ze sobą i władzami? Czy pornograficzny żargon ma się stać metodą rozwiązywania sporów politycznych i kulturowych? Chyba wszyscy (po maturze?), niezależnie od opcji politycznych, widzimy, że nasz piękny język degeneruje się, pod wpływem szalejących emocji wpada w jakieś śmierdzące bajoro.

Dzieje się tak prawdopodobnie dlatego, że debata publiczna parszywieje. Wrogowie Polski nakręcają dziką agresję, by przywalić oponentom najbardziej chamskim slangiem. Sami często łżą i brakuje im argumentów, więc wzmacniają swe łgarstwa najbrzydszymi wyrazami. Nieocenionym wsparciem takiej metody dyskutowania były wyczyny tzw. strajku kobiet z czerwonymi błyskawicami sprzed dwóch, trzech lat. Damskie bojówki – zwane też „czarne macice" – nie mając nic mądrego ani istotnego do powiedzenia, wyły ohydne wyrazy i wrzeszczały jak pawiany – z całym szacunkiem dla tych człekokształtnych stworzeń. Ludzie, co się z wami porobiło? Gdzie jesteście, piękne panie z konkursów piękności? Serdeczne mamusie pośród radosnej dzieciarni? Dostojne matrony ogarniające swą mądrością i dobrocią rozbrykanych mężczyzn? Do was apeluję, na was liczę...

Od czasu, kiedy pisałem piosenkę „Gdzie ci mężczyźni", którą genialnie wyśpiewała Danusia Rinn, byłem przekonany i czułem, że w sprawach obyczajów polskiej wspólnoty bardziej można liczyć na kobiety niż na mężczyzn. III RP rozwiała te nadzieje. W ogóle musimy się pożegnać z jakąkolwiek nadzieją na długie lata. Obecny rząd właśnie uchwala budżet totalnej katastrofy. Niebotyczne miliardy zadłużenia, które wywołują śmiertelne drgawki resztek gospodarki. Zatrzymane inwestycje. Zwolnienia grupowe tysięcy pracowników. Rolnictwo dogorywa jak stara szkapa. Szpitale bez kroplówek finansowych. Szkoły ogłupiające dzieciarnie. Niemieckie przekaziory ogłupiające starszaków! Osobnicy udający polskich polityków, wygadujący żenujące brednie... Do was mówię: ty mule zabazgrany, ty umysłowa wicepierdoło z ubeckiego awansu, ty pińska kreaturo o konsystencji gluta, ty otumaniony jełopie po „studium tumanum!"... itp., itd.

Dziękuję pani ministerce kultury za retoryczną inspirację! Na stare lata uczę się chamstwa. Jak mi idzie?

Jesteśmy w tym razem

Z aktorem Ireneuszem Czopem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Ukryty pod inicjałami F.P. bohater pozornie ma wszystko, a mimo to decyduje się na drastyczny krok. Wygląda to jak zapowiedź dramatu, ale nie w waszym filmie. Dlaczego?

Ireneusz Czop: „Zapiski śmiertelnika" w reżyserii Macieja Żaka to czarna komedia o mężczyźnie, który rozlicza się z przeszłością. Jesteśmy w tym razem z nim. Gdy mówi w dojmujący, a także groteskowy sposób o swoim życiu, relacjach, rodzicach... Dużo w tym filmie dystansu, przerysowania i sarkazmu, trochę sentymentu i miłości – tej odrzuconej i tej upragnionej. Również rodzicielskiej.

Zagrał pan w „Zapiskach..." główną rolę. Z jaką intencją?

Podzielenia się opowieścią, która jest o nas. I o życiu [mimo – a może właśnie dlatego – że F.P. przyjeżdża do nadmorskiego kurortu z myślą o samobójstwie – przyp. red.].



Jesienią – Adam Mickiewicz w premierze Teatru TV „Księgi sprośności" Wojtyszki, a także płk Szymurek w „Zamachu na papieża" Pasikowskiego. W grudniu – Obersturmbannführer Holtz w serialu „Breslau", w styczniu – były dżokej i ojciec głównego bohatera w kinowej „Wielkiej Warszawskiej", a teraz współczesny F.P. Imponująca rozpiętość ról. Czy wciąż – jak przy pamiętnym „Broad Peak" i dosłownym wdzieraniu się na szczyt – jest pan gotowy na skrajnie różne, czasem ekstremalne wyzwania?

Tak. Bo nawet jeśli coś z początku wydaje się nas przerastać albo nas przeraża, najważniejsze jest to, co z tym zrobimy. Czy się poddamy, czy będziemy „karmić" obawy, czy pójdziemy do przodu. Nawet ryzykując. Ja ryzykuję.

Fot. Xxxxxxx

eprasa.pl 16b4bd8393

ZDJĘCIE TYGODNIA Góralskie zawody w Zębie



SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ALIAKSANDR VALODZIN/EAST NEWS, WOJOECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, ZYGMUNT KARWOWSKI/EAST NEWS, PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS, DAWID WOLSKI/EAST NEWS, INPLUS/EAST NEWS, DOMENA PUBLICZNA, SHUTTERSTOCK/ KLAVDIYAV

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

TRENDY I OWĘDY

Zima jak za Gierka

W sklepach często pojawiają artykuły spożywcze o nazwach: „Szynka jak za Gierka", „Kiełbasa jak za Gierka". Jak widać, propaganda sukcesu działa do dzisiaj, natomiast jeśli chodzi o szynkę i kiełbasy, to owszem, były powszechnie dostępne, ale w sklepach za „żółtymi firankami", dla aktywu. Dawno temu, będąc na praktykach studenckich w Zakładach Azotowych w Tarnowie, idąc z kolegą, zauważyliśmy właśnie taki sklep i w zasadzie – nie wiem po co – wstąpiliśmy. Studencka fantazja? Jak gdyby nigdy nic zaczęliśmy wybierać, ale czujne panie z obsługi zapytały: „A macie legitymacje?". Odpowiedzieliśmy, że tak! „To proszę pokazać!". Pokazaliśmy studenckie, ale to nie o takie chodziło i zostaliśmy oschle pożegnani, wyproszeni za drzwi. Z tym wychwalaniem czasów Gierka nie ma się więc co rozpędzać.



Ryszard Makowski

To były też czasy znaczących podwyżek cen żywności. Ogłoszono je zgrabnie 24 czerwca 1976 r. – w imieniny Jana, kiedy wszyscy spożywali i patrzyli w telewizory. Tych, którzy protestowali, spotkały represje, „warchoły", „ścieżki zdrowia" dla robotników.

Zdecydowanie mniej przekłamiemy rzeczywistość, głosząc hasło: „Zima jak za Gierka". W latach 70. zimy były takie, jak powinny być, a zima z 1978/1979 wykonała 300 proc. normy. Jak sypnęło w sylwestra i temperatura spadła do -20 st. Celsjusza, to dokumentnie zasypało wszystko, i to na dłużej. W tym roku – ku zdumieniu społeczeństwa – też mamy zimę. „Rusz się Zenku, śnieg na dworze". Ciekawe natomiast jest to, że w naszych czasach nikt nie protestuje przeciwko podwyżkom cen żywności. A te mamy zdecydowanie lepsze niż za Gierka.

eprasa.pl 16b4bd8393

Bezbożnicy Brauna


Wojciech Olszański, Marcin Osadowski, Marcin Różalski

Obok gorliwych, głęboko wierzących chrześcijan „szeroki front gaśnicowy" współtworzą neopoganie, sataniści, gnostycy czy wyznawcy idei New Age. Czyniący z katolicyzmu program swojej partii Grzegorz Braun musi się zmierzyć z tym zjawiskiem



ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

„Wyniki wyborów prezydenckich świadczą o tym, że zdefiniował się szeroki front gaśnicowy, który idzie odzyskać niepodległość" – ogłosił 18 maja ub.r. Grzegorz Braun. Sondaże pokazują, że od wyborów prezydenckich ów front mógł się jeszcze trochę poszerzyć – osiem miesięcy temu Braun miał 6,34 proc. poparcia, dziś pracownie badające preferencje polityczne Polaków dają Konfederacji Korony Polskiej 7–9 proc. A kiedy coś się poszerza, to staje się coraz mniej jednorodne, nawet w podstawowych kwestiach.

TRANSFERY

W perspektywie wyborów 2027 r. przylgnięcie do Brauna może być trampoliną do parlamentu. Pierwsze transfery nastąpiły więc od razu po wyścigu prezydenckim. Do Korony przeszedł poseł wybrany z listy PiS Sławomir Zawiślak, a także były kandydat Konfederacji na prezydenta Jacek Wilk. Obok tych mało kontrowersyjnych ruchów (choć Wilkowi wypominano popieranie w imię libertarianizmu legalizacji „związków partnerskich") są też przymiarki, które muszą budzić zdziwienie części wyborców. Do Brauna smali cholewki pezetpeerowiec Leszek Miller (a Braun zdaje się odwzajemniać uczucia byłego premiera), lider KKP całkiem oficjalnie i „z pełną powagą" zaprosił na senacką listę w przyszłych wyborach Monikę Jaruzelską. Zawzięty antyklerykał Miller? Córka (co najmniej politycznie) odpowiedzialnego za mordowanie księży dyktatora, ateistka i zwolenniczka liberalizacji ustawy antyaborcyjnej? Takie nazwiska w orbicie partii odwołującej się w swoim programie do idei monarchii katolickiej i objawień Matki Bożej w Gietrzwałdzie? Jak to?

Jeśli można rozliczać którąś z polskich partii z katolickiej ortodoksji i przywiązania do Kościoła, to jest nią Korona i tworzony wokół niej „szeroki front gaśnicowy". Tylko oni bowiem uczynili z wiary swój program polityczny, a z zawołania „Ad maiorem Dei gloriam" element partyjnego logotypu.

Za chwilę się przekonamy, że Jaruzelska i Miller to potencjalni święci w porównaniu z niektórymi filarami „szerokiego ruchu gaśnicowego". Zanim jednak zagłębimy się w zamieszkiwaną przez współpracowników Brauna prasłowiańską puszczę, świat New Age'owej gnozy i satanistycznych idei jego fanów, trzeba zapytać, dlaczego dotąd raczej tego nie robiono.

Dla liberałów i lewicy to niezbyt wygodny temat. W jej narracji Braun ma być ultrakatolicką inkarnacją katolickiej hydry PiS, przyszłym koalicjantem Jarosława Kaczyńskiego, z którym wspólnie zamienią Polskę w kościelną kruchtę. Chodzi o podkręcanie emocjonalnego napięcia wyborców Donalda Tuska i przestraszenie części wyborców PiS. Nie ma przecież wątpliwości, że to największa partia opozycyjna jest prawdziwym celem tych zabiegów. Poza tym ileż to razy słyszeliśmy od liberałów i lewicy, że rodzimowierstwo jest ożywcze,

Fot. Jan BIELECKI/East News, Piotr Molecki/East News, Andrzej Wiktor, Ludmyla Skwarczyńska

eprasa.pl 16b4bd8393



i Monika Jaruzelska – takich ludzi Grzegorz Braun chce wprowadzić do parlamentu

drący Biblię satanista „Nergal" to wrażliwy artysta, a realizacja siebie w duchu New Age wyzwala? Braunistów można i trzeba krytykować za wszystko, ale za to akurat najmniej.

Zjawiska i fakty, które opiszemy, to problem także dla popierających Brauna konserwatywnych publicystów. Skoro Grzegorz Braun ma być ostatnią zaporą przed bezbożnym ateizmem i płynącym ze Stanów Zjednoczonych „chrześcijańskim syjonizmem", to nie ma co wypominać mu jakichś neopogan czy ordynarnych, nienawistnych chamów plujących na Kościół i Biblię.

JASZCZUR SRA NA BIBLIĘ

Zaczniemy od jednego z nich. Wojciech Olszański, z zawodu aktor, talentem nie grzeszy, ale na odgrywanie roli „Jaszczura", lidera Rodaków Kamratów, wystarczy. Przebrany w operetkowy mundur wódz wrzeszczy i grozi, a jego pomagier, były asystent Janusza Korwin-Mikkego Marcin Osadowski, z podziwem patrzy. Panowie są gwiazdami polskiego patostreamingu, „Jaszczur" jest idolem wielu setek tysięcy odbiorców.

Zapewne to właśnie inernetowa popularność „Jaszczura" i „Ludwiczka" stała za decyzją Grzegorza Brauna, by powitać groteskową parę po jej wyjściu z aresztu (siedzieli m.in. za groźby karalne) i obwieścić, że Kamraci są „integralną częścią ruchu gaśnicowego". Na białostockim marszu Korony „Polska za pokojem" wspólnie się modlili i śpiewali „Rotę". Zwłaszcza ta modlitwa mogła niektórych zdziwić.

„Sram na Biblię, kur...a! Bo jest żydowskim gó...em! Pierd...ę ją i, kur...a, wysram się na nią, bo jest sfałszowanym dokumentem! Jest kawałkiem kur...a gó...a, rozumiesz?! Sram na nią, na to, co nam pokazują! Pierd...ę ją! Żydowskie rzygowiny to są!" – wykrzykiwał wszak całkiem niedawno podczas jednego z występów na YouTube Olszański.

W późniejszym nagraniu potwierdzał, że sra, ale tylko na Stary Testament. To wciąż daleko od katolickiej ortodoksji. „Pierd...ę »miłujcie nieprzyjacioły swoje« jest pierd...em żydowskim, nikt nie słyszał z ust Jezusa Chrystusa takiego tekstu, nigdy. To zostało mu przypisane" – tłumaczył w rozmowie z widzem swojego kanału.

Braunowe „Szczęść Boże" nie pasuje do dotychczasowej kreacji „Jaszczura". Bazowała ona na sławieniu narodowo-komunistycznego Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald", peanach na cześć Jaruzelskiego czy przechwałkach o pałowaniu w szeregach ZOMO opozycyjnych demonstracji. Na ramieniu mundurka Olszańskiego pyszni się słowiańska swastyka, a logotypy i pieczęcie ruchu kamrackiego zdobią pogańskie „ręce boga" oraz słowiański toporzeł, symbol międzywojennej Zadrugi.

Czy aby na pewno należy tu dostrzegać jakiś poważny dysonans? Przeglądając aktywność zdeklarowanych zwolenników Brauna w mediach społecznościowych, łatwo się natknąć na kołomiry, kołowroty i swargi. Internauci sławiący ruch gaśnicowy życzą sobie „Szczodrych Godów" (święto przesilenia zimowego), narzekają na długie macki Watykanu i wyśmiewają „katabasów". Żeby było jasne: to na pewno nie jest większość wśród braunistów. Ale też nie jakiś nic nieznaczący margines.

„A może ludzie stracili wszelki szacunek i zaufanie do klasy politycznej, i w kontrze do upadku i zaprzaństwa polityków właśnie chcą zagłosować na kogoś takiego jak Braun. Bez kontekstu religijnego, bo ja znam całą masę ateistów, którzy nienawidzą Kościoła, ale popierają Brauna" – tłumaczył w dyskusji na platformie X lider Wspólnoty Rodzimowierców „Watra" i autor „Modlitw słowiańskich" Rafał Merski.

Co ciekawe, jeszcze w 2016 r. na łamach pisma „Magna Polonia" Braun wspólnie z autorami będącymi w jego obozie rozjeżdżali wyznawców Swarożyca walcem. Radosław Patlewicz opisywał „Wielką Lechię, czyli wielki szwindel", ks. Roman Kneblewski gromił pogan, wzywając do budowy „Wielkiej Polski Katolickiej", a Stanisław Michalkiewicz nazywał ruch neopogański „ubeckimi rzygowinami". Być może u Brauna nastąpiła podobna zmiana jak w przypadku stosunku do Ukrainy i Rosji.

POGANIN Z SAMOOBRONY

Ale przejdźmy do prominentnej swego czasu „rzygowiny", namaszczonego w styczniu br. przez Brauna na „jedynkę" na jednej z list Korony

eprasa.pl 16b4bd8393

w najbliższych wyborach parlamentarnych Mateusza Piskorskiego.

Ów wielbiciel Putina jest dziś kojarzony przede wszystkim z procesu o szpiegostwo na rzecz Rosji i Chin. Spędził trzy lata w areszcie tymczasowym. Popierał kandydaturę Piotra Ikonowicza na stanowisko Rzecznika Praw Obywatelskich, kandydował na urzędy z lewicowych ugrupowań, zakładał promoskiewską partię Zmiana i pojechał jako szef grupy „niezależnych obserwatorów" na Krym, by legitymizować rosyjski zabór półwyspu.

Piskorski przeżywał chwile politycznej sławy jako poseł, rzecznik prasowy i krótko członek władz partii Andrzeja Leppera. Do niej wkroczył zaś wprost ze środowiska nacjonalistycznych neopogan, walczących w latach 90. XX w. o rząd dusz radykalnej młodzieży z organizacjami narodowo-katolickimi. Piskorski działał m.in. w panslawistycznej Unii Socjalno-Narodowej i Stronnictwie Narodowo-Demokratycznym, współtworzył też czerpiące z dziedzictwa Zadrugi Stowarzyszenie „Niklot".

Materialnym świadectwem tych czasów jest m.in. wydawane w Szczecinie przez Piskorskiego, Igora D. Górewicza i Marcina Martynowskiego pismo „Odala" (Odala to starogermańska runa, używana jako symbol m.in. przez Główny Urząd Rasy i Osadnictwa SS). Na okładce pierwszego numeru widzimy krzepkiego, słowiańskiego woja (albo wikinga, trudno ocenić), zamierzającego się toporem na wątłego, wykrzywionego złością zakonnika z krzyżem w ręku. W tym i kolejnych wydaniach pisma mamy istny kalejdoskop idei i postaci: entuzjastyczny tekst o Kościele Tworzyciela z USA i demaskowanie „semickich korzeni chrześcijaństwa", negowanie Holokaustu i opowieści o bohaterskich wikingach, hagiograficzną historię SS, promocję będącego „połączeniem prawdziwego satanizmu z wierzeniami pogańskimi Lucyferiańskiego Poganizmu" i wezwanie do „narodowego seksu". „Antychrześcijanin nie powinien mieć żadnego tabu, ponieważ nie tkwi w zniewoleniu wartości" – nauczał Igor D. Górewicz, zachęcając, by nie obawiać się pornografii.

Autorzy „Odali" krytykowali „jasełkowy poganizm", czyli różne festyny z rekonstrukcjami bitew, kramy z „prasłowiańską" sztuką czy radosne pląsy podczas Nocy Kupały. Oni byli na serio. Opublikowali więc opracowane przez założyciela związku wyznaniowego Rodzima Wiara, agenta komunistycznych służb o pseudonimie „Rymski" dr. Stanisława Potrzebowskiego „Wyznanie wiary lechitów". „Lechici czczą [...] Słońce i cały Wszechświat, Matkę-Ziemię, naszą rodzicielkę, i siły przyrody", ich „życie jest walką, jak walka życiem", „wiecznie rozwija się wszechogarniający człowieka jednorodny Bogo-Świat", a „zaszczytnym powołaniem człowieka jest czynny udział w tym rozwoju i stałe zwiększanie wartości życia, by go czynić lepszym i piękniejszym, by mu nadawać nadrzędne wymiary zgodne z Tworzycielską Wolą" – wykładał prawdy słowiańskiej wiary „Rymski".

Wraz ze zbliżaniem się 2000 r. wydawniczy zapał naszych pogan malał. Wciągał ich za to parlamentaryzm, którym dotąd oficjalnie gardzili. W 2002 r. Piskorski wraz z kilkoma kolegami wystartował do samorządu z list Samoobrony. „Coraz bardziej ekumeniczna robi nam się nasza kochana Samoobrona. Już nie tylko Jan Paweł II ją popiera (o czym zapewniają na ulotkach), ale też całkiem pogańscy poganie, którzy tego żydowskiego chrześcijaństwa to mają po dziurki w (nieobrzezanym) nosie. I ci poganie o gładko wygolonych głowach nie tylko platonicznie Andrzeja Leppera popierają, ale i z jego list na pierwszych miejscach do rad rozmaitych kandydują" – drwili we „Wprost" Robert Mazurek i Igor Zalewski.

BIBLIA SZATANA

Polityczne, szpiegowskie i życiowe przejścia raczej nie zwróciły Piskorskiego ku Bogu. A przynajmniej opinia publiczna nic nie wie o jego nawróceniu. Przeciwnie – wydaje się, że pozostał mu pewien sentyment do dawnych czasów, gdy sławił siłę Słowian i odwagę wikingów. Piskorskiemu zdarza się np. występować w koszulce black-metalowego satanistycznego projektu – zespołu Burzum. Jego lider Varg Vikernes to idol europejskich neopogan. Z pasją opowiada o starogermańskim „odalizmie", pięknie pogańskiej Europy i upadku, który niosą współczesne kapitalizm i komunizm. Korzysta w ten sposób z wolności, której przez długi czas był pozbawiony. W 1993 r. Vikernes został skazany na 21 lat więzienia za zabójstwo kolegi i podpalenie trzech kościołów w Norwegii.

„Jestem satanistą" – powiada Marcin Różalski, były mistrz KSW w wadze ciężkiej, dziś uczestnik wydarzeń ruchu gaśnicowego i orędownik kandydatury Brauna na prezydenta Polski.

„Satanista o gołębim sercu" – rozpisywały się o „Różalu" media, bo były sportowiec lubi pomagać, organizuje zbiórki charytatywne i prowadzi stowarzyszenie ratujące zwierzęta. Jest atrakcyjnym tematem dla mediów nie tylko z powodu sportowych sukcesów, lecz także wyglądu. Całe ciało, w tym twarz, „Różala" zdobią (powiedzmy) tatuaże. Wśród nich pentagram (a także słodki Koziołek Matołek).

„Kto to jest satanista? Satanista to poganin, ktoś, kto nie idzie w dogmatach katolickich" – tłumaczył Rożalski. „Wystarczy sobie przeczytać jakąkolwiek mądrą książkę, nie jakąś zakłamaną, napisaną przez jakiegoś cymbała, chrześcijanina, który pierd... jakieś głupoty, tylko normalną książkę. Polecam »Biblię Szatana« De La Veya" – dodawał.

Choć od tamtego czasu „Różal" raczej nie zmienił zdania na temat chrześcijaństwa, na pewno nabrał trochę ogłady. Jest patriotą, ceni więc tradycję. Stąd decyzja o wzięciu ślubu kościelnego. „Nie przysięgałem temu panu w prześcieradle i sukience, którzy przede mną stał, tylko przysięgałem mojej żonie" – tłumaczył decyzję w programie Kuby Wojewódzkiego. Na kanapie u króla TVN wyznał też, że za młodu był ministrantem. Wyrzucono go za picie wina mszalnego.

ZEŚWIECCZENI

Bijące rekordy popularności gale sportów walki, których „Różal" był gwiazdą, to element „manosfery" – internetowej kultury tworzonej przez mężczyzn i dla mężczyzn. Wojna i historia, motocykle

eprasa.pl 16b4bd8393

i samochody, siłownia i idee, polityka, ezoteryka i życiowe porady – pomny tego, że 75 proc. jego elektoratu to mężczyźni, Braun łowi tutaj wytrwale i dość skutecznie. Fanami frontu gaśnicowego są np. siłacze ze Strong Ekipy. Twórcy popularnego kanału na YT chętnie rozmawiają o życiu i polityce. Przeładowane programy nauczania w szkole (jeden z nich był nauczycielem WF), imigracja, patriotyzm, depresja wśród młodych – członkowie Strong Ekipy mają coś do powiedzenia na każdy temat. Bez mądrzenia się, udawania. Ot, normalne rozmowy mężczyzn w ich wieku i z ich wykształceniem, tyle że oglądane przez setki tysięcy odbiorców.

Pewnego dnia pokłócono się o religię. Konrad Karwat próbował jej bronić, ale nie był zbyt przekonujący. „Staram się żyć zgodnie z Dekalogiem" – podkreślał, zastrzegając, że „nie definiuje się jako katolik".

„Modlimy się, wierzymy w różne rzeczy, bo po prostu mamy to narzucone od dziecka" – dowodził Krzysztof Radzikowski. „Nie daje się wyboru. Dlaczego zostałeś ochrzczony w wieku niemowlęcym?" – pytał Karwata.

„Religa przeczy nauce, przecież wiadomo, że życie wyszło z wody na ląd. My jesteśmy bardziej inteligentnymi zwierzętami, małpami" – podkreślał z kolei Dominik Abus. „Religia jest na potrzeby człowieka. Większość emerytów i rencistów np. wierzy, że czeka na wejście do niebios. Tak ludziom się lepiej żyje" – dodawał.

Głupie? Owszem, ale napakowani faceci przedstawili przecież tylko obiegową, utrwalaną latami przez mądre głowy z „Gazety Wyborczej" i TVN wizję religii jako przestarzałego konstruktu społecznego, stworzonego przez człowieka, by stłumić jego lęk przed śmiercią, siły raczej niszczącej, blokującej rozwój nauki i samopoznanie.

Wyrażające się rezygnacją z praktyk religijnych i brakiem wiedzy o rudymentarnych zasadach i historii chrześcijaństwa zeświecczenie społeczeństwa postępuje we wszystkich klasach i sferach. Z grudniowego „Portretu największych elektoratów partyjnych" CBOS wynika, że aż 30 proc. ze zwolenników Brauna w ogóle nie uczestniczy w praktykach religijnych, a 21 proc. robi to jedynie kilka razy w roku (w przypadku elektoratu PiS wskaźnik wynosi odpowiednio 10 proc. i 19 proc.).

ANTYSYSTEMOWCY KONTRA KOŚCIÓŁ

Zimni duchowo i obojętni religijnie Polacy współtworzą „ruch gaśnicowy", czy to się komu podoba, czy nie. Nie znaczy to, że brakuje tam duchowego żaru. Sęk w tym, że nie manifestuje się on wyłącznie w ramach Kościoła. Obok neopogan za Braunem idą ludzie niesieni pocovidową falą samoleczenia, szukający uniesień w New Age'owym panteizmie. Jest szamanizm (konta z gaśnicami zachęcają np. do spożywania wywołujących trans muchomorów, podając za wzór syberyjskich szamanów). Są zwolennicy teorii płaskiej Ziemi – do tej grupy należy np. opisywana już w mediach kandydatka Konfederacji do Sejmu Żaneta Nochowicz.

Na forach braunistów znajdziemy także różnej maści ezoteryków (jeden np. szukał w ornamentach zakopiańskich kościołów dowodów na to, że w rzeczywistości są one świątyniami chaldejskich bogów), dla których religia jest bazującym „na niekwestionującej, dogmatycznej wierze, systemem, który powstrzymuje postęp Świadomości". „W podziemiach Watykanu nie kryje się wiara, kryją się technologie duszy, artefakty z Atlantydy, zakazane kody DNA i prawda o tym, że człowiek jest iskrą Boga, który zapomniał" – wyjaśnia jeden z gaśniczaków.

Popularna jest współczesna gnoza. „Chrystus [...] przybył ze Źródła ponad królestwem Demiurga, niosąc prawdziwą Gnozę – wiedzę, że jesteś boskim światłem odzianym w ciało" – twierdzi przedstawiający się jako „pisarz, podróżnik, filozof, płaskoziemca" Mateusz Panek. Przy okazji jest on administratorem promującej polityków Korony grupy na FB Cała Polska Zjednoczona/Przebudzona Świadomość.

„System zabił go, by podtrzymać swoją iluzję. Następnie ukradł jego imię, by zbudować fałszywy kościół, który głosi strach zamiast wyzwolenia" – dodaje Panek.

Grzegorz Braun jest „antysystemowy", jego wyborcy to „antysystemowcy". Oswojeni, kwestionujący tylko system polityczny, jego obecnych przedstawicieli i część oficjalnej nauki (szczepienia), i radykalna ekstrema, dla której wierzący w z grubsza kulisty kształt Ziemi tkwią w mrokach narzucanej przemocą niewiedzy. Walcząc o „antysystemowych" wyborców, Grzegorz Braun godzi się, że dla części z nich najważniejszym elementem znienawidzonego „systemu" jest Kościół. I że ludzie, którzy chcą za nim iść w ogień, nienawidzą Chrystusa, plują na niego i jak Jaszczur „srają na Biblię". Wydaje się, że jest już za późno, by śniący o potędze Braun mógł ot tak sobie odrzucić tę grupę wyborców.

> Na „jedynkę" na jednej z list Korony w najbliższych wyborach parlamentarnych Braun namaścił Mateusza Piskorskiego. Antychrześcijanina, poganina i wielbiciela Putina



Fot. Zygmunt Karwowski/East News

eprasa.pl 16b4bd8393



Akceptowana przez obecnie rządzących wulgarność własnych ministrów, posłów albo po prostu szeregowych polityków programowo zaciera różnice między tym, co właściwe, a tym, co niewłaściwe, niszcząc resztki autorytetu państwa

Cienkowska, czyli „teraz, ku...a, my”

Fot. Brumer/Super Express Warszawa/East News

eprasa.pl 16b4bd8393



MACIEJ WALASZCZYK

Krajowa scena polityczna ulega gwałtownym przeobrażeniom. Zmiana pokoleniowa narzuca ich szybkie tempo. W życie polityczne wkraczają przedstawiciele coraz młodszych roczników, a do tego ludzie z bardzo różnych środowisk, często o dyskusyjnym wykształceniu i doświadczeniu zawodowym oraz życiowym. Polityczny awans społeczny przyspiesza pojawienie mgławicowych i często sezonowych ugrupowań politycznych. Takich jak ruch Kukiz '15, partie Janusza Palikota, wykreowana i zaraz zwinięta Nowoczesna czy Polska 2050 Szymona Hołowni, będących sprężynami do politycznej kariery nie tylko dla zawodowych wyjadaczy, lecz także ludzi zupełnie przypadkowych.

Dziś to masa upadłościowa partii Hołowni przykuwa uwagę mediów i publiczności, która z niedowierzaniem obserwuje widowisko, które zorganizowali niedawni kandydaci na zbawców życia publicznego. Rekrutowali się oni spośród prowincjonalnych liderów, drobnych przedsiębiorców i działaczy, ludzi faktycznie anonimowych, zmobilizowanych na zasadzie incydentu, m.in. na fali prostego sprzeciwu wobec rządów prawicy. To – zdawałoby się – pożądane zjawisko, jednak klasa polityczna coraz bardziej się prymitywizuje, co widać choćby po coraz niższym poziomie wystąpień publicznych. To, w jaki sposób funkcjonują media społecznościowe, myli im się z „realem", do publicznej aktywności przenoszą wzorce podpatrzone w filmach Patryka Vegi. W ciągu ostatnich 25 lat symbolami sukcesu stali się przecież tzw. celebryci, patostreamerzy, gwiazdy kanałów na YouTube. W tej rzeczywistości chyba już każdy może wejść w dowolną rolę, wszyscy mogą powiedzieć wszystko, każdemu i na każdy temat. Także być politykami.

GRUPA „2026"

Upadkowi języka i schamieniu torowały drogę bezkarne ataki na policję dziennikarzy i polityków prawicy w czasach aktywności KOD czy proaborcyjne protesty z przełomu lat 2020/2021 z ich jedynym hasłem: „Wypi...ać!". Dziś już wiemy, że było ono wykrzykiwane w języku najbardziej zrozumiałym i jedynym, w jakim protestujący potrafili wyrazić swoje poglądy i uczucia. Teraz ich czołowa fala zdobyła przedsionki władzy – państwowe instytucje i ministerstwa.

Dotyczy to również projektu politycznego pod nazwą Polska 2050, gdzie rozgrywa się totalna, choć nieco zabawna walka o władzę, a faktycznie o zarządzanie masą upadłościową i idącymi w miliony partyjnymi subwencjami. Jest ona bezpardonowa, a jej twarzą stała się pełniąca – *nomen omen* – funkcję minister kultury Marta Cienkowska.

Jeszcze dwa lata temu, wyjaśniając powody, dla których zaangażowała się w politykę, Cienkowska mówiła, że chciałaby sprawić, by w Sejmie było „bardziej spokojnie", „trochę merytorycznie" i oczywiście była przekonana, że lepszą jakość debaty politycznej zagwarantuje większa liczba kobiet i ludzi młodych. A w ogóle to była wtedy „wściekła", bo Sejm – według niej – nigdy nie reprezentował przekroju całego społeczeństwa. Czy to się zmieniło?

Jak widać, Cienkowska posłem nie została, ale pozostała wściekłość. Pod koniec ubiegłego roku na jednym z komunikatorów założono grupę „2026", której członkami została część polityków Polski 2050. To zwolennicy Szymona Hołowni. Z ujawnionych przez Onet zapisów wewnętrznej dyskusji wokół wyboru nowego przewodniczącego tej partii wynika, że za sprawą Cienkowskiej partyjna polityka nie stała się „bardziej spokojna", a minister kultury wzięła udział we frakcyjnej próbie storpedowania demokratycznej elekcji. Choć kobiety miały podobno tonować polityczne ekscesy, to właśnie kobieta wzywała swoich towarzyszy do podjęcia próby politycznego przewrotu, by „pokazać jaja" (!) i nie oglądać się przy tym na nikogo, a więc „je...ć przychylne media". Minister kultury w swej argumentacji lubi być po knajacku dosadna: „Słuchajcie, na razie nie ma co pier...ć bez sensu, trzeba przesunąć wybory", albo: „Jak zmienimy zarząd i się weźmiemy do roboty, to wszyscy zapomną o tej napie...lance i planowanym przewrocie".

We wspomnianej przedwyborczej rozmowie pochodząca z Ciechanowa Cienkowska narzekała też, że młodzi z małych miast muszą je opuszczać w poszukiwaniu pracy, a dziś jest ministrem u polityka kojarzonego z tzw. transformacją i upadkiem gospodarczym prowincji. Na razie zadbała głównie o siebie – jest znana z licznych zagranicznych podróży na koszt podatnika. Oczywiście w ramach obowiązków służbowych.

CHAMSTWO JAKO TARAN DO WŁADZY

Granice tego, co dopuszczalne, są płynne. Bluzgi Cienkowskiej, prostactwo byłego nauczyciela, a teraz posła Marcina Józefaciuka zdają się drażnić znacznie bardziej niż naturalne chamstwo Lecha Wałęsy, które z kolei kontrastowało ze skalkulowanym chamstwem Władysława Frasyniuka. Dzieje się tak, bo władza ośmiela do tego masy w poszukiwaniu akceptacji i lepszej komunikacji. Podobno wulgarne jest nie to, co motłoch robi, lecz to, co mu się podoba.

Gdy po raz pierwszy oglądałem występy internetowe Klaudii Jachiry, myślałem, że to osoba chora psychicznie, którą ktoś namawia do występów przed kamerą. Tymczasem po jakimś czasie została zaproszona przez Grzegorza Schetynę do walki o mandat poselski. Intencja była jasna – przenieść do Sejmu wariackie ekscesy z YouTube. Tak się stało, a pseudokabaret Jachiry był wyłącznie manifestacją brutalności, której Platforma Obywatelska potrzebowała do walki o władzę. Używała go przecież nieustannie od 2005 r., a jej głównymi aktorami przez lata pozostawali Stefan Niesiołowski czy Palikot.

W 2023 r. najbardziej perwersyjnym sposobem mobilizacji wyborców Koalicji Obywatelskiej i całego obecnego obozu władzy oraz narzędziem moralnego obezwładnienia przeciwnika był przecież bezwzględny hejt stosowany przez ludzi przebranych w sugerujące ich czyste intencje białe koszule z wpiętymi weń biało-czerwonymi serduszkami. Za zaklęciami o polityce miłości maskowano zapowiedź politycznego odwetu pod hasłem: „Je... PiS" – które zresztą wielu z nich traktuje całkiem dosłownie.

eprasa.pl 16b4bd8393

Nie chodzi o to, by popadać w świętoszkowaty ton, ale udział w życiu politycznym powinien obligować do samokontroli i zdrowej hipokryzji. Ma wymuszać zachowywanie pozorów konwencji innych niż w nieoficjalnych okolicznościach. Niestety – jak celnie zauważył niemiecki powieściopisarz i eseista Michael Klonovsky – wkroczenie w epokę postkulturalną dokonuje się w chwili, kiedy wyobrażenia szefa państwa o luksusie nie różnią się od wyobrażeń rapera. Podobnie z używanym językiem, np. sposobem przemawiania, gdy rządzący zaczynają używać hip-hopowego slangu i zachowywać jak dresiarze.

Sama Cienkowska przyznała, że jest „ziomkiem" i podobno miała dylemat, czy w ministerstwie pojawiać się w t-shircie i trampkach. Gdy siedząc na murku z piwem, dochodzi do wniosku, że „nie ma co pie...ć bez sensu", nie ma to dla nikogo żadnego znaczenia. Co innego, gdy mówi to nawet w czasie nieoficjalnych politycznych uzgodnień, a do tego jako minister kultury. Tylko dlatego treść tej poufnej konwersacji trafiła do mediów.

Brutalny język używany w masowej polityce jest rzeczywistością wszystkich demokratycznych państw. To wszystko naprawdę każe poważnie zastanowić się nad kondycją europejskich społeczeństw. Być może po kolejnym eksperymencie z wciąganiem do polityki niespełnionych przedsiębiorców, celebrytów i nawiedzonych społeczników warto ustalić jakiś niepisany ogólnonarodowy konsensus, by każdy zajmował się tym, do czego został powołany? Jeśli ktoś się czuje „ziomkiem" – jak Marta Cienkowska – niech nim pozostanie.

PIENIĄDZE DLA „SWOICH"

Tymczasem na nasze nieszczęście i z woli Donalda Tuska została kolejnym ministrem kultury. Jej wyobrażenia o tej roli nie przekraczają jednak wyobrażeń menedżera kulturalno-oświatowego. Nieważne, co sprzedaje się ludziom do oglądania w domach kultury, teatrach, galeriach – ważne, by sprytnie spiąć to z publicznymi pieniędzmi. Dodatkowo środki będące w dyspozycji państwa i samorządów stanowią idealne żerowisko, szczególnie „artystów" sprzyjających władzy i związanych z lewicą. To, co prezentują, zazwyczaj nie ma prawa przynosić dochodów.

Cienkowska przedstawiła więc w Sejmie projekt ustawy o statusie artysty zawodowego. Zgodnie z jego założeniami m.in. plastycy, twórcy teatralni, muzycy, a także dziwaczni performerzy i prowokatorzy zarabiający poniżej średniej krajowej będą mogli otrzymywać czasowe wsparcie państwa, np. dopłaty do składek ZUS. Co więcej, oceny tego, czy ktoś spełnia kryteria artysty zawodowego, nie będą dokonywać urzędnicy, np. zatrudnieni w resorcie kultury, lecz samo środowisko artystyczne. Nie będą oni też musieli zakładać działalności gospodarczej, bo – jak mówiła prezentująca projekt Cienkowska – „te pieniądze po prostu należą się naszym artystom".

> Choć kobiety miały podobno tonować polityczne ekscesy, to właśnie kobieta wzywała swoich towarzyszy z Polski 2050 do podjęcia próby politycznego przewrotu, by „pokazać jaja" (!) i nie oglądać się przy tym na nikogo, a więc „je...ć przychylne media"

Lewicowa władza opłaci więc swoich, sfinansuje ich składki z kieszeni podatników – a wszystko dotyczy środowiska, które od lat jest politycznie zogniskowane wokół obecnej lewicowo-liberalnej oligarchii. A prawdziwi przedsiębiorcy czy samozatrudnieni, którzy też żyją z nieregularnych wpływów, mają sobie radzić sami.

Obrazu dopełniają oczywiście ogłoszone wyniki naboru do programu „Czasopisma 2026". W jego ramach zostało przyznane dofinansowanie dla 75 tytułów w wysokości 12,2 mln zł. Bardzo duże kwoty otrzymają oczywiście czasopisma o profilu lewicowym i liberalnym, a te zorientowane konserwatywnie pozostaną bez wsparcia ze strony resortu. Ministerstwo bez żenady również tu faworyzuje swoich, a wiele periodyków otrzymało od rządu Tuska gwarancje w perspektywie trzyletniej (2026–2028). Są to m.in takie tytuły jak „Kultura Liberalna", „Liberté!", „Pismo. Magazyn Opinii" czy od lat funkcjonująca w cieplarnianych warunkach „Krytyka Polityczna". Mimo uzyskania wysokich ocen, pieniędzy nie otrzymały m.in. zasłużone krakowskie „Arcana", wprost rewelacyjna „Teologia Polityczna Co Tydzień", Fundacja św. Benedykta i pismo „Christianitas", wydawane przez Klub Jagielloński „Pressje", profesjonalnie zajmujący się problemami międzynarodowymi „Układ Sił" czy „Polityka Narodowa", która choćby w ostatnim czasie wypuściła świetny tom poświęcony piastowskiemu dziedzictwu politycznemu. Jednocześnie kierowany przez Cienkowską resort objął opieką czasopisma regionalne oraz reprezentujące mniejszości narodowe i etniczne, ale poskąpił środków dla polskich środowisk kresowych.

SMUTNA KONSEKWENCJA DEMOKRACJI

Te złe obyczaje są typowo demokratyczne i stanowią logiczną konsekwencję realnej demokracji. By wygrywać wybory, trzeba manipulować masami, eksploatując histeryczne nastroje i łamiąc obowiązujące konwencje. Kto jako polityk nie chce w tym uczestniczyć, oddaje pole przeciwnikom, którego potem już nie zdoła odbić. Na bluzgi Cienkowskiej zareagowano jednak z różnych stron. Może istnieje świadomość, że skoro każde zachowanie jest dozwolone, to życie publiczne ulega rozpadowi, a jedyną racją jest dorwanie się do władzy na zasadzie: „Teraz, ku...a, my!". Akceptowana przez obecnie rządzących wulgarność własnych ministrów, posłów czy po prostu szeregowych polityków programowo zaciera różnice między tym, co właściwe, a tym co niewłaściwe, niszcząc resztki autorytetu państwa. To być może nawet logiczne, skoro lansowana przez nich ideologia płciowa twierdzi, że bycie mężczyzną jest tym samym, co bycie kobietą.

eprasa.pl 16b4bd8393

Próby regermanizacji, czyli Fryderyk II w Kostrzynie

Feta na cześć pruskiego króla Fryderyka II w Kostrzynie wywołała skandal na całą Polskę. Organizatorzy uroczystości próbują tłumaczyć, że miała to być „impreza z przymrużeniem oka" i nie wyrażano intencji czczenia śmiertelnego wroga Rzeczypospolitej. Ale i tak zdarzenie wpisało się w nieustający ciąg doniesień o gloryfikowaniu i eksponowaniu wrogiego Polsce dziedzictwa na Ziemiach Zachodnich



PIOTR GURSZTYN

„Podeszliśmy do tego z przymrużeniem oka, na luzie, bez zadęcia" – tak brzmiały wyjaśnienia Ryszarda Skałby, dyrektora Muzeum Twierdzy Kostrzyn, czyli głównego organizatora kontrowersyjnej imprezy. To on wraz z burmistrzami miasta Kostrzyn i partnerskiej gminy niemieckiej Letschin zapraszał na „uroczystość" (jak nazwano to na zaproszeniu) przekazania do muzeum płyty upamiętniającej pobyt Fryderyka w Twierdzy Kostrzyn. Chodzi o przedwojenny artefakt, który w latach 90. XX w. został wywieziony do Niemiec przez obywatela tego kraju.

Muzeum od lat starało się o odzyskanie tego obiektu. W końcu się udało, ale muzealniczy sukces został zamieniony przez samych zainteresowanych w ogólnokrajowy skandal. Zresztą był to sukces o znaczeniu lokalnym, bo przedwojenna tablica nie ma szczególnego znaczenia artystycznego ani historycznego. Mimo to organizatorzy zaprosili na uroczystość „przy wtórze wystrzałów artyleryjskich", „w obecności Jego Wysokości Fryderyka II w 314. rocznicę jego urodzin". Wybrano zatem datę nieprzypadkową, a najbardziej spektakularnym elementem imprezy była obecność osoby przebranej za króla Fryderyka oraz rekonstruktorów w pruskich mundurach, którzy oddali salut artyleryjski.

ŚMIERTELNY WRÓG POLSKI

Niby zabawa, ale przez Polskę przeszła fala oburzenia. A może to przesada i przewrażliwienie, że zbyt poważnie podchodzimy do historii sprzed trzech wieków? Jednak nie. W galerii śmiertelnych wrogów Polski Fryderyk II zajmuje czołowe miejsce. Historia osądziła go jednoznacznie. Władysław Konopczyński, wybitny historyk, przy tym więzień obozu koncentracyjnego Sachsenhausen, gdzie trafił wraz z innymi profesorami aresztowanymi w czasie Sonderaktion Krakau, napisał osobną monografię poświęconą stosunkowi Fryderyka wobec Polski. „Otóż historia nie zna przykładu, aby jeden człowiek włożył tyle nienawiści w swój stosunek do sąsiedniego narodu, ile jej przez pół wieku wydzielił z siebie Fryderyk zwany Wielkim" – napisał w pracy „Fryderyk Wielki a Polska".

Być może słowa o tym, że historia nie zna podobnych przykładów, są retoryczną przesadą, ale pozostaje faktem, że stosunek Fryderyka wobec Polski i Polaków był skrajnie wrogi oraz pogardliwy. To on był motorem pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej. „Biednych tych Irokezów będę się starał oswoić z cywilizacją europejską" – pisał o Polakach z anektowanych przezeń terytoriów, aby usprawiedliwić rabunek. W całej Europie uprawiał antypolską propagandę o cechach niemal rasistowskich, którą można uznać za wstęp do eksterminacyjnej polityki III Rzeszy. Z jednej strony żywił do Polaków pogardę, z drugiej sam przyznawał, że kłamał. Wcielił do swojego państwa bardzo bogate prowincje – Prusy Królewskie, Warmię, okręg nadnotecki. Wzbogacił się na tym, ale twierdził (i nadal są autorzy, którzy to głoszą), że dokonał tam dzieła cywilizacyjnego. „Jest to bardzo dobry nabytek pod względem politycznym, jak



Fot. Huis Doorn

eprasa.pl 16b4bd8393

i finansowym. Aby jednak uniknąć zazdrości, mówię wszystkim, że widziałem tylko piaski, świerki, wrzosowiska i Żydów" – pisał do swojego brata o ziemiach zagarniętych w czasie I rozbioru.

Jedną z pobudek do dokonania tego rabunku była chęć sparaliżowania pierwszych znaczących prób zreformowania Rzeczypospolitej. M.in. wprowadzenia cła generalnego, na które Fryderyk zareagował, wystawiając armaty nad brzegiem Wisły i łupiąc polskie statki płynące do bałtyckich portów. Wcześniej, podczas wojny siedmioletniej, systematycznie łupił tereny należące do neutralnej Rzeczypospolitej. Kazał uprowadzić dziesiątki tysięcy ludzi z ziem polskich, aby zasiedlać swoje tereny. Na gigantyczną skalę fałszował polską monetę, finansując w ten sposób pruską machinę wojenną.

Ale nie tylko polskie urazy przekreślają postać Fryderyka. Pruski król był międzynarodowym gangsterem. Pod bardzo wątpliwymi pretekstami zagarnął należący do Austrii Śląsk. Wykazał się „pomysłowością" w stylu sowieckich czy putinowskich uzasadnień agresji na inne państwa. Najpierw pod pretekstem ochrony praw Austrii wkroczył na te ziemie, ale gdy władająca Śląskiem Maria Teresa zażądała wycofania pruskich wojsk, znalazł „uzasadnienie" w postaci jakiegoś odległego przodka, który wieki wcześniej epizodycznie rządził w jednym ze śląskich księstewek.

Wojnę siedmioletnią rozpoczął od najazdu na neutralną Saksonię i jej złupienia. „Natchnął" tym działaniem późniejszych niemieckich strategów, którzy w 1914 r. napadli na neutralną Belgię i Luksemburg.





A potem, w 1940 r., już pod wodzą Adolfa Hitlera, wiele neutralnych państw – Danię, Norwegię, Luksemburg i Holandię. Wspomniany prof. Konopczyński już po II wojnie światowej pisał o Fryderyku: „Zaszczepił on niemieckiemu narodowi jeszcze większe, światowe posłannictwo ujarzmiania i pożerania wszystkich ludów naokoło".

Wywołał cztery wojny. Liczba ich ofiar grubo przekracza 1 mln zabitych i zmarłych. Wojna siedmioletnia (1–1,4 mln ofiar) jest uznawana za konflikt, który w istocie można nazwać światowym. Czyli Fryderyk należy do tej samej kategorii co cesarz Wilhelm II i Hitler, bo oni też wywołali wojny światowe.

DZISIEJSI FANI FRYDERYKA

Liberałowie wyśmiewają lub lekceważą negatywne reakcje na zdarzenie z Kostrzyna. Uważają, że to prawicowe, polskie przewrażliwienie. Fryderyk nawet im się trochę podoba, bo uważają go za władcę nowoczesnego, który modernizował swój kraj. Szczególnie podoba się jego podejście do religii – lekceważące i pogardliwe – które nie wynikało z jakiegoś przemyślanego światopoglądu, lecz ze zwykłego cynizmu. Ta cecha była bowiem dominującym elementem osobowości pruskiego monarchy, co muszą przyznać także życzliwi mu biografowie. Tak samo fryderycjańska modernizacja nie miała służyć dobru mieszkańców Prus – jej celem była stała rozbudowa agresywnej machiny wojennej.

Dzisiejsi fani Fryderyka oraz ci, którzy relatywizują jego postać, powinni wziąć pod uwagę, że kult tego władcy stanowił najważniejszy element pruskiego, a potem niemieckiego militaryzmu. Agresywny król był inspiracją dla Adolfa Hitlera, który troskliwie dbał o jego pamięć. Nazywał go swoim najważniejszym wzorem historycznym. Portrety Starego Fryca zdobiły gabinety Hitlera, nazistowska kinematografia wydawała ogromne sumy na filmowe superprodukcje gloryfikujące podboje Fryderyka. Nie przypadkiem dobrze zapamiętanym epizodem propagandy NSDAP był plakat przedstawiający Fryderyka II, Bismarcka i Hitlera jako sztafetę pokoleń. Również NRD – gdy popadała w coraz większy kryzys tożsamości – zaczęła się odwoływać do postaci Starego Fryca jako władcy postępowego, który bezinteresownie służył państwu i walczył z reakcyjnymi Habsburgami.

Liberałom warto też przypomnieć, że jeśli zależy im na dobrych relacjach polsko-niemieckich, to nie powinni honorować ani eksponować postaci, która jest jedną z najgorszych twarzy z dziejów naszego zachodniego sąsiada. A trzeba przy tym pamiętać, że także wielu Niemców ma jednoznacznie negatywny stosunek do pruskiej tradycji, a szczególnie do Fryderyka jako agresywnego militarysty i bezwzględnego rabusia

Fot. Muzeum Twierdzy Kostrzyn/Facebook

eprasa.pl 16b4bd8393

ŚWIADOMA POLITYKA

Historia z Kostrzyna przeszłaby pewnie bez echa, gdyby nie była częścią większej całości. Polska opinia publiczna nazbyt często dowiaduje się o inicjatywach, które bywają traktowane jako przejawy „regermanizacji" Ziem Zachodnich. To określenie najczęściej jest zbyt mocne, ale pozostaje faktem, że co rusz zdarzają się inicjatywy, które wpisują się w politykę historyczną Niemiec, a nie Polski.

Niedawno podano informację, że na wyremontowanym dworcu PKP w Szczytnie został odrestaurowany napis „Ortelsburg". We Wrocławiu renowację przeszedł Most Grunwaldzki, w ramach której odtworzono niemiecki napis „Kaiserbruecke". Czyli *de facto* uczczono pamięć cesarza Wilhelma II, człowieka jednoznacznie wrogiego Polakom, który m.in. na strajk polskich dzieci we Wrześni zareagował zapowiedzią rozprawienia się z „polską butą".

Obrońcy takich działań argumentują, że to tylko odtwarzanie śladów przeszłości. Oraz że nie da się wymazać niemieckiej przeszłości Ziem Zachodnich i Północnych, że taka jest ich historia. Można by to było przyjąć, gdyby nie szerszy kontekst, który trzeba tu opisać – bo jest faktem, że tzw. stara Polska, czyli mieszkańcy obszarów, które w 1939 r. pozostawały w granicach naszego kraju, mało wiedzą o specyfice Ziem Zachodnich. A dotyczy to jednej trzeciej terytorium Rzeczypospolitej.

Przełomowy był 1990 r., kiedy zaczęła się swoboda badań i publikacji na temat lokalnej przeszłości. Nastąpiło odreagowanie po czasach komunistycznych, gdy duża część publikacji na ten temat nosiła cechy tępej propagandy. Miejscowe społeczności próbowały określić swoją tożsamość i ustosunkować się do poniemieckiej spuścizny. Była to też odpowiedź na zatomizowanie tamtejszych lokalnych wspólnot. To jest ta zasadnicza cecha, która odróżnia Ziemie Zachodnie i Północne od „starej Polski".

Te działania wiele razy wiodły na manowce. Najczęściej bez złych intencji – po prostu mieszkańcy danych gmin bardzo chcieli mieć jakąś „swoją" słynną postać historyczną lub takie wydarzenie, a w wielu miejscach nie sposób było znaleźć odpowiednich polskich śladów. W mniejszych miejscowościach lokalną historią zajmowali się badacze amatorzy lub społecznicy. Niedostateczne kompetencje, naiwność lub brak wyczucia bywały przyczyną wpadek. Nastąpiła tu jednak pozytywna zmiana. Wpływ na nią miało wzmożone w ostatnich latach zainteresowanie historią w skali ogólnopolskiej, działalność Instytutu Pamięci Narodowej oraz rozczarowanie intencjami strony niemieckiej. Lokalni społecznicy i miłośnicy historii zaczęli dostrzegać coś, co zostało nazwane „kiczem pojednania". Dodatkowo bardziej dogłębne badania pozwoliły znaleźć wiele niespodziewanych polskich akcentów.

Wpadki wynikające z braku wiedzy lub naiwności nadal się zdarzają, szczególnie w mniejszych miejscowościach. I nie one są problemem. Prawdziwym dramatem jest to, co dzieje się w największych miastach, które są ośrodkami akademickimi. Tam nie ma kwestii przypadku, braku wiedzy czy kompetencji. Mowa zwłaszcza o Gdańsku, Wrocławiu i Szczecinie. Tam relatywizacja historii jest świadomą polityką. Przywiązanie do historii narodowej raczej nie skłania do głosowania na polityków liberalnych bądź lewicowych, a to oni rządzą w tamtejszych samorządach. Ludzie o takich poglądach dominują zaś w ważnych instytucjach, ze szkolnictwem wyższym na czele. Rozmywanie przeszłości w duchu jakiegoś karykaturalnego multi-kulti jest elementem wpływania na świadomość społeczną.

Wpadki wynikające z braku wiedzy lub naiwności nadal się zdarzają, szczególnie w mniejszych miejscowościach. I nie one są problemem. Prawdziwym dramatem jest to, co się dzieje w największych miastach: Gdańsku, Wrocławiu i Szczecinie. Tam relatywizacja historii jest świadomą polityką

„Na początku było słowo, złe słowo. Słowo jednego przeciwko drugiemu. I to złe słowo było słowem Polaka przeciwko innemu narodowi, Niemca przeciwko innemu narodowi" – snuł swoją wizję genezy II wojny światowej wiceprezydent Gdańska Piotr Grzelak. W jego mieście patronem jednego z tramwajów został Adolf Butenandt, noblista związany z przedwojennym Gdańskiem. Ale jednocześnie zaangażowany nazista, który prowadził badania ważne dla wysiłku wojennego Trzeciej Rzeszy, a prawdopodobnie miał też związki z eksperymentami medycznymi dr. Mengelego. Rada miasta Gdańska wpadła też na pomysł, aby nazwać jedno z miejsc Rondem Granicznym Wolne Miasto Gdańsk–Rzeczpospolita Polska. Tak jakby pamięć Wolnego Miasta, które stało się piekłem dla miejscowych Polaków, była czymś, co warto czcić. To także miejska instytucja, czyli Muzeum Gdańska, urządziła niedawno wystawę o Polakach wcielonych do Wehrmachtu pod nazwą „Nasi chłopcy". Oficjalnie żeby pokazać „tragiczny los ludzi, którzy znaleźli się pod brutalnym przymusem". Jeśli rzeczywiście taka była intencja organizatorów, całkowicie im się to nie udało, bo efektem był skandal i oburzenie.

Chyba jednak chodziło o prowokowanie polskiego „ciemnogrodu". Tak jak z decyzją, aby w najważniejszej auli Uniwersytetu Wrocławskiego zawiesić portret króla pruskiego Fryderyka II. Uczelnia tłumaczyła to... przywróceniem historycznego charakteru. Rzecz jednak w tym, że aula została wybudowana jeszcze przed podbojem Śląska przez Prusaków, a Fryderyk był tam agresorem i okupantem.

„Za złoto można wszystko w Polsce zdziałać" – uważał niegdyś bohater tego tekstu, czyli król pruski Fryderyk II. Nie będzie przesadą twierdzenie, że dzisiaj złoto zostało zastąpione przez granty i stypendia. Dzięki nim zawsze znajdą się „autorytety", które orzekną, że nie ma nic złego w gloryfikowaniu i relatywizowaniu niemieckiej przeszłości polskich Ziem Zachodnich i Północnych.

eprasa.pl 16b4bd8393



Premier z kompleksów



Donalda Tuska najbardziej gnębią i wywołują jego wściekłość kompleksy wobec Karola Nawrockiego



STANISŁAW JANECKI

Wszystkie publiczne uwagi Donalda Tuska będące zaczepką bądź prowokacją wobec Karola Nawrockiego wynikają z ogromnych kompleksów premiera wobec prezydenta. W otoczeniu szefa rządu krążą opowieści, że zaczynają się one od wyglądu, co uznaje się za groteskowe: Tusk zazdrości Nawrockiemu, że jest wysoki (ma 186 cm wzrostu, podczas gdy Tusk – 174 cm), ma wysportowaną sylwetkę i wzdychają do niego nawet polityczne przeciwniczki, np. Joanna Scheuring-Wielgus. A przecież Donald Tusk przez lata starał się być najbardziej wysportowanym zawodowym polskim politykiem, w dodatku o najlepszej sylwetce. Wraz z pojawieniem się Karola Nawrockiego to wszystko „poszło się czochrać".

Tusk miał opowiadać, że szlag go trafia, gdy widzi Nawrockiego wyższego od innych przywódców lub równego im wzrostem, natomiast on sam zwykle należy do najniższych. Ma to być ujma dla premiera, bo lubi on podkreślać, że jest wysoki i z tego powodu czuje przewagę nad Jarosławem Kaczyńskim, czemu wielokrotnie dawał wyraz. Ten kompleks (podobny do kompleksu Rafała Trzaskowskiego na punkcie wzrostu) śmieszy nawet ludzi z otoczenia Tuska, ponieważ w polityce (i nie tylko) nie ma to znaczenia. Banalna sprawa wyglądu stanowi tylko wstęp do długiej listy kompleksów obecnego szefa rządu.

PARWENIUSZ Z PROWINCJI

Tusk ma wobec Nawrockiego kompleks wykształcenia. Ukończył historię (specjalność nauczycielska) na tym samym uniwersytecie co prezydent i choć w swoich książkach oraz różnych wypowiedziach stara się odgrywać rolę kompetentnego historyka, ujawnia liczne braki, co jest źródłem zgryzot i zazdrości. Bo prezydent z łatwością skacze po różnych wątkach i okresach historycznych. Tusk nie może znieść intelektualnej wyższości Nawrockiego także z tego powodu, że był traktowany przez warszawskich liderów Unii Demokratycznej i Unii Wolności – przede wszystkim przez prof. Bronisława Geremka – jak niedouczony prowincjusz i parweniusz, którego nie da się zaliczyć do grona intelektualistów. W listopadzie i grudniu 2000 r. za pomocą tych argumentów Geremek zakulisowo walczył z Tuskiem o przywództwo w Unii Wolności. I w grudniu 2000 r. wygrał, uzyskując na V Kongresie Unii Wolności 338 głosów, podczas gdy Tusk otrzymał 261.

Tusk się obraził i miesiąc później zrezygnował z członkostwa w partii. Obraził się m.in. dlatego, że uważał, iż ma ogromne zasługi dla intelektualnego dorobku opozycji antykomunistycznej, skoro razem z Wojciechem Dudą w 1983 r. zakładał „Przegląd Polityczny" i przez kilka lat był jego redaktorem naczelnym. W 1998 r. w ramach „Biblioteki Przeglądu Politycznego" wydano książkę Tuska „Idee gdańskiego liberalizmu", która stanowiła podsumowanie dorobku intelektualnego tego środowiska i jego osobistego wkładu, jednak nie zmieniło to nastawienia intelektualnej warszawki do późniejszego trzy-

Fot. Andrzej Wiktor x2

eprasa.pl 16b4bd8393

krotnego premiera. Teraz Tusk cierpi, ponieważ Nawrocki łatwo wskoczył do grona elity intelektualnej.

Wielkim kompleksem Donalda Tuska jest to, co wydawało mu się ogromną przewagą. Nauczył się angielskiego i grał tym, że dominuje w tej kwestii nad prezydentami Andrzejem Dudą i Karolem Nawrockim. Szybko się jednak okazało, że Nawrocki lepiej posługuje się angielskim niż Tusk. I to wywołuje wściekłość premiera – podobnie jak łatwość prowadzenia przez Nawrockiego kuluarowych rozmów w tym języku. Szef rządu był pewny, że ma przewagę w angielskim i wszystkim, co się z tym wiąże, więc wściekł się, kiedy się okazało, że tak nie jest.

Olbrzymim kompleksem Tuska jest łatwość, z jaką Nawrocki zastąpił Dudę w relacjach z Donaldem Trumpem i przedstawicielami jego administracji. Premier liczył na to, że po zakończeniu prezydentury Dudy będzie mógł wskoczyć w wolne miejsce w czasie przejściowym, jednak tak się nie stało, bowiem Nawrocki nawiązał świetne kontakty już podczas kampanii wyborczej. A teraz dosłownie dostaje szału, gdy Trump wymienia Nawrockiego – jak w styczniu 2026 r. w Davos – i chwali go jako świetnego polityka oraz człowieka. I to jest najskuteczniejsza forma promocji, jaką można sobie wyobrazić, bo praktycznie każdy zwraca uwagę na kogoś, kogo regularnie wymienia i chwali prezydent USA. Trumpa można nie lubić, ale zwraca się uwagę na tych, których traktuje on w sposób szczególny. Tusk nigdy nie mógł liczyć na względy nawet w gronie przywódców państw Unii Europejskiej – nie licząc Ursuli von der Leyen, ale ona okazywała je wyłącznie po to, by pomóc Tuskowi wygrać wybory 13 października 2023 r.

KTO JEST ULUBIEŃCEM POLAKÓW?

Donald Tusk ma wielki kompleks tego, jak zwykli Polacy traktują Karola Nawrockiego. Premier bywa witany spektakularnie, ale tylko przez wiernych zwolenników. Przeciętni Polacy reagują na niego chłodno. Natomiast prezydent spotyka się z entuzjastycznym przyjęciem przez ogromną większość naszych rodaków. Tusk specjalnie ćwiczył różne sztuczki, żeby wkraść się w łaski zwykłych ludzi, ale ci czuli, że jest to sztuczne i nie traktowali go jak swego.

Kompleksy Tuska wynikają także z tego, że Nawrocki jest obecnie najważniejszym gdańszczaninem, co objawia się nie tylko specjalnym traktowaniem na stadionie Lechii Gdańsk. Współcześnie z Nawrockim nie może się równać nie tylko Tusk, lecz także Lech Wałęsa. Premier wścieka się z tego powodu, tym bardziej że Gdańsk był i jest twierdzą najpierw Platformy Obywatelskiej, a teraz Koalicji Obywatelskiej. Dlatego szef rządu odbiera popularność Nawrockiego w tym mieście jako wyjątkową obelgę.

Tusk ma też kompleksy dlatego, że Nawrocki znakomicie funkcjonuje poza polityką. Oprócz epizodów w spółdzielni Świetlik z myciem różnych obiektów na wysokościach – co dla kogoś młodego i sprawnego nie jest niczym wielkim – Tusk nie zna innego świata niż polityka. Natomiast Nawrocki doskonale radził sobie także poza polityką, nie tylko jako dyrektor Muzeum II Wojny Światowej i prezes Instytutu Pamięci Narodowej.

Tusk wścieka się także dlatego, że znakomicie wypada pierwsza dama Marta Nawrocka, a bardzo liczył na to, iż nie da sobie rady i będzie ukrywana przez prezydenta. Tusk ma tym większy kompleks, że obecnie oficjalnie nie pokazuje się z żoną Małgorzatą, tak jakby nie istniała. No i oczywistym kompleksem premiera jest to, co żona napisała o nim w książce „Między nami", w której m.in. opisała, jak i dlaczego zdradziła męża. Szef rządu ma nawet kompleks z powodu dzieci prezydenta. Zawsze uważał, że dzieci i wnuki to jego wielki atut, a okazało się, że w wypadku prezydenta jest on jeszcze większy. Tym bardziej że syn Tuska przysporzył mu kłopotów w związku z aferą Amber Gold i liniami lotniczymi OLT Express, więc od tego czasu praktycznie się z nim nie pokazuje. Nawet na narty w Dolomity jeździ tylko z córką i zięciem oraz ich dziećmi.

Tusk uważa, że nie obciąża go reset z Rosją po 2007 r. i bezwarunkowe poddanie się Putinowi, gdy chodzi o katastrofę smoleńską, gdyż teraz jest pryncypialnym rusofobem, co – jak lubi podkreślać – zdumiewa jego kolegów podczas spotkań w ramach Rady Europejskiej. Ma jednak kompleks z powodu tego, że to Nawrocki (jak niegdyś prezydent Lech Kaczyński) pozostaje znienawidzony w Moskwie. I jest ścigany przez rosyjską prokuraturę, a Tusk otwarcie nigdy nie został zaatakowany nawet przez rosyjskie media. Jest mu wręcz głupio, że w Moskwie i w Mińsku trzymano za niego kciuki przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r., natomiast Nawrocki był bezwzględnie atakowany przed wyborami prezydenckimi w 2025 r.

POLAK KONTRA „NIEMIEC"

Powodem kompleksów Donalda Tuska wobec Karola Nawrockiego jest to, że chyba nigdy nie wyzwoli się z łatki „Niemca", z traktowania go jako takiego przez kanclerz Angelę Merkel i bezlitosnego wykorzystywania tego przy forsowaniu niemieckich interesów. Innym powodem kompleksów było lekceważenie go przez kanclerza Olafa Scholza, a w jeszcze większym stopniu – „dyrygowanie" nim przez kanclerza Friedricha Merza, czyli robienie z Tuska w najlepszym razie kamerdynera. Jest jeszcze pewność, że premier nigdy nie podniesie wobec Berlina kwestii reparacji. To odwrotność postawy Nawrockiego, który jako dyrektor Muzeum II Wojny Światowej „odniemczył" wystawę stałą tej placówki i ani na moment nie odpuścił Niemcom kwestii reparacji. Z tego powodu niemieckie media nie znoszą Nawrockiego, ale go szanują, natomiast w przypadku Tuska jest odwrotnie.

Liczne kompleksy Donalda Tuska wobec Karola Nawrockiego powodują, że jest on agresywny, a często chamski, wścieka się, iż po dekadach nie osiągnął tego, co Nawrocki zdobył po roku. Te kompleksy bardzo negatywnie wpływają na sposób sprawowania władzy przez premiera. Wywołują też agresję wobec głowy państwa, choć to szef rządu znacznie bardziej potrzebuje prezydenta niż odwrotnie – co też jest jednym ze źródeł kompleksów. Poza tym Tusk – choć o tym marzył – nie został i nie zostanie prezydentem.

eprasa.pl 16b4bd8393

Najpierw głosowali na Tuska, a teraz boją się o swoją przyszłość. „Newsweek" opisuje historie lemingów, którzy ciągle nie potrafią zrozumieć, dlaczego żyje im się gorzej



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Klasa lekkopółśrednia

Wszystko wskazuje na to, że mamy kolejną ofiarę rządów Tuska. Jeśli wierzyć liberalnym mediom, polska klasa średnia wpadła w poważne tarapaty finansowe i wielu jej członkom grozi deklasacja. „Trzy lata temu czułem, że mogę wszystko. A teraz..." – cytuje pracownika dużej korporacji „Newsweek" w artykule pod alarmującym tytułem: „Klasa średnia tonie".

To ciekawy cytat, bo wynika z niego, że mitycznej klasie średniej żyło się znacznie lepiej za rządów PiS. Ale potem przyszedł Tusk i sprowadził naszych lemingów do parteru. Jednak bohaterowie tekstów „Newsweeka", którzy jak jeden mąż głosowali za powrotem Tuska do władzy, nie potrafią połączyć ze sobą kropek. Nie rozumieją – i pewnie już nigdy nie zrozumieją – że kłopoty, w które wpadli, są konsekwencją ich własnych decyzji, zaślepienia i braku wiedzy o otaczającym świecie.

GOLGOTA BAŚKI

Kolejny cytat z „Newsweeka". Bohaterką jest Baśka. „Pięć lat to nie tak długo. A jakby dwa życia. W tym poprzednim Baśka mieszkała w dużym mieszkaniu na Mokotowie. Praktycznie centrum Warszawy, a i tak wszędzie jeździła uberem. Kupowała w lokalnych warzywniakach, piekarenkach, cukierenkach, a wieczorami chodziła na wino do knajpy. Na wakacje jeździła do ciepłych krajów, najchętniej do Włoch. I co roku kupowała czterodniowy karnet na Open'era [...]. Jej syn chodził do prywatnego przedszkola, a od szóstego roku życia uczył się grać na skrzypcach. I na angielski chodził. Dziś Baśka mieszka na Bemowie. Jedzie się drugą linią metra do końca, przesiada w autobus, a potem jeszcze trzeba kawał przejść. Obok jest Biedronka, a parę kroków dalej Lidl. Baśka sprawdza stan konta przed wejściem. W zeszłym roku na wakacje pojechała na Mazury, w tym

eprasa.pl 16b4bd8393

roku tylko wyśle syna na obóz rowerowy. Open'er? Zapomnij. Co się stało z moimi luksusami? – myśli sobie czasem ironicznie".

W przeszłości „Newsweek" wypisywał różne rzeczy, ale w tę opowieść – podobnie jak wiele innych tego typu – możemy uwierzyć bez większych zastrzeżeń. Jest to przecież pismo adresowane przede wszystkim do leminga i żyjące jego problemami, skoro zatem na jego łamach pojawia się mnóstwo podobnych historii, musi to oznaczać, że skala problemu jest naprawdę poważna i nie da się jej przemilczeć.



Opisywana Baśka jest niczym dziecko we mgle. Oczywiście nie ma nic złego w tym, że chciała robić karierę i żyć lepiej niż inni. Człowiekowi myślącemu trudno jednak zrozumieć jej zaskoczenie. Czyżby nie zauważyła, że w całej Polsce się zmieniło na gorsze? Czy sama nie przyłożyła do tego ręki? Jednak „Newsweek" – ma się rozumieć – nie zadaje jej kłopotliwych pytań. Dlatego Baśka pozostaje zagubiona i rozżalona z powodu krzywdy, która ją spotkała.

Nasze współczucie dla Baśki powinno być bardzo umiarkowane. Tym bardziej że nawet po deklasacji żyje jej się lepiej niż wielu ludziom w Polsce. Dla przeciętnego leminga jej los musi być jednak straszny – stała się bowiem zwykłym, szarym człowiekiem. Jakiż to wstyd robić zakupy w Biedronce, jak poniżające musi być korzystanie z komunikacji publicznej i ocieranie się o wstrętny tłum.

MITYCZNA KLASA ŚREDNIA

Dla „Newsweeka" historia Baśki jest jednym z koronnych przykładów upadku klasy średniej w Polsce. A wiadomo – jak padnie klasa średnia, to natychmiast zawali się demokracja, hołota dorwie się do władzy i na scenę wkroczą faszyści. Dlatego „Newsweek" bije na alarm.

Problem w tym, że w Polsce klasa średnia jest mitem. Wszystko wskazuje na to, że nieszczęsna Baśka – robotnica międzynarodowej korporacji – jest raczej dorobkiewiczem o bardzo niepewnej pozycji finansowej i społecznej. Zresztą tak jak spora część polskiego społeczeństwa. Dlatego nie da się mówić o jakiejś ugruntowanej klasie średniej w Polsce. Zamiast niej mamy kilka różnych grup, bardzo umownie nazywanych klasą średnią. To pracownicy administracji i nauki – często o stosunkowo niskich dochodach, przedstawiciele wolnych zawodów, drobni i średni przedsiębiorcy czy wreszcie menedżerowie średniego szczebla i pracownicy korporacji. Co ich ze sobą łączy? Niemal nic. Przyjmuje się jedynie – również umownie – że do klasy średniej zaliczamy osoby o miesięcznych dochodach wyższych niż 6 tys. zł brutto i niższych niż 14 tys. brutto.

> Czytając publikacje liberalnych mediów, można dojść do wniosku, że wierny elektorat Tuska symbolizowany przez kolejkowiczów z Jagodna zaczyna wątpić w swojego wodza

Do takiej – rozumianej dochodowo – klasy średniej zalicza się dziś w Polsce ponad 11 mln osób. To bardzo dużo, liczbowo wręcz europejska czołówka, przy czym można sądzić, że większość z tych ponad 11 mln ludzi stanowią ci o niższych dochodach. W obliczu przedłużającego się kryzysu lub przy większym tąpnięciu gospodarczym wielu z nich może spaść do klasy niższej. Zwłaszcza że blisko połowa polskiej klasy średniej (45 proc. w 2019 r.) nie zdołała dotąd zgromadzić żadnych oszczędności. Żyją z bieżących zarobków lub na kredyt. Trudno więc mówić, że Polska stoi klasą średnią. To raczej rzesza broniących się przed deklasacją dorobkiewiczów.

Ostatnie dwa lata były dla tej grupy wyjątkowo trudne. Wystarczy spojrzeć na rosnącą liczbę zagranicznych korporacji, które zwinęły się lub zamierzają się wynieść z Polski. Nic więc dziwnego, że leming traci grunt pod nogami. Tym bardziej że – wyjeżdżając w młodości za chlebem – zwykle tracił oparcie w tradycyjnych strukturach, takich jak rodzina czy Kościół. Teraz wypalony pracą, wycieńczony nieustannym wyścigiem szczurów, szuka pocieszenia w psychoterapii, w lekach antydepresyjnych albo w alkoholu. I jest kompletnie zagubiony.

W pewnym sensie leming stał się ofiarą brutalnej transformacji lat 90., bo to ona wypchnęła go z domu w poszukiwaniu lepszego życia. Spragniony dobrego słowa i poszukujący uzasadnienia dla dokonanych wyborów życiowych, stał się w ten sposób łatwym celem dla liberalnej propagandy. Uwierzył jej w to, że jest przyszłością Polski i odwdzięczał się za te pochlebstwa bezwzględnym oddaniem i polityczną sympatią. No bo jak możesz nie wierzyć komuś, kto mówi ci, że jesteś najlepszy i masz rację? A skoro jesteś najlepszy i masz rację, to wszyscy pozostali są gorsi i głupsi. Dlatego dziś, gdy pod rządami tak wytęsknionego Tuska wiedzie mu się coraz gorzej, jest zaskoczony.

ZWĄTPIENIE W JAGODNIE

Czujny „Newsweek" dostrzega potencjalne zagrożenie i troskliwie pochyla się nad dolą leminga, całkiem słusznie przewidując, że zagubienie elektoratu KO może się okazać bardzo niebezpieczne w perspektywie następnych wyborów parlamentarnych. Oczywiście nie ma mowy o tym, że leming wywoła w Polsce rewolucję. Chodzi raczej o ryzyko zniechęcenia i demobilizacji – podobne do tego, z którym mieliśmy do czynienia w 2015 r., gdy Platforma – mimo relatywnie wysokich notowań – ostatecznie straciła władzę. Jest też obawa, że rozczarowana klasa średnia przerzuci swoje głosy na innych.

„Co zrobią ci wszyscy liberalni, lewicowi, z wielkich miast? Do Kaczyńskiego

eprasa.pl 16b4bd8393

nie pójdą. Do Mentzena też nie, choć to już nie jest takie oczywiste. Pamiętamy wszyscy, jak przedsiębiorcy nagle zaczęli mówić o rozsądnym programie gospodarczym Konfy" – opowiada „Newsweekowi" Marcin, agent morski z Gdyni.

Czytając ostatnie publikacje liberalnych mediów na ten temat, można dojść do wniosku, że zbliżamy się w Polsce do momentu przesilenia, w którym wierny elektorat Tuska – symbolizowany przez kolejkowiczów z Jagodna – zacznie wątpić w swojego wodza. W tym kontekście znacznie łatwiej jest nam zrozumieć nerwowe ruchy reżimu – z jednej strony „rozliczenia" i zaostrzanie podziałów w społeczeństwie, a z drugiej – odwlekanie niepopularnych decyzji (np. w sprawie imigracji) czy chwalenie się sukcesami ukradzionymi poprzedniej ekipie. To wszystko ma służyć podtrzymaniu mobilizacji do następnych wyborów i wpojeniu lemingom, że nie ma alternatywy dla obecnych rządów, a dzisiejsze trudności są przejściowe.

BARDZO DZIWNA SYTUACJA

Większość lemingów przez całe zawodowe życie pozostawała w złudnym przekonaniu, że w przyszłości może być tylko lepiej, że świat nieustannie idzie do przodu, a ludzie się bogacą i są bardziej szczęśliwi. To dlatego takim szokiem była dla nich pandemia koronawirusa oraz kryzys, który po niej nastąpił. A już zupełnym kataklizmem stała się wojna na Ukrainie i groźba rozlania się konfliktu na Polskę. Tak przecież nie miało być.

„Stary świat się skończył – wzdycha Krzysiek. Rocznik 1985. – Wszyscy mieli mieć domki pod miastem. Samochody. Work-life balance. Dobry seks. Dobre relacje". To jeszcze jeden cytat z „Newsweeka". Dziś okazuje się, że z tych nadziei pozostało niewiele, choć aspiracje przeciętnego leminga nie były – jak widać – zbyt wyrafinowane. Jedyne, co się spełniło, to powrót Tuska do władzy. Mimo to spodziewany cud jakoś nie nastąpił. To bardzo dziwne, prawda?

W liberalnych mediach, a niekiedy także w zwykłych rozmowach z wyborcami KO, można natrafić na mnóstwo relacji, jak jest im źle. Że nienawidzą swojej pracy, że chcieliby uciec jak najdalej stąd. O strachu przed wojną, o kolejnych podwyżkach oraz o tym, że nie będzie ich stać na spłatę kredytu zaciągniętego na dom.

Dla opisywanej w innym artykule Majki rzeczywistość także zmienia się na gorsze. „Obiektywnie jest się czego bać. Majka łapie się na myśli: co zrobić, gdyby zaczęła się wojna. Gdzie wysłać dzieciaki? Julek za chwilę będzie w wieku poborowym. Ile uda się dorobić do pensji i czy to wystarczy, żeby w miarę komfortowo przeżyć miesiąc i coś odłożyć. Co roku w styczniu Majka zaczyna się stresować wakacjami" – bohaterki „Newsweeka" nie stać już bowiem na długie wyjazdy z dziećmi.

> Jak padnie klasa średnia, to natychmiast zawali się demokracja, hołota dorwie się do władzy i wkroczą faszyści. Dlatego „Newsweek" bije na alarm. Tyle że klasa średnia w Polsce jest mitem

Co jednak szczególnie interesujące, nigdzie w tych narzekaniach nie znajdziemy przyczyny tej sytuacji. Ot, w Polsce i wokół niej dzieje się coś złego, czego nie rozumiemy. Czasem pojawi się jakaś wzmianka o szalonym Trumpie, który prowadzi świat na krawędź przepaści, o prawicowych ekstremistach, którzy hamują rozwój Unii czy o rozbuchanym populizmie, który w każdej chwili może zrodzić nowego Hitlera. To oni ciągle rzucają postępowym obywatelom Europy kłody pod nogi. Leming wyciąga więc z tego wniosek, że to „tamci" są wszystkiemu winni i że to oni zniszczyli ten piękny, bezpieczny świat, który istniał jeszcze kilka lat temu.

NIEZDOLNI DO REFLEKSJI

„Nie wiem, co się stało ze światem" – przyznaje wspomniana już Majka. „Epidemia depresji i różnych zaburzeń w szkołach, dzieciaki się tną, łykają leki, nie wiadomo, co robią. Z kolei moje koleżanki – wszystkie w okolicach czterdziestki – wpadają w popłoch, że co z tym życiem. Tę chłop zostawił, tamta za dużo pije. Ta ma męża tyrana, ta wiecznego chłopca nieodpowiedzialnego, a tamta już nie daje rady zasuwać w robocie. I jak tu w tym wszystkim znaleźć jakiś sens? Jedne laski wkręcają się w samorozwój, inne wykupują seminaria u różnych newage'owych wariatek z Instagrama, co druga chodzi na terapię, bierze leki, żeby jakoś spinać to bardzo dziwne życie" – czytamy w „Newsweeku", poznając przy okazji kulisy prywatnego życia „młodej, wykształconej mieszkanki wielkiego miasta", jak w liberalnych mediach określa się przedstawicieli elektoratu Tuska.

To pochlebstwo jest mocno na wyrost. Bo leming nigdy nie był jakoś nadzwyczajnie wykształcony (chyba że studia w wyższej szkole hotelarstwa i marketingu uznamy za dobre wykształcenie) ani nie pochodził z wielkiego miasta (przytłaczająca większość przybyła do miast w poszukiwaniu lepszego życia).

Przede wszystkim leming nie jest już młody. Dziś to zwykle człowiek po czterdziestce lub pięćdziesiątce. Boi się – nie bez powodu – że jego życie zrobiło pełen obrót i wróciło do punktu wyjścia. Zamiast spijania śmietanki, słodkiego życia na emeryturze gdzieś na Wyspach Kanaryjskich, czeka go skromny żywot schorowanego emeryta, którego nie będzie stać nie tylko na podróże, lecz także na wygodny dom czy opiekę zdrowotną.

To fatalna perspektywa milionów Polaków. Leming myślał, że będzie z niej wyłączony, teraz jednak dociera do niego, że pozostawał w błędzie. I nie może zrozumieć, dlaczego jego ukochany rząd nie jest w stanie temu zapobiec. Nie może też zrozumieć, że oddając władzę Tuskowi, popełnił największy polityczny błąd w swoim życiu.

eprasa.pl 16b4bd8393



Fot. Andrzej Wiktor

Papier trudniej ocenzurować

Gdybym mógł wymyślić świat na nowo, to powiedziałbym wszystkim redakcjom, że nie cytujemy tweetów polityków. Bo dzięki temu politycy mogą niezależnie od dziennikarzy kreować rzeczywistość. Dziś w tym sporze mediów z politykami przewagę mają politycy

Z Krzysztofem Skowrońskim, dziennikarzem, felietonistą, w latach 2011–2024 prezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, założycielem i prezesem Radia Wnet, rozmawia Jerzy Szmit

Czy w Polsce istnieje wolność mediów i wolność słowa?

Krzysztof Skowroński: Wolność słowa, wolność gospodarcza, w ogóle wolność człowieka i demokracja są zagrożone. Co chwila ktoś w Warszawie czy w Brukseli próbuje przeforsować ustawę, dzięki której jakaś część naszej wolności ma zostać poddana kontroli. Dotyczy to także wolności słowa. Być może gdyby w Ameryce wygrała Kamala Harris, a w Polsce Rafał Trzaskowski, nie siedzielibyśmy w redakcji wolnego, niezależnego radia. I tu jest odpowiedź na pańskie drugie pytanie. Na szczęście w Polsce panuje jeszcze wolność słowa. Radio Wnet jest tego przykładem – jesteśmy medium absolutnie niezależnym od reklamodawców czy polityków. Pracujemy codziennie, rzetelnie i zgodnie z naszym sumieniem. Tworzymy redakcję, w której (mam wrażenie) wszyscy odczuwają swobodę i radość twórczą. Podobnie jest – mam nadzieję – w wielu innych redakcjach, choćby w tygodniku „Sieci", Republice, może też w TVN, tyle że oni inaczej rozumieją wolność słowa. Każda prywatna redakcja ma swój punkt widzenia, system wartości. Pytanie zawsze dotyczy rzetelności dziennikarskiej i wiele mediów ma z tym kłopot. Tej swobody wyboru systemu wartości nie mają media publiczne. One powinny uwzględniać wszystkie sposoby opisywania świata. Niestety nie można tego powiedzieć o mediach publicznych, które zostały brutalnie i bezprawnie przejęte przez obecną władzę i postawione w stan likwidacji.

Ludzie, którzy siłowo weszli do TVP, Polskiego Radia i PAP na początku

eprasa.pl 16b4bd8393

działania rządu Donalda Tuska nie ponoszą żadnych konsekwencji.

Konsekwencje mogą ponieść, kiedy w Polsce zmieni się władza. Rzeczywiście, były to działania bezprawne, wbrew konstytucji i zasadom obowiązującym w demokratycznym państwie. Ale i ta władza się skończy.

W 2014 r. ta ekipa siłą weszła też do tygodnika „Wprost" po materiały dziennikarskie.

Ten ruch okazał się zupełnie nieskuteczny, bo taśmy zostały opublikowane. Donald Tusk najpierw oddał władzę, potem Platforma Obywatelska przegrała wybory. To polityka bez wyobraźni. Gdyby PO weszła do mediów publicznych, postawiła je w stan likwidacji, a następnie stworzyła media prawdziwie publiczne, wtedy ich kara byłaby mniejsza. Poza zawłaszczeniem obecna władza nie wykonała pracy, którą obiecała również swoim wyborcom.

Jak w tym kontekście ocenić wyrok dla Adama Borowskiego za wypowiedź nieprzychylną Romanowi Giertychowi?

Art. 212 kk rzeczywiście jest niebezpieczny i zagraża wolności słowa, ale jeszcze bardziej niebezpieczna jest destrukcja i uzależnienie wymiaru sprawiedliwości od polityków. Adam Borowski jest bohaterem czasu Solidarności i stanu wojennego, wyrok skazujący to oczywiście patologia wymiaru sprawiedliwości, patologia interpretacji prawa. To jest niebezpieczne.

Minister sprawiedliwości tworzy grupę prokuratorów, która będzie ścigać mowę nienawiści.

To są zagrożenia, o których mówiłem. Wiszą nad całym demokratycznym światem. Według tych, którzy tropią mowę nienawiści, prawicowe poglądy w całości są mową nienawiści. Według nich trzeba je wykluczyć i nie pozwolić, aby były obecne w przestrzeni publicznej. Minister Waldemar Żurek jest tylko jednym z emisariuszy takiego pomysłu i realizuje cel: skończyć z demokracją, a dialog społeczny zamienić na monolog.

To próba wykreślenia z obiegu poglądów, które ukształtowały naszą cywilizację.

Po wygranej Donalda Trumpa w Stanach Zjednoczonych toczy się wielka i poważna bitwa o normalność. Na szczęście największe platformy zrezygnowały z cenzurowania, więc być może ta walka będzie wygrana. A Waldemar Żurek niedługo może przestać być ministrem. Niemniej problem nie zniknie. Europa nie odpuszcza, ale w Polsce nie ma jeszcze dramatu.

Polskie prawo prasowe nakazuje dziennikarzowi rzetelność. Ostre zarzuty w tej sprawie padają np. pod adresem „Gazety Wyborczej", Onetu czy TVN. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, walcząc z nierzetelnością dziennikarską, przyznaje antynagrodę Hienia Roku, której laureatem jest w tym roku Wojciech Czuchnowski z „Gazety Wyborczej". Czy jest to skuteczne narzędzie?

Nie, nie jest skuteczne.

A co byłoby bardziej skuteczne?

Nie wiem. Ale ograniczanie prawne, karanie mediów na pewno nie jest dobrym sposobem. Każda grupa medialna zazwyczaj pozostaje uzależniona od właściciela. Jeden jest aniołem, drugi – gangsterem. Jeden chce rzetelności, drugi załatwia interesy. Dla pierwszego wartością jest rzetelna informacja, dla drugiego – władza i pieniądze. Często trudno odróżnić jednego od drugiego. Gangster rzuca cień na anioła. Dlatego uważam, że im mniej regulacji dotyczących mediów, tym lepiej. Bo istnieje większe prawdopodobieństwo, że to anioł będzie na ławie oskarżonych. Nie oceniam mediów. Te, które uznałem za nierzetelne, po prostu odrzuciłem. Myślę, że tam też można znaleźć wiele cennych informacji, ale nawet przygotowana przez najlepszego kucharza potrawa, gdy ktoś dorzuci do niej odrobinę trucizny – zabija. Niestety w mediach jest podawanych wiele trujących potraw. My w radiu mamy robić swoje i rzetelnie opowiadać o świecie, próbując unikać radykalnego języka i odczłowieczania tych, z którymi się nie zgadzamy. Długo jestem dziennikarzem, poznałem gangsterów z anielskimi skrzydłami i anioły o gangsterskim wyglądzie.

> Według tych, którzy tropią mowę nienawiści, prawicowe poglądy w całości są mową nienawiści. Trzeba je więc wykluczyć i nie pozwolić, aby były obecne w przestrzeni publicznej. Minister Żurek jest tylko jednym z emisariuszy takiego pomysłu

A jak pan ocenia debatę w Polsce?

Polska debata publiczna jest nacechowana inwektywami – i to jest niebezpieczne, a do tego odbywa się na odległość, czyli tak naprawdę debaty nie ma. Są okopy i bańki medialne. Tak się dzieje od drugiej dekady XXI w. Teraz różne światopoglądy rzadko się spotykają. Opinia publiczna nie ma możliwości oceny, kto jest bardziej rzetelny, która strona barykady ma rację. Żyjemy w rozmaitych bańkach medialnych. I to jest cecha nowoczesnych mediów, a zarazem nieszczęście demokracji nie tylko w Polsce, lecz także na całym świecie. Ten świat nie jest już światem klasycznych mediów – jest światem mediów społecznościowych, z wkraczającą sztuczną inteligencją. Jeszcze nie wiemy, jaki będzie efekt tego eksperymentu.

Przez całe życie wykonuje pan zawód dziennikarza. Przez 13 lat był pan prezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Patrząc z tej perspektywy, czy uważa pan, że media kierują polityką, czy polityka kieruje mediami? Dla przykładu: czy Donald Tusk realizuje wolę TVN, czy TVN kieruje Donaldem Tuskiem?

Nie ma na to prostej odpowiedzi. Jeżeli TVN by chciał, to oczywiście mógłby zniszczyć Tuska. Tak samo jeśli Republika chciałaby, to mogłaby zniszczyć polityka z prawej strony. Siła mediów jest ogromna, ale określiły się one jako słu-

eprasa.pl 16b4bd8393



Fot. Andrzej Wiktor

żące politykom. Wobec tego odgrywają oni rolę nadrzędną. Nie tylko dlatego, że mają narzędzia wpływu na media, m.in. finansowe. Mają broń, którą nauczyli się posługiwać, czyli platformę X (dawny Twitter). Wystarczy jeden tweet Donalda Tuska czy Karola Nawrockiego i cała przestrzeń debaty publicznej jest wypełniona. To bardzo szkodliwe. Gdybym mógł wymyślić świat na nowo, powiedziałbym wszystkim redakcjom, że nie cytujemy tweetów polityków. Bo dzięki temu politycy mogą niezależnie od dziennikarzy kreować rzeczywistość. Dziś w tym sporze mediów z politykami przewagę mają politycy.

Mistrzem jest chyba Donald Trump.

O, tak! Wystarczy, że napisze coś na swoich mediach społecznościowych i cały świat kręci się wokół jego wpisu. W świecie polityków i informacji 70 proc. zaczyna się od słów: „Trump powiedział", „Macron odpowiedział", a „Tusk skomentował". I wszystko w kontekście tego, co wieczorem albo rano napisał w mediach społecznościowych Donald Trump.

Trump przewrócił stolik narracji.

Tak, przewrócił ten stolik i przewraca inne. Właściwie to jest niesamowite, że jeden człowiek potrafił zawłaszczyć całą przestrzeń polityczną i medialną.

Debata publiczna przesuwa się do internetu. Czy za kilka lat będzie to już zupełnie dominujące medium?

Możliwe, ale nie wiemy, jak internet będzie wtedy wyglądał. Powtórzę – gdyby Kamala Harris wygrała wybory w Stanach Zjednoczonych, to system wyrzucania treści z debaty w mediach nadal by obowiązywał. A być może zostałby zupełnie domknięty. Jeśli by pan stwierdził, że zielona energia jest zła, YouTube czy Facebook natychmiast by pana wyciął. Nie chce pan ratować świata? Do widzenia, to znaczy, że jest pan człowiekiem niepożądanym. Donald Trump rozszczelnił system. Ale za trzy lata będą wybory w USA i być może internet z powrotem wróci do miejsca, które jest bardzo uczesane i poprawne politycznie. To pułapka, ale wszyscy w to idziemy.

Konsekwencją okazuje się likwidacja mediów papierowych. Mówi się, że telewizja jest droga, radio jest drogie. Przecież możemy zrobić to wszystko taniej, np. przez Facebooka. Ale to może się źle skończyć. Każda platforma jest prywatną własnością określonych osób i to one decydują o tym, co tam będzie, dopóki to się opłaca i jest OK. Jak się przestanie opłacać, przyjdą zmiany.

Np. jakie?

Geopolityczne, żeby domknąć system. Rosjanie, Chińczycy, Amerykanie, Unia Europejska powiedzą, że chcą mieć własne platformy i wtedy każdy będzie je domykał we własny sposób. Wtedy nastąpi koniec internetu jako miejsca wolnej komunikacji. Może się okazać, że papier jest jedynym miejscem, które na to pozwala. Papier trudno ocenzurować. Trzeba wprowadzić oficjalny system cenzury, jednak nikt nie chce powiedzieć, że będzie cenzorem. Jeśli YouTube zechce wyłączyć treści, ma do tego prawo, bo jest prywatną firmą. W Polsce działa jeszcze system koncesyjny, tak funkcjonują m.in. Radio Wnet i różne telewizje. Ale jak wiadomo, koncesja jest dana przez władzę. Do tej pory działało to w sposób cywilizowany. Jednak w kraju, w którym nie obowiązuje konstytucja i naruszany jest system prawny, ktoś powie: „Nie masz koncesji i do widzenia". Są jeszcze kary, aby doprowadzić medium do bankructwa, wtedy mogą być podane przyczyny ekonomiczne. Tak zmierzamy do miejsca, które może być pułapką.

Rząd Tuska podjął próbę uregulowania działania w internecie, jednak prezydent Karol Nawrocki zawetował ustawę.

Słusznie zrobił. W ustawie chodziło o dominację nad przestrzenią internetową z punktu widzenia władzy z pomocą nieokreślonych „sygnalistów" i urzędników.

Obrońcy ustawy twierdzili, że chodzi o obronę dzieci przed niewłaściwymi treściami.

Żadna ustawa nie powie wprost, że chce coś zepsuć, a przeważnie ukrywa jakiś cel. Przypomnę zwrot: „lub czasopisma". Inny przykład: chcemy chronić planetę, aby było jak najmniej plastiku. Wprowadzamy więc kaucję za plastikowe butelki, a tak naprawdę chodzi o interes odpowiednich grup gospodarczych i wyprowadzenie pieniędzy poza Polskę.

Czy dominacja wielkich firm medialnych jest nieuchronna, czy małe media będą jednak funkcjonowały?

Duże międzynarodowe media utrzymają się na pewno, ponieważ strumień pieniądza płynie ku dużym, którzy się znają i wspierają. Jeżeli świat będzie szedł w kierunku zwiększania podatków i zmniejszania siły nabywczej ludzi, a przez to likwidowania klasy średniej, to „małe" media nie będą miały z czego żyć. Radio Wnet utrzymują słuchacze, którzy są na serwisie Patronite albo wspierają nas w inny sposób. Jeżeli ludzi nie będzie stać na wsparcie, to Radio Wnet będzie musiało zmniejszyć ofertę, a ostatecznie nie będzie nas stać na płacenie rachunków.

Czy dzisiaj gazeta to zanikająca forma?

Dzisiaj do mediów wkroczyła sztuczna inteligencja, która ma ogromne możliwości kreacji. Może ona niszczyć tradycyjne media. Jednak pamiętajmy, że ludzie potrzebują wiarygodnej informacji i niedługo zauważą, że życie w wytworach sztucznej inteligencji to życie w bańce. Przypomina mi się, gdy po raz pierwszy zobaczyłem sobotnie wydanie „New York Timesa", które miało 600 stron. Ulicą idzie facet i wrzuca kolejne wkładki do śmietników. Zostawił tylko to, co chciał przeczytać. Gazety może przeżyją renesans, bo mniej czasu zajmuje czytanie gazet niż przeglądanie portali. W gazecie człowiek sam wybiera informacje, które chce poznać, a nie wybiera je za niego algorytm. Codziennie rano przeglądam gazety i dzięki temu coś wiem.

Dzięki temu coś wiem... świetne zakończenie.

eprasa.pl 16b4bd8393





Męska twarz wPolsce24

Przedstawiamy weekendowe hity najbardziej dynamicznie rozwijającej się telewizji w kraju

W świecie mediów zdominowanym przez polityczną poprawność i unikanie trudnych tematów telewizja wPolsce24 staje się bastionem wolnego słowa i wyrazistych opinii. To tutaj spotykają się autorzy, których charyzmą można obdzielić kilka innych stacji telewizyjnych. „Męski punkt widzenia" w wydaniu wPolsce24 to nie tylko analiza faktów – to przede wszystkim odwaga w nazywaniu rzeczy po imieniu, rzetelność i patriotyczny fundament, który przyciąga przed ekrany miliony Polaków.

ROZMOWA WIKŁY I „KONTRA" PŁUŻAŃSKIEGO

Jednym z filarów dnia wPolsce24 jest „Rozmowa Wikły". Marcin Wikło prowadzi swoje wywiady bez taryfy ulgowej. To nie są rozmowy pod dyktando spin doktorów ani występy promocyjne polityków. Każdy gość wie, że będzie musiał zmierzyć się z pytaniami o realne decyzje, zaniedbania i konsekwencje własnych działań.

Wikły nie interesują slogany. Dąży do konkretu, rozbiera wypowiedzi na części pierwsze, wraca do niewygodnych wątków. Jego rozmowy mają jasną strukturę – od faktów przez kontekst po wnioski. To publicystyka wymagająca, ale uczciwa. Bez podnoszenia głosu, za to z konsekwencją, która zmusza rozmówców do precyzji.

Do Wikły się przychodzi, Wikle się nie odmawia. Szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki, prezes Trybunału Konstytucyjnego Bogdan Święczkowski czy były premier Mateusz Morawiecki to tylko niektórzy ze styczniowych gości dziennikarza. „Rozmowę Wikły" można obejrzeć od poniedziałku do piątku o 8.15.

Tam, gdzie kończy się wywiad, zaczyna się debata. Emitowana od poniedziałku do piątku o 10.00 „Kontra" Tadeusza Płużańskiego polega na starciu argumentów. Tu nie ma miejsca na grzecznościowe wymiany uprzejmości. Są za to różne wizje Polski, różne interpretacje wydarzeń i wyraźnie zarysowane linie konfliktu.

Płużański nie wygładza w „Kontrze" różnic, nie sprowadza dyskusji do wspólnego mianownika. Przypomina, że demokracja polega na ścieraniu się poglądów. A przede wszystkim, że nie trzeba się tego bać.

BEZ PARDONU I AUTOCENZURY

Popołudniowe pasmo stacji otwiera program, który dla wielu stał się już formatem kultowym. „Bez Pardonu" (emisja od poniedziałku do piątku o 14.00) to królestwo Dariusza Matuszaka. Prowadzący – znany z tego, że nie gryzie się w język – stał się głównym celem ataków liberalno-lewicowego mainstreamu właśnie z powodu jego bezkompromisowości.

Matuszak nie boi się ostrych sądów i plastycznych porównań. Gdy inni wycofują się w obawie przed nagłówkami prorządowych mediów, on konsekwentnie punktuje hipokryzję klasy politycznej – jak w głośnej sprawie odpowiedzi na ataki Anne Applebaum na Donalda Trumpa. Widzowie uwielbiają go za to, że choć mógłby ująć pewne sprawy inaczej, po prostu tego nie robi, wybierając szczerość zamiast dyplomacji. To publicystyka z pazurem, której fundamentem jest prawo do własnej, konserwatywnej opinii.

Autopromocja

eprasa.pl 16b4bd8393

Głębsze, niemal chirurgiczne spojrzenie na mechanizmy władzy i gospodarki zapewnia Jacek Łęski w swoim programie „Bez Cenzury” (codziennie o 17.05). Jako wielokrotnie nagradzany dziennikarz śledczy Łęski wnosi do ramówki jakość, której próżno szukać u konkurencji.

W jego programie nie ma miejsca na powierzchowność. Czy chodzi o analizę ambitnych projektów, takich jak zaproponowany przez PiS pierwszy pod II wojnie światowej port dalekomorski Haller, czy o obnażanie stagnacji wprowadzanej przez obecny rząd, Łęski zawsze szuka drugiego dna.

Dzięki zapraszanym gościom widzowie otrzymują pogłębioną analizę procesów, które realnie wpływają na ich życie. To właśnie w „Bez Cenzury” punktowane są absurdalne działania polityków w Berlinie czy próby wprowadzania cenzury w internecie. To męska, merytoryczna rozmowa o Polsce, która nie boi się konfrontacji z faktami.

WEEKENDOWE HITY

Męski punkt widzenia dominuje również w weekendy, kiedy widzowie szukają podsumowania tygodnia na najwyższym poziomie. „Salon Dziennikarski” (sobota, 9.15) to miejsce, gdzie spotykają się najważniejsze pióra polskiej publicystyki. Tu wykluwa się intelektualna odpowiedź na wyzwania współczesności, a dyskusje toczone przez doświadczonych dziennikarzy często nadają ton debacie publicznej na kolejne dni.

> Do Wikły się przychodzi, Wikle się nie odmawia. Szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki, prezes Trybunału Konstytucyjnego Bogdan Święczkowski czy były premier Mateusz Morawiecki to tylko niektórzy ze styczniowych gości dziennikarza

Na koniec tygodnia, w niedzielę o 20.05, przychodzi czas na „Hity Feusette'a”. W swoim autorskim formacie Krzysztof Feusette punktuje absurdy życia publicznego z charakterystyczną ironią. Doskonale znany czytelnikom tygodnika „Sieci” serwuje widzom publicystykę podszytą humorem, ale nie pozbawioną ostrych zębów. Feusette pokazuje, że śmiech może być narzędziem demaskowania hipokryzji i politycznej głupoty. Im wyżej ktoś trafia w jego rankingu, tym gorzej dla bohatera – i tym lepiej dla widzów.

WŚRÓD LIDERÓW

Strategia stacji bazująca na tak wyrazistych męskich osobowościach przyniosła efekty. Dane za cały 2025 r. potwierdzają, że wPolsce24 należy do grona liderów oglądalności wśród stacji informacyjnych. Dla przykładu – 28 stycznia br. telewizja, którą dowodzi Jacek Karnowski, zajęła trzecie miejsce w rankingu stacji newsowych, zostawiając w tyle rządową TVP Info w likwidacji.

Według międzynarodowej firmy badawczej Nielsen specjalizującej się w telemetrycznych badaniach oglądalności w każdej minucie telewizję wPolsce24 oglądało tego dnia średnio 103 833 widzów. Lepsze były tylko Republika i TVN24.

– Ten sukces to wynik zaufania widzów, którzy w takich autorach jak Matuszak, Łęski, Wikło czy Feusette widzą po prostu swoich reprezentantów – podkreśla kierownictwo stacji.

(AT)



eprasa.pl 16b4bd8393



Ksiądz Jerzy utopiony dwa razy?

Ks. Jerzy mógł zginąć później. Zgodnie z tezą prokuratora Andrzeja Witkowskiego nastąpiło to w południe 25 października 1984 r.

Z dr Mileną Kindziuk, biografem bł. ks. Jerzego Popiełuszki i wykładowcą na UKSW w Warszawie, rozmawia Goran Andrijanić

Oficjalna wersja śmierci bł. Jerzego Popiełuszki, szczególnie ta PRL-owska, zawsze była kwestionowana. Natomiast pani, najważniejszy biograf polskiego błogosławionego, uważa teraz, że mamy wystarczająco dowodów do jej rewizji.

Milena Kindziuk: Po 41 latach od zbrodni dokonanej na ks. Jerzym zmienił się stan wiedzy. W tym czasie pojawiło się wiele nowych śladów, dokumentów, zeznań świadków. To sprawia, że PRL-owska wersja śmierci księdza, zatwierdzona podczas procesu toruńskiego na przełomie lat 1984/1985, przestaje być spójna i domaga się gruntownej weryfikacji.

Co zaważyło na takim pani stanowisku?

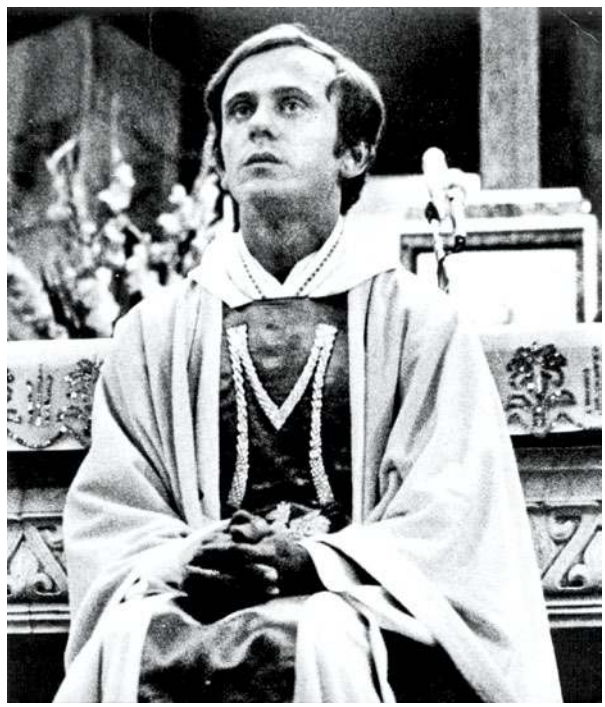
Punktem przełomowym była dla mnie najnowsza publikacja prokuratora Andrzeja Witkowskiego „Bolesne tajemnice ks. Popiełuszki. Śladami prawdy", właśnie wchodząca na rynek. Zawiera ona rzeczowe i wnikliwe analizy. Witkowski prowadził w tej sprawie dwa śledztwa: w latach 1990–1991 – jako prokurator w Ministerstwie Sprawiedliwości oraz w latach 2002–2004

Fot. Archiwum prywatne Mileny Kindziuk

eprasa.pl 16b4bd8393

– w ramach Instytutu Pamięci Narodowej. Sadzę, że dziś dysponuje kompetentną wiedzą w tej materii, o czym mogłam się przekonać także dzięki cyklowi rozmów, które niedawno przeprowadziłam z nim dla portalu niedziela.pl.

Istotne hipotezy w tym zakresie sformułował również Piotr Litka w swoich publikacjach oraz filmach dokumentalnych. Jego materiały także pozwoliły mi wyraźniej zobaczyć, jak wiele elementów PRL-owskiej wersji toruńskiej nie pasuje do obrazu sprawy, rzekomo „zamkniętej" w 1985 r. Litka przez lata bronił zresztą ustaleń prokuratora Witkowskiego (jeden z tekstów zatytułował nawet: „Dlaczego bronię prok. Witkowskiego?"). Zapoznałam się też z wieloma nowymi materiałami i relacjami świadków (dotarłam do nowych miejsc i osób). To wszystko sprawiło, że po 30 latach także moich badań nad życiem, posługą oraz męczeńską śmiercią ks. Jerzego nie mogę dłużej podtrzymywać dotychczasowej utrwalonej wersji wydarzeń, bo są w niej wyraźne luki, co każe stawiać pytania.



Zacznijmy od daty śmierci ks. Popiełuszki. Jak twierdzi prokurator Witkowski, nie nastąpiła ona 19 października 1984 r.

Ta data nie jest jednoznaczna, ks. Jerzy mógł zginąć później. Zgodnie z tezą prokuratora Andrzeja Witkowskiego nastąpiło to w południe 25 października 1984 r. Podstawą jego osądu była m.in. ponowna analiza sekcji zwłok księdza dokonana w 2002 r. przez powołanych przez niego trzech niezależnych biegłych – profesorów medycyny sądowej (patronował temu ówczesny prezes IPN prof. Leon Kieres). Jak podkreśla prokurator, z opinii tych medyków wynika, że funkcje życiowe ks. Popiełuszki ustały nie 11 dni przed badaniem sekcyjnym (przeprowadzono je 31 października), ale zaledwie kilka dni wcześniej. Mogło to być 25 października 1984 r.

Czy to znaczy, że wcześniejsze opinie biegłych, którzy przeprowadzili sekcję zwłok księdza, były zmanipulowane?

Z pewnością nie były pełne. Najbardziej rażące jest, że w opinii z 1984 r. pominięto pytanie o czas śmierci księdza, podczas gdy określenie daty zgonu to elementarne zadanie medycyny sądowej, zwłaszcza jeśli bada się zwłoki po pewnym czasie od zgonu. Podczas śledztwa IPN prokurator przesłuchiwał w jednego z biegłych z 1984 r., dr. Tadeusza Jóźwika, który wspominał o „smutnych panach", którzy pilnowali prosektorium i „prawidłowości opiniowania". Dr Jóźwik miał przyznać w zeznaniach, że sekcyjny „raport był taki, jak kazano".

Co jeszcze przemawia za datą śmierci 25 października?

Sam Leszek Pękala, jeden z trzech porywaczy ks. Popiełuszki, stwierdził w rozmowie z Leszkiem Szymowskim (w książce „Księżobójcy"): „Księdza zabrali ci wojskowi nyską. Pojechali do Kazunia. Tam go zatłukli po sześciu dniach tortur...".

Z akt śledztwa prowadzonego jeszcze przed procesem toruńskim jasno wynika, iż jeden z bunkrów w Kazuniu Polskim pod Warszawą był przygotowywany na to, by przetrzymywać w nim ks. Popiełuszkę już od 10 października 1984 r. Gdy niedawno rozmawiałam z mieszkańcami miejscowości położonych w pobliżu Kazunia, okazało się, że w październiku 1984 r. ludzie widzieli w tej okolicy wojskowe samochody, często nyski, panował tam wzmożony ruch. Co znaczące, jeszcze dziś niektórzy okoliczni mieszkańcy boją się o tym mówić.

A pani nie boi się o tym mówić?

Przytoczę tu jedynie słowa z homilii ks. Jerzego: należy „stać przy prawdzie, choćby miała nas ona wiele kosztować. Bo prawda wypowiadana w słowie kosztuje. Tylko za plewy się nie płaci".

Boję się jedynie tego, że nowe fakty i ślady znów zostaną zadeptane, zakrzyczane. Czy znajdą się odważni ludzie, którzy poprą prokuratora Witkowskiego, domagającego się, by wnętrze i bezpośrednie otoczenie bunkrów amunicyjnych w Kazuniu zostały poddane badaniu i identyfikacji śladów nawet sprzed wielu lat za pomocą nowoczesnych technik kryminalistycznych? Czy zostaną wzięte pod uwagę zeznania świadków, którzy mieli widzieć, jak ciało księdza zrzucano z tamy we Włocławku przed 25 października 1984 r. północą? Tak zeznali w śledztwie prokuratora Witkowskiego, takie wypowiedzi zarejestrował także redaktor Piotr Litka.

Jest też teoria o trzecim samochodzie, który miał udział w porwaniu ks. Jerzego i należał do komunistycznej Wojskowej Służby Wewnętrznej.

To jeden z kluczowych elementów nowego obrazu zdarzeń, który precyzyjnie opisuje prokurator Witkowski. Według jego ustaleń w Górsku, po porwaniu Popiełuszki, 19 października ok. 21.40 poza samochodem, w którym znajdował się ks. Jerzy z kierowcą, i drugim – z porywaczami z Departamentu IV MSW, był też trzeci – z funkcjonariuszami WSW. To oni

Fot. domena publiczna

eprasa.pl 16b4bd8393

mieli przejąć duchownego. Świadczy o tym eksperyment z milicyjnym psem tropiącym, którego przywieziono na miejsce uprowadzenia księdza, by go szukać. Pies, słynący z niezawodności, po nawęszeniu fotela samochodu, w którym siedział ks. Popiełuszko, dwa lub trzy razy podjął ten sam trop i za każdym razem zgubił ślad w tym samym punkcie, ok. 200 m dalej, przy bocznej drodze w Górsku. To wskazuje, że ks. Jerzy musiał zostać tam przeprowadzony i wepchnięty do innego auta, a więc nie trafił do bagażnika Fiata 125p – jak głosi PRL-owska oficjalna wersja (zresztą w bagażniku nie odnaleziono śladów krwi księdza!). Niestety notatka z eksperymentu z psem tropiącym nie została wzięta pod uwagę podczas procesu toruńskiego.

Przesłuchanie przewodnika tego psa zakłóciłoby całą narrację z procesu w Toruniu. Później natomiast przesłuchał go podczas śledztwa prokurator Witkowski. Jak dowodzi, pojawienie się trzeciego samochodu z funkcjonariuszami służb wojskowych oznacza, że po uprowadzeniu księdza porywacze ze służb cywilnych MSW przekazali go innym sprawcom. W opinii Witkowskiego to pokazuje także osobistą rolę gen. Czesława Kiszczaka, który jako były szef wywiadu wojskowego i ówczesny szef Ministerstwa Spraw Wewnętrznych faktycznie kontrolował cały aparat służb specjalnych.

W dyskusjach o rewizji okoliczności śmierci można się spotkać także z hipotezą o dwukrotnym wydobyciu zwłok ks. Jerzego z rzeki. O co chodzi?

Prokurator Witkowski dowodzi, że ciało ks. Jerzego wrzucone do Wisły na tamie we Włocławku wyciągnięto już następnego dnia, czyli 26 października. Taki wniosek formułuje na postawie kilku istotnych zeznań, m.in. miejscowego prokuratora, który 26 października był wezwany na miejsce „wydobycia zwłok", a także relacji pielęgniarki, która widziała ciało kapłana w prosektorium szpitala we Włocławku właśnie 26 października. Piotr Litka pokazuje w filmie dokumentalnym świadectwo prosektora (przesłuchanego również przez Witkowskiego), który tego dnia miał dokonać tzw. pierwszej sekcji. Chodziło o to, by ciało „upozorować" tak, by jego stan odpowiadał przygotowanemu już wtedy scenariuszowi – że przebywało ono wodzie już od 19 października. Oficjalnie ciało ks. Popiełuszki wydobyto po raz drugi 30 października.

> Sam Leszek Pękala, jeden z trzech porywaczy ks. Popiełuszki, stwierdził w rozmowie z Leszkiem Szymowskim (w książce „Księżobójcy"): „Księdza zabrali ci wojskowi nyską. Pojechali do Kazunia. Tam go zatłukli po sześciu dniach tortur..."

Jeśli to prawda, to czy nadaje nowego wymiaru jego męczeństwu?

Męczeństwo ks. Jerzego zostało stwierdzone przez Kościół w procesie beatyfikacyjnym i jest niepodważalne. Te ustalenia – jeśli zostaną potwierdzone procesowo – nie zmieniają jego istoty. Oznaczałyby natomiast, że ks. Jerzy cierpiał dłużej i o wiele intensywniej, niż dotąd przyjmowano.

To wszystko nie ma szczególnego znaczenia dla procesu kanonizacyjnego ks. Popiełuszki. Ale może mieć wyjątkowe znaczenie dla rozumienia funkcjonowania PRL.

Proces kanonizacyjny ks. Jerzego dotyczy cudu, który wydarzył się za jego wstawiennictwem i toczy się niezależnie od śledczych i historycznych ustaleń dotyczących okoliczności jego śmierci. Znaczenie dla zrozumienia mechanizmów PRL jest natomiast fundamentalne: mamy tu modelowe sprzężenie aparatu bezpieczeństwa, prokuratury, sądu, medycyny sądowej i propagandy, które razem mogły wytworzyć „wygodną narrację" – zafałszowany wyrok wydany w sprzeczności ze zniszczonymi lub zatajonymi dowodami, istotnymi dla wyjaśnienia sprawy.

Co według pani powinny teraz zrobić instytucje państwowe?

Kontynuować śledztwo, które toczy się od wielu lat. Należy mieć nadzieję, że po jego zakończeniu rozpocznie się uczciwy proces sądowy.

Ktoś powie, że hipotezy Witkowskiego pośrednio zostały już zdementowane przez IPN, a prokurator jeszcze w 2004 r. został odsunięty od prowadzenia śledztwa. Jak pani to skomentuje?

Prokurator dokładnie opisuje to w swoich książkach: został odsunięty po tym, jak po przesłuchaniu gen. Kiszczaka zamierzał postawić go w stan oskarżenia. Wtedy Kiszczak miał interweniować u prezydenta Wałęsy, który w listopadzie 1991 r. polecił ówczesnemu ministrowi sprawiedliwości Wiesławowi Chrzanowskiemu odsunąć Witkowskiego od śledztwa. Ponownie doszło do tego w 2004 r., znów w wyniku nacisku gen. Kiszczaka, tym razem na prezesa IPN.

To poważne oskarżenia.

Fakt, że prokurator Witkowski dwukrotnie tracił to śledztwo dokładnie wtedy, gdy przedstawiał przełożonym plan postawienia zarzutów m.in. gen. Czesławowi Kiszczakowi, stanowi wymowne świadectwo tego, jak silny był i jest opór wobec pełnego wyjaśnienia tej zbrodni. Jak przyznaje w swej najnowszej książce sam prokurator: „Wiem, wyroku skazującego w tej sprawie nigdy już nie wywalczę, ale skoro chodzi przede wszystkim o prawdę, nigdy z niej nie zrezygnuję".

Także z mojego punktu widzenia wygląda to podobnie. Obowiązkiem badacza i biografa jest potraktować tę pracę serio, a nie zbywać ją autorytarnym komunikatem, że „wszystko już wyjaśnił proces toruński".

eprasa.pl 16b4bd8393

Mała Ameryka w Davos

Przez lata Światowe Forum Ekonomiczne w Davos było wydarzeniem, podczas którego ustalano – czy raczej knuto – jak nieść ludom świata oświecenie i postęp. W tym roku imprezę skradli Amerykanie, którzy zarządzili wielki konserwatywny odwrót



DARIUSZ MATUSZAK

O forum (WEF) w szwajcarskim kurorcie krąży opinia, że to impreza, na której miliarderzy mówią milionerom, jak mają żyć zwykli ludzie. Od 55 lat co roku w styczniu do alpejskiego miasta zlatywali się władcy i właściciele świata, by projektować życie mieszkańców globu. W melanżu największych sił politycznych i największych pieniędzy kreślony był – jak u inżyniera – projekt dla całego świata. Zarządzano, jak zbawić ludzkość w życiu doczesnym i ocalić planetę. To zawsze było także miejsce, w którym rodziły się i sprawdzały teorie spiskowe. Jeśli więc gdzieś z czeluści gabinetów eurokracji wychynął obłąkańczy pomysł – w który początkowo nikt nie wierzył – by zrezygnować z hodowli zwierząt i żywić poddanych robactwem i sztucznym jedzeniem, to można go było przedstawić w Davos.

JAK W ORWELLOWSKIM ŚWIECIE

Tak jak to zrobił Jim Hagemann Snabe, szef rady nadzorczej największej przemysłowej firmy Europy – niemieckiego Siemensa. Ten światły człowiek ustalił dietę dla ludzkości i oznajmił, że aby uratować klimat, miliard ludzi powinien przestać jeść mięso, a białko zwierzęce zastąpić np. tym, co już produkuje Bill Gates – syntetyczną masą białkową z taśm fabrycznych i wtryskarek, ewentualnie pochodzącym od insektów.

Jeszcze niedawno wyśmiewano się z takich wizji, a dziś widzimy, jak w Europie krok po kroku jest niszczone rolnictwo.



Fot. White House

eprasa.pl 16b4bd8393

Ono ma bowiem odpowiadać za 30 proc. emisji tzw. gazów cieplarnianych. Kiedy więc Karol III, który z Bożej łaski zasiadł na brytyjskim tronie, mówi do towarzystwa z Davos o zbilansowaniu emisji gazów cieplarnianych do zera, to tak naprawdę zapowiada likwidację rolnictwa, jakie znamy.

To w Davos przedstawiono koncept miast 15-minutowych – dla mieszkańców wszystko w zasięgu kwadransa spaceru, by nigdzie nie jeździli, bo trują powietrze. Pilotażowo wprowadzano to w Oksfordzie, gdzie wyznaczono mieszkańcom, ile razy miesięcznie mogą wyjechać swym samochodem poza obręb swojej dzielnicy. W czasie pandemii udowodniono, że ludzkość można zamknąć w getcie na cztery spusty i zabronić poruszania się. Niech każdy siedzi w swojej dzielnicy, by nie zostawiać śladu węglowego.

Być może ideę takiego miasta – choć nie odnosi się do niego bezpośrednio – najlepiej oddaje promowany przez WEF tekst autorstwa Idy Auken, duńskiej socjalistki i poseł, byłej minister środowiska, jednej z liderek tej potężnej organizacji. Artykuł „Witamy w roku 2030. Niczego nie mam, nawet prywatności, ale życie nigdy nie było lepsze" opisuje, jak miałoby wyglądać zaprojektowane życie w nowym wspaniałym świecie. Właściwie wszystko sprowadza się do tego, że niczego nie będziemy mieć, tylko – jak w komunie – wszystkim się dzielić. Nawet ubraniami. W 2030 r. energia będzie już darmowa, bo przecież Słońce świeci za darmo, a i za wiatr się nie płaci. Skoro za nic się nie płaci, to niczego się nie kupuje, tylko się skądś dostaje. „Raz na jakiś czas będę gotować dla siebie. To proste – niezbędny sprzęt kuchenny jest dostarczany pod moje drzwi w ciągu kilku minut. Odkąd transport stał się darmowy, przestaliśmy mieć te wszystkie rzeczy we własnym domu. Po co trzymać w naszych szafkach urządzenie do robienia makaronu i naleśników? Możemy je po prostu zamówić, kiedy ich potrzebujemy" – pisała owa globalna liderka. I dalej: „Niczego nie mam. Nie mam samochodu. Nie mam domu. Nie posiadam żadnych urządzeń ani ubrań [...]. Kiedy sztuczna inteligencja i roboty przejęły tak dużą część naszej pracy, nagle mamy czas, aby dobrze zjeść, dobrze spać i spędzać czas z innymi ludźmi".

Dunka opisała, jak zaprojektowane życie zostało dostarczone pod drzwi lokum, w którym mieszka.

Skoro pospólstwo ma siedzieć w domu, to nie potrzebuje samochodu, więc Klaus Schwab, założyciel i do niedawna szef forum – postać jak z pierwszych filmów o Jamesie Bondzie, w których jakiś łysy, mówiący z ciężkim niemieckim akcentem socjopata chce zawładnąć światem – zapowiedział eliminację 1,6 mld pojazdów. Ma zostać co najwyżej 500 mln. W obliczu zagłady klimatycznej żadne wyrzeczenia plebsu nie są zbyt małe. To właśnie on w swej książce „Wielki reset" opisał proces wykorzystywania kryzysów do zaprowadzania porządków jak w orwellowskim świecie w książce „1984".

Królowa Niderlandów Maksyma wzywała w Davos do wprowadzenia paszportów biometrycznych, by kontrolować, kto jest szczepiony, a kto nie. To tylko jedna z funkcji cyfrowego dokumentu, który chcą narzucić władcy Unii. Inną byłoby śledzenie tzw. śladu węglowego – sprawdzanie i zliczanie, ile CO_2 wyemitowano przy produkcji i sprzedaży towaru i usługi, które nabywamy. Każdemu przysługiwałby limit, a jego wyczerpanie blokowałoby kolejne zakupy. Ale dla wielmożnych i bogatych jest wyjście. Istnieją bowiem pomysły, by zaprowadzić handel limitami na kształt tego, który dotyczy ETS, czyli uprawnieniami do emisji. Latający prywatnymi jetami czempion klimatyzmu Al Gore odkupywałby od jakichś nędzarzy, których nie stać na wakacje, ich prawa do emisji, czyli podróży. Pewnie już trwają prace nad takim konceptem, jak i giełdy, która umożliwi obrót takimi papierami – masowe skupowanie uprawnień od mieszkańców jakichś wioch np. na Słowacji i spekulacje nimi. Plebs ma siedzieć w chałupie, gapić się w telewizor, a nie zawadzać jaśnie państwu w kurortach.

W takie właśnie miejsce w Gryzonii w 1,5 tys. prywatnych samolotach i śmigłowcach zleciało się w tym roku kilka tysięcy osób. Cena wynajmu luksusowego domu sięgnęła 10 tys. euro za dobę. Jak co roku na okoliczność zlotu w Davos organizacja Oxfam w swym raporcie „Resisting the Rule of the Rich" ogłosiła stan posiadania największych bogaczy świata.

Otóż 3 tys. miliarderów posiada łącznie majątek o wartości 18,3 bln dol. To mniej więcej tyle, ile wynosi roczne PKB całej Unii. Zanim krezusi i władcy zlecieli się do Davos, już było wiadomo, że tegoroczne forum okaże się wyjątkowe. Jednym z organizatorów imprezy został bowiem Amerykanin Lary Fink, prezes największego funduszu inwestycyjnego BlackRock i szef rady powierniczej Światowego Forum Ekonomicznego. To jeden z niewielu wielkich przedsiębiorców, których słucha Donald Trump, a także do niedawna szef kanclerza Fridricha Merza. Niemiec Klaus Schwab – czy złożony podeszłym wiekiem, czy obciążony podejrzeniami o machloje finansowe – nie pojawił się w Davos.

Kiedy lista gości była już znana, szwajcarskie media ogłosiły, że Davos staje się „małą Ameryką" i nie było wątpliwości, kto zdominuje tegoroczne obrady. Nie spodziewano się jednak, że tak brutalnie zostanie ogłoszony koniec klimatyzmu, Zielonego Ładu, globalizmu. Że zostaną odrzucone opowieści o pożytkach z masowej imigracji, wyższości międzynarodowych organizacji nad suwerennymi państwami czy gospodarki planowej nad wolnym rynkiem, kontroli społeczeństw nad wolnością wspólnot i osobistą.

ŚWIATOWI MISTRZOWIE REGULACJI

Jest już tradycją, że odkąd Trump został prezydentem, każde duże wydarzenie międzynarodowe jest dla jego administracji znakomitą okazją do wykpiwania władców Europy, poddawania bezwzględnej krytyce Unii, jej instytucji i poszczególnych państw członkowskich. Amerykański sekretarz handlu Howard Lutnick już podczas pierwszego wystąpienia oświadczył, że globalizm się nie sprawdził, zawiódł Amerykę i Zachód, po czym bezceremonialnie zapowiedział: „Nie przyjechaliśmy [Amerykanie – przyp. red.] do Davos, by podtrzymywać *status quo*, tylko by z nim bezpośrednio walczyć". Potem posypały się potępieńcze słowa na głowy europejskich elit. Lutnick wyśmiał energetyczne pomysły UE. „Dlaczego Europa zgodziła się na net-zero [neutralność klimatyczną – przyp. red.] do 2030 r., skoro nie produkuje nawet jednej baterii? Nie produkują baterii, więc decydują

eprasa.pl 16b4bd8393

się na zależność od Chin" – mówił podczas jednego z paneli. I dodał: „Jeśli już macie być od kogoś zależni, to niech to będą wasi najlepsi sojusznicy [Ameryka – przyp. red.]".

Jak donosi Reuters, obrażona i oburzona jego antyeuropejskimi wystąpieniami szefowa Europejskiego Banku Centralnego Christine Lagarde miała z hukiem wyjść w połowie przyjęcia wydanego przez Larry'ego Finka. Zresztą w tym roku bankiety nie cieszyły się powodzeniem. Żadnych zabaw do rana. Na słynnym przyjęciu światowej sieci konferencyjnej DLD Nightcap było pusto już ok. 23.00, a tradycyjna impreza organizowana przez redakcję niemieckiego „Politico" zakończyła się o 21.00.

Unii Europejskiej nie oszczędzał także sekretarz skarbu Scott Bessent: „Europejczycy nadal kupują rosyjską energię, nadal kupują produkty rafinowane z Rosji, a jednocześnie pouczają świat i mówią o moralności. Nasi europejscy sojusznicy, którzy udają cnotę, odmówili embarga na rosyjską ropę, bo chcieli podpisać wielki deal handlowy z Indiami. To głupota". W niedzielę już w USA komentował podpisanie przez UE umowy z Indiami, wskazując, że Europa kupuje z Indii produkty rafinowane z rosyjskiej ropy i tym samym finansuje wojnę przeciwko sobie. W Davos wprost odnosił się do Komisji Europejskiej, mówiąc, że ma ona „pokrętne procesy decyzyjne, przeklętą biurokrację, więc podjęcie decyzji zajmuje jej całe wieki".

Lary Finck poddał wielkiej krytyce politykę otwartych granic dla imigrantów. Według niego kraje, które nie przyjęły przybyszów, będą się rozwijać szybciej. Nie chodzi tylko o uniknięcie wielkich konfliktów społecznych, lecz także np. o wyższą kulturę pracy i bodźce prorozwojowe – stawianie na robotykę i sztuczną inteligencję.

Wystąpieniom Lutnicka, Bessenta i sekretarza energii Chrisa Wrighta towarzyszyło w tle podkpiwanie z Danii i Grenlandii, ale dyskretne, bo sprawę kontroli nad wyspą także negocjowano w Davos. W tym samym czasie trwała groteskowa obronna wyprawa na Grenlandię żołnierzy Europy. Tuż przed rozpoczęciem forum Niemcy wycofali swój malutki oddział. Być może kanclerz Merz doznał olśnienia, być może ze względów politycznych, a być może pod wpływem swego byłego szefa z BlackRock Finka, ale miał w Davos wystąpienie, które – jeśli szczere – mogłoby być przełomowe.

Żaden Niemiec jeszcze tak nie skrytykował Unii jak właśnie Merz. „Zarówno Niemcy, jak i Europa zmarnowały w ostatnich latach ogromny potencjał wzrostu, ociągając się z reformami i niepotrzebnie, nadmiernie ograniczając swobodę przedsiębiorczości oraz odpowiedzialność osobistą. Teraz to zmienimy. Bezpieczeństwo i przewidywalność są ważniejsze od nadmiernych regulacji i bezsensownej perfekcji. Musimy znacząco ograniczyć biurokrację w Europie. Jednolity rynek został kiedyś stworzony, aby stworzyć najbardziej konkurencyjny obszar gospodarczy na świecie, ale zamiast tego staliśmy się światowym mistrzem w nadmiernej regulacji. To się musi skończyć".

ONZ-BIS IM. DONALDA TRUMPA

Największym bohaterem Davos był jednak – a nie mogło być inaczej – prezydent Stanów Zjednoczonych, który jako jedyny występował dwa razy na głównej scenie. Jego przemowy były jak zwykle bombastyczne, przesadne. Oczywiście także on odniósł się do Europy, a zwłaszcza Niemiec, i wskazał np., że produkują one mniej energii niż w 2017 r. i zmierzają do uzależnienia się od Chin. O unijnej polityce klimatycznej mówił, że to szaleństwo zabijające konkurencyjność gospodarki. Trump pochwalił się swą cudowną nową ekonomiczną bronią, czyli masowo wprowadzanymi cłami, mówiąc, że przynoszą one miliardy i czynią cuda amerykańskiej gospodarce. Pewnie coś w tym jest, bo deficyt handlowy USA maleje, a wzrost PKB za IV kwartał jest szacowany na niebywałym poziomie 5,4 proc.

> Czy tegoroczne forum było chwilowym odchyleniem od dotychczasowej upiornej, dystopijnej normy, czy punktem przełomowym, pokazującym, że świat może jeszcze wrócić do wolności, racjonalności i pozostałych podstaw cywilizacji zachodniej?

Najważniejsza była jednak polityka. Ci, którzy się bali, odetchnęli z ulgą, bo Trump wyrzekł się przemocy wobec Danii, więc żadnej inwazji na Grenlandię nie będzie. Historia dopiero pokaże, czy wydarzeniem, które przyćmiło wszystkie inne, było powołanie Rady Pokoju, którą nazwałbym ONZ im. Donalda Trumpa. Rada jest właściwie osobistą inicjatywą prezydenta i według mojej teorii spiskowej ma powoli zastępować nieudolne, dysfunkcjonalne ONZ. Ja przynajmniej podejrzewam Trumpa o takie intencje. Na razie akces do tej organizacji zgłosiło 50–60 państw, a zapisało się ok. 20, w tym m.in. Węgry, Bułgaria, Turcja, Argentyna, Arabia Saudyjska, Uzbekistan, Armenia, Kazachstan, Azerbejdżan, czyli wedle jaśnie państwa z Zachodniej Europy kraje pośledniej kategorii, kraje pospólstwa, a nie Europejczyków i kosmopolitów pierwszej rasowej czystości. Pozostałe są na różnych etapach akcesji, zależnie od trybu ratyfikacji.

Jak wspomniałem, dopiero się przekonamy, czy powstaje coś znaczącego, czy tylko klub z perspektywą trzech lat, dopóki nie upłynie kadencja Trumpa. Podobnie można spojrzeć na Davos. Czy tegoroczne forum było chwilowym odchyleniem od dotychczasowej upiornej, dystopijnej normy, czy punktem przełomowym, pokazującym, że świat może jeszcze wrócić do wolności, racjonalności i pozostałych podstaw cywilizacji zachodniej? Na razie zamierzam się trzymać zasady Muska, którą wygłosił Larry Fink: „W życiu lepiej być optymistą, który się myli, niż pesymistą, który ma rację".

eprasa.pl 16b4bd8393

O czym marzy Ukraina?

Ukraina chce być silnym wojskowo, szybko rozwijającym się i wpływowym regionalnie państwem. Będzie trudnym sąsiadem, grającym twardo i czasem brutalnie





MAREK BUDZISZ

„Okres dyplomatycznego milczenia się skończył” – powiedział Andrij Sybiha, szef ukraińskiej dyplomacji, pytany przez media o stan relacji z Węgrami. Dodał przy tym – adresując swe przesłanie również do innych sąsiadów – że „będziemy zdecydowanie reagować na wszelkie wrogie przejawy wobec naszego kraju, naszego narodu i władz państwa”, a pytany o podnoszoną przez polityków polskich kwestię kultu Bandery odparł, iż „nikt nie będzie nam dyktować naszej historii.”

Te nowe, bardziej stanowcze, a nawet agresywne tony ukraińskiej dyplomacji było słychać też w ostatnich wystąpieniach Wołodymyra Zełenskiego. W przemówieniu w Davos, które wygłosił w dzień po Donaldzie Trumpie, ukraiński prezydent w twardych słowach skrytykował polityków naszego kontynentu. „Europa lubi dyskutować o przyszłości – powiedział – ale unika podejmowania działań już dziś. Działań, które definiują, jaką przyszłość będziemy mieć”. Zarzucając europejskim elitom bezczynność i opieszałość w kwestiach bezpieczeństwa i powolność w działaniach na rzecz zakończenia wojny na Ukrainie, Zełenski zadeklarował, że w powojennych realiach jego ojczyzna może się stać jednym z elementów, a nawet filarem obrony naszego kontynentu. Jaki sygnał Europejczycy wysłali pod adresem Rosji, dyslokując na Grenlandię 40 żołnierzy: siły czy słabości? – pytał retorycznie Zełenski w Davos, dodając, że „gdyby Ukraina była w NATO”, to szybko rozwiązałaby problem rosyjskich okrętów płynących w kierunku tej wyspy. Wzywając Europę, „aby była silna”, powiedział też – co może się wydawać paradoksem – że „Ukraina może jej w tym pomóc” i jest gotowa „być częścią Europy w tym, co jest naprawdę ważne”, czyli w „budowie realnej siły”. Słowa te trudno odczytać inaczej niż jako propozycję uwzględnienia potencjału ukraińskich sił zbrojnych w przyszłych krokach na rzecz budowy tego, co francuski prezydent określa mianem „suwerenności strategicznej” naszego kontynentu.

MODELOWY SOJUSZNIK

Jeśli w porozumieniu pokojowym uda się przeforsować zapis mówiący o tym, że Ukraina będzie miała 800-tysięczną armię w czasie pokoju, będzie to także znaczący czynnik w politycznych układankach w przyszłości. Tym bardziej że – jak powiedział niedawno Mark Rutte, sekretarz generalny NATO – plany, iż europejskie państwa Sojuszu Północnoatlantyckiego same zbudują potencjał wojskowy zdolny odstraszyć Rosję, należy raczej uznać za niebezpieczne marzycielstwo niż realistyczny scenariusz. Postulowana przez Andriusa Kubiliusa, komisarza UE ds. obrony

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 16b4bd8393



Fot. Shutterstock

i przestrzeni kosmicznej, 100-tysięczna „armia europejska" jest dziś mrzonką, ale ten obraz się zmieni, jeśli w tej wojskowej arytmetyce weźmiemy pod uwagę potencjał ukraiński.

W Kijowie już myśli się o tym, jak będzie wyglądał nasz rejon i Europa po wojnie, bo rozmowy pokojowe „są na ostatniej prostej" – jak po spotkaniach w Moskwie stwierdził Steve Witkoff. To zaś oznacza, że zaczyna się też budowa docelowego modelu bezpieczeństwa. Podczas wojny Ukraińcy nauczyli się również, że niezależnie od pięknie brzmiących słów i dyplomatycznych deklaracji o pozycji i sile państw – zwłaszcza w zmieniającej się szybko rzeczywistości geostrategicznej – liczy się potencjał wojskowy. To dlatego minister Sybiha mówi, że Ukraina ma dziś nie tylko największą, lecz także najbardziej doświadczoną armię na kontynencie – nie licząc rosyjskiej – i choćby z tego powodu jej rola powinna rosnąć. Na Ukrainie uważnie czyta się też amerykańskie dokumenty strategiczne i deklaracje, zawarte choćby w niedawno opublikowanej przez Pentagon Narodowej Strategii Obrony, mówiące o poszukiwaniu „modelowego sojusznika", który ze wsparciem Waszyngtonu miałby stabilizować sytuację w naszym regionie. Kijów nie zdradza tego publicznie, ale z niektórych podejmowanych działań wyraźnie widać przekonanie: „Kto, jeśli nie my".

Wyraźnie słychać też zmianę tonu ukraińskiej dyplomacji w kwestii Europy Środkowej. Przemawiając w Wilnie w rocznicę wybuchu powstania styczniowego, Zełenski przyznał co prawda, że „pomoc Polski dla Ukrainy po 24 lutego jest bezprecedensowa w całej historii naszych narodów", ale większą część swego wystąpienia poświęcił Białorusi. Ukraiński prezydent powiedział m.in., że gdyby w 2020 r. bunt ludowy doprowadził do obalenia reżimu Łukaszenki, to wojna zapewne by nie wybuchła i zagrożenie dla jego ojczyzny z tego kierunku nie okazałoby się realne. Te słowa – ale przede wszystkim mające miejsce niedługo potem spotkanie Zełenskiego ze Swietłaną Cichanouską – są dowodem na wyraźny zwrot w środkowoeuropejskiej polityce Kijowa.

Do tej pory ukraiński prezydent tylko raz – i to na dodatek w kuluarach większej imprezy, a nie w trybie specjalnie przygotowanego spotkania – rozmawiał z liderką białoruskiej opozycji. Jak na 5,5 roku, które upłynęły od białoruskiej rewolucji, to mało i ta powściągliwość była zauważana w Europie. Wiązano ją z rolą, jaką przy Zełenskim odgrywał Andrij Jermak. Ponoć był on zwolennikiem szukania *modus vivendi* z Łukaszenką, a przedstawiciele opozycji przypominają dwuznaczną rolę, jaką ten polityk odegrał w związku z zatrzymaniem w 2020 r. na Białorusi grupy wagnerowców. Jak pisał przed laty Jurij Butusow, mieli oni lecieć przez Turcję do Syrii, ale CIA wespół z ukraińskimi służbami specjalnymi przygotowała operację sprowadzenie samolotu z nimi na pokładzie na ziemię i ich demonstracyjnego aresztowania. Akcja się nie udała, bo ktoś – a Butusow twierdził, że to był Jermak – zadzwonił do Łukaszenki i zdradził, co się szykuje.

Teraz Jermaka oficjalnie nie ma już w ukraińskiej polityce i w Kijowie wyraźnie widać zmianę nastrojów. Łukaszenka jest twardo krytykowany, a Jewhen Magda, znany ukraiński politolog, zaproponował nawet, aby Kijów wskrzesił program prometejski II Rzeczypospolitej. Dziś – jak powiedział Zełenski w Wilnie – Białoruś jest „rosyjskim generalnym gubernatorstwem", a walka, która trwa – czyli starcie między dwoma modelami państwa i stosunku do obywateli, rosyjskim i europejskim – toczy się „na naszych ziemiach" i od jego wyniku zależy przyszłość regionu.

Prometejskie nuty słychać też w deklaracjach ministra Sybihy, który mówi, że „Ukraina pomoże" Mołdawii rozwiązać „problem Naddniestrza" i stacjonowanie w tej zbuntowanej prowincji rosyjskiego garnizonu jest „nie do przyjęcia dla Kijowa".

SKRÓCONA ŚCIEŻKA DO UE

Jeśli się zatem zastanawiamy, jakim państwem Ukraina chce być po wojnie, to jeden z elementów tej układanki już mamy. Chce utrzymać swój potencjał wojskowy, bo to gwarantuje jej odstraszanie Federacji Rosyjskiej. Dysponowanie tym instrumentem może także prowadzić do wzrostu znaczenia Kijowa zarówno w Europie, jak i przede wszystkim w naszym regionie, który Ukraina będzie chciała „poukładać" zgodnie z własnymi interesami.

Mamy też do czynienia z ciekawą, zaoczną dyskusją między Zełenskim i innymi przedstawicielami ukraińskiej elity a politykami europejskimi w kwestii kalendarza rozmów o członkostwie w Unii Europejskiej. W gronie polityków Wspólnoty panuje sceptycyzm w tej sprawie, który możemy określić mianem realizmu. „To tak nie działa" – powiedział Friedrich Merz, odpowiadając na deklaracje ukraińskich polityków, w tym prezydenta, o gotowości wejścia do UE już w 2027 r.

Niemiecki kanclerz, który – jak informuje liberalny „FAZ" – konsultował się w tej sprawie z koalicyjną SPD, powiedział, że „każdy kraj musi spełnić kryteria kopenhaskie", ten proces zazwyczaj trwa kilka lat i przyspieszenie nie jest możliwe. Prezydent Karol Nawrocki również mówił o tym, że ukraińskie oczekiwania nie są realistyczne, a prezydent Litwy Gitanas Nausėda, że proces akcesyjny może uda się zakończyć w 2030 r.

eprasa.pl 16b4bd8393

Po co więc Kijów mówi o 2027 r., rozbudzając w ten sposób oczekiwania, które w świetle tych wypowiedzi trudno będzie spełnić? W grę wchodzą dwie interpretacje. W świetle pierwszej Ukraina chciałaby uzyskać specjalny status, osobną „ścieżkę negocjacyjną", a może nawet specjalnie przykrojone na jej potrzeby kryteria. Chodzi o to, że nie chce zostać członkiem na tych samych zasadach co Czarnogóra czy Albania, a ponadto ma świadomość, iż niektóre kryteria – choćby związane z walką z korupcją – trudno jej będzie szybko spełnić.

Portal Politico pisał niedawno, że Komisja Europejska prowadzi już analizy, jak przyspieszyć negocjacje i datę wejścia Ukrainy do Wspólnoty, co potwierdzałoby tę linię interpretacyjną. Tym bardziej że Kijów liczy zapewne na presję Waszyngtonu, który wpisał przyspieszenie procesu akcesyjnego – a mowa nawet o konkretnych i bardzo ambitnych datach – do propozycji pokojowych. Jeśli zatem w ramach gwarancji bezpieczeństwa, o których Zełenski powiedział niedawno, że są już właściwie gotowe do podpisu, Ukraina ma w przyspieszonym trybie wejść do Unii, to dyskusja o datach staje się bezprzedmiotowa.

Inną, kompromisową opcją, o której zdaniem dziennikarzy Politico dyskutuje się w Brukseli, jest dopuszczenie Ukrainy do wspólnego rynku, objęcie subsydiami europejskimi – zarówno jeśli chodzi o rolnictwo, jak i fundusze spójności – ale ograniczenie w zakresie pełni praw członkowskich, tzn. wyłączenie z procesu podejmowania decyzji. Prestiżowo byłby to cios dla Kijowa, chyba że na Ukrainie uważa się, że w przyszłych relacjach na naszym kontynencie nieproporcjonalnie duże znaczenie będzie miał „czynnik wojskowy", co może równoważyć upośledzenie w relacjach z Unią. Tego rodzaju diagnoz można się doszukać choćby w wypowiedziach Sierhija Korsunskiego, byłego ambasadora Ukrainy w Japonii, który w rozmowie z analitykiem politycznym Jurijem Romanienką mówi o potrzebie konstruowania przez Kijów geostrategicznej osi północ–południe. Ten sojusz – a jego budowa miałaby być wstępem do pogłębienia współpracy gospodarczej – miałby się zaczynać od Norwegii, obejmować Skandynawów, Polskę i Rumunię, a jego południowe „ramię" powinno się kończyć na Turcji, ważnym elemencie tej „układanki". Porozumienie tego rodzaju zapewniałoby Ukrainie centralną pozycję zwornika środkowoeuropejskiego systemu bezpieczeństwa, a także ułatwiało współpracę gospodarczą, zarówno w basenie Morza Czarnego, jak i dalej – dzięki wpływom tureckim, w Azji Środkowej. Równolegle Kijów kontynuowałby współpracę z państwami UE, choć nie tylko, bo przecież Norwegia nie jest częścią Wspólnoty, a Wielka Brytania ją opuściła.

INWESTYCJE Z AMERYKI

Myśląc o odbudowie swej gospodarki po wojnie, ukraińskie elity nie mają też zamiaru rezygnować z amerykańskich inwestycji. Jak informował dziennik „The New York Times", w styczniu władze przyznały pierwszą koncesję na eksploatację pokładów litu. Uzyskało je konsorcjum amerykańskich inwestorów, do którego należy również Ronald S. Lauder, finansista i przewodniczący Światowego Kongresu Żydów, uważany za przyjaciela Donalda Trumpa. Kijów jest też zainteresowany kreowanym właśnie przez Waszyngton Funduszem Odbudowy, który ma być zasilony 800 mld dol., na czele którego ma stanąć Larry Fink, prezes Black Rock – największej na świecie firmy zarządzającej aktywami, finansista, który prowadził spotkanie z Trumpem w Davos.

> W drodze do członkostwa w UE Kijów chciałby uzyskać specjalny status, osobną „ścieżkę negocjacyjną", a może nawet specjalnie przykrojone na jego potrzeby kryteria

Jeśli plan pokojowy przesądzi o podziale energii produkowanej przez Zaporoską Elektrownię Atomową – a w świetle informacji udzielonych przez amerykańskich negocjatorów mediom Rosjanie sami mieli to zaproponować – Ukraina może w relatywnie krótkim czasie odbudować swą samowystarczalność energetyczną. Amerykańskie inwestycje, silny przemysł zbrojeniowy, tania energia i dynamiczne, młode i żądne sukcesu społeczeństwo mają stać się – już po wojnie – gwarantami bezpieczeństwa, odbudowy i prosperity. Ukrainie nie będzie potrzebna europejska biurokracja, a tym bardziej absurdalna polityka energetyczna i ryzyko ograniczeń dla amerykańskich inwestorów wiążące się z perspektywą uruchomienia „ekonomicznej bazooki", czym co jakiś czas grozi Macron.

Z pewnością będą jej potrzebni ludzie, którzy wyjechali z Ukrainy w związku z wojną. Najnowsze badania rynku pracy już wskazują na poważne niedobory. W Kijowie na jednego szukającego zatrudnienia przypadają 24 wakaty, o problemach ze znalezieniem pracowników mówią też przedstawiciele związków przedsiębiorców. Dmytro Łubinec, pełnomocnik Rady Najwyższej ds. praw człowieka, powiedział niedawno w wywiadzie, że z Ukrainy wyjechało 11 mln ludzi i kwestia skłonienia ich do powrotu będzie jednym z najpilniejszych zadań. Tu paradoksalnie ostatnie polskie regulacje zaostrzające kryteria przyznawania pomocy socjalnej są Kijowowi na rękę, choć oficjalnie ukraińska dyplomacja nigdy tego nie przyzna.

Wojna trwa, ale w Kijowie już myśli się o przyszłości. Ukraina chce być silnym wojskowo, szybko rozwijającym się i wpływowym regionalnie państwem. Będzie trudnym sąsiadem, grającym twardo i czasem brutalnie. Ale potrzebującym też sojuszy strategicznych i partnerów, którzy będą się poruszać w podobnym kierunku. Wyznaczonym nie wyłącznie przez perspektywę członkostwa w Unii i NATO, ale znacznie bardziej samodzielnym, o dużym poziomie ryzyka, ale w razie sukcesu gwarantującym również wielką wygraną – uzyskanie statusu regionalnej potęgi – najpierw wojskowej, a później także gospodarczej.

eprasa.pl 16b4bd8393

Berlin z Rzymem kontra Paryż z Warszawą, czyli kto wygra bitwę o handel

Prawdziwym powodem, dla którego Emmanuel Macron w sojuszu z Donaldem Tuskiem próbuje obalić umowę z Mercosur, szukając wsparcia prawicy, zielonych, a nawet komunistów, jest strach przed rolniczymi protestami i ostateczną utratą głosów wyborczych ludności wiejskiej

Egzotyczna koalicja lewicowych „klimatystów" i prawicowych „traktorzystów" podjęła jeszcze jedną próbę wywrócenia umowy handlowej, jaką Unia Europejska zawarła z czterema państwami Ameryki Łacińskiej: Argentyną, Brazylią, Urugwajem i Paragwajem. Aby w pełnej krasie zobaczyć cudaczność tej koalicji, trzeba pamiętać, iż ma ona swego przemożnego patrona, którym jest znienawidzony zarówno przez prawicę, jak i lewicę Emmanuel Macron.



JAN ROKITA

Na pozór nic się tutaj nie składa, bo Macron to przecież europejski wzór liberalnego centrysty, który jak lew powinien bronić zagrożonej przez trumpizm idei wolnego handlu. Z kolei „traktorzyści" to silne w Unii Europejskiej lobby uprzemysłowionego rolnictwa, które ostatnimi laty znalazło swego politycznego rzecznika w nowej alt-prawicy, bezpardonowo zwalczanej przez Macrona. A „klimatyści" to ci od przyklejania się do asfaltu i oblewania zupą sławnych dzieł sztuki, którzy na co dzień uważają lobby przemysłowego rolnictwa za największego niszczyciela klimatu i swego śmiertelnego wroga. Ideowy miszmasz tej koalicji jest doskonały.

RATYFIKACJA UMOWY ZASTOPOWANA

A jednak owa koalicja naprawdę powstała, zaś w środę 21 lutego 2026 r. odniosła nawet zaskakujący sukces w Parlamencie Europejskim. I – co tu dużo mówić – wpędziła w kłopoty Ursulę von der Leyen i jej słowackiego komisarza od handlu Maroša Šefčoviča. Wspólnymi siłami europosłów alt-prawicy (Le Pen, Kaczyński, Weidel, Salvini i inni), zielonych i komunistów udało się zrobić Komisji Europejskiej solidnego psikusa, odsyłając do luksemburskiego Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej dopiero co uroczyście podpisywany w Asunción układ handlowy z Mercosur, który kolejne ekipy unijnych komisarzy negocjowały przez ćwierć wieku!

W praktyce oznacza to, iż po pierwsze, ratyfikacja układu zostaje odłożona na czas długi i bliżej nieznany, aż do wydania wyroku przez sędziów. A po drugie, faktyczna decyzja o kształcie układu przechodzi teraz z rąk polityków w ręce luksemburskich sędziów, którzy są nieobliczalni i zdolni do wydawania nonsensownych orzeczeń. W ostatnich dniach po raz kolejny mogliśmy się o tym przekonać, czytając znów wydany przeciw Polsce wyrok sankcjonujący kary nałożone na nasz kraj z powodu niezamknięcia turoszowskiej kopalni, i to mimo że już dawno temu zawarto polsko-czeską ugodę w tej sprawie.

Strasburski sukces alt-prawicy, komunistów i zielonych pod patronatem Macrona byłby jednak niemożliwy, gdyby nie wewnętrzna anarchia, jaka przy tej okazji zapanowała w dwóch największych frakcjach Parlamentu Europejskiego: centrolewicy (S&D) i chadeków (EPP), na których opiera się polityczne zaplecze Komisji pod wodzą von der Leyen. Liczna grupa (31 europosłów) z frakcji S&D, głównie socjaliści francuscy i belgijscy, wyłamała się z politycznej dyscypliny, głosując *de facto* przeciw wejściu w życie układu. Jeszcze gorzej było w EPP – partii faktycznie rządzącej Europą. Rozpadła się ona na frakcje „germańską" oraz „frankońską" i aż 43 europosłów – głównie Polacy z Platformy (czyli KO) i francuscy gaulliści – odesłało układ do Trybunału. Tym razem na nic się zdały „prośby i groźby"

eprasa.pl 16b4bd8393



szefa EPP Manfreda Webera, kierowane do deputowanych z partii Donalda Tuska i Brunona Retailleau. Rezultat okazał się fatalny dla von der Leyen: 10 głosami – 334 do 324 – Komisja przegrała swój sztandarowy projekt. A dalszy los umowy nie jest dziś jasny.

RYWALIZACJA TANDEMÓW

Wynik głosowania świętowano w Paryżu, gdzie pewna posłanka w przypływie triumfalizmu oświadczyła nawet publicznie, iż to „decydujący cios w von der Leyen". Smaczku tej deklaracji dodaje fakt, iż owa pani poseł – Céline Imart – reprezentuje EPP, tak samo jak niemiecka szefowa Komisji Europejskiej. Widać tu, jak naprawdę ciepłe uczucia żywią wobec siebie nawzajem francuscy i niemieccy „chadecy". W bufonowatym francuskim stylu szef dyplomacji Jean-Noël Barrot mówił, iż „Francja bierze odpowiedzialność za powiedzenie NIE, gdy to konieczne, a historia często pokazuje, że Francja ma rację".

Niezadowolenie zapanowało zaś w Berlinie, gdzie kanclerz Friedrich Merz mówił o „decyzji godnej ubolewania, gdyż biorącej się z błędnej oceny sytuacji geopolitycznej". To ważny argument, gdyż Niemcom oczywiście idzie o sprzedaż ich samochodów za Atlantyk, ale podnoszą oni także inny globalny argument – iż wolny handel między Europą i Ameryką Łacińską to być może ostatnia szansa na przyhamowanie pełnego gospodarczego podporządkowania sobie tego regionu przez Chiny.

Berlin nie pozostaje jednak bezczynny. 23 stycznia Merz wraz z połową swego rządu poleciał na konsultacje do Rzymu, gdzie wspólne z Giorgią Meloni zażądał, aby umowa z Ameryką Łacińską została tymczasowo wprowadzona w życie, jeszcze przed procesem ratyfikacji. Stanowisko Włoch ma tu kluczowe znaczenie, bowiem to właśnie wolta Meloni, która „odkleiła się" od stanowiska francuskiego, umożliwiła przegłosowanie przez Radę UE całego układu. Sprzeciw Francji i Polski (poparty przez Austrię, Węgry i Irlandię) pozostał wtedy w mniejszości, nie mającej wpływu na decyzję. W Paryżu ze złością więc obwieszczono, iż żądanie niemiecko-włoskie oznaczałoby „złamanie demokracji". Ale tym razem jest tak, że wspólne stanowisko Merza i Meloni – podzielane raczej przez von der Leyen – ma silne podstawy traktatowe. Art. 218 drugiego traktatu europejskiego wyraźnie mówi, iż decyzją Rady UE umowy handlowe mogą być wprowadzane w życie tymczasowo, przed ratyfikacją. I na tej podstawie Rada zapowiedziała już taki scenariusz w komunikacie ogłoszonym 9 stycznia, po akceptacji większością głosów umowy z Mercosur.

Rzecz rozstrzygnie się zatem nie tyle na gruncie prawa, ile czystej polityki. W najbliższym czasie musi się po prostu okazać, kto w Unii jest silniejszy: Berlin wspierany przez Rzym czy Paryż sprzymierzony z Warszawą. Liberalny dziennik „Politico" lansuje teraz parę Meloni–Merz jako „nowy tandem kierujący Europą". Jest w tym niejaki żart

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 16b4bd8393

historii, gdyż w liberalnych mediach jeszcze niedawno pisano o włoskiej premier jako „faszystce", a przynajmniej na niemieckiej lewicy tak się zwykło uważać do dziś. Niemiecko-włoski sojusz dysponuje poparciem głównego nurtu centro-prawicowej EPP, która w tej sprawie rozpadła się na dwie wrogie sobie części – „germańską" i „frankońską" – a także głównego nurtu europejskiej centrolewicy.

Za francusko-polskim sojuszem stoją zaś „klimatyści" wraz z „traktorzystami", czyli zieloni, komuniści i przede wszystkim cała (z wyjątkiem Meloni) europejska alt-prawica, w tym niemiecka AfD, przedkładająca ponadnarodową ideologię wrogości wobec wolnego handlu nad interesy niemieckiego przemysłu samochodowego. To warta zauważenia rzadkość w niemieckiej polityce.

Egzotyczna ideowo natura obu tych sojuszów wymaga paru słów komentarza. Jeśli przeczytać rezolucję nr 61 Parlamentu Europejskiego odkładającą ratyfikację układu i oddającą go pod osąd luksemburskich sędziów, widać na pierwszy rzut oka, iż jej treść jest zlepkiem niemających ze sobą nic wspólnego żądań lewicowych „klimatystów" i prawicowych „traktorzystów". Ci pierwsi chcą, aby TSUE odrzucił podpisaną w Asunción wersję układu z tego powodu, że ma on sprzyjać wycinaniu drzew Amazonii i Gran Chaco po to, by powiększać tereny pod uprawy rolne w Brazylii, Paragwaju i Argentynie. Argumentują oni, iż w układzie nie tylko nie zawarto sankcji za wylesianie i niszczenie przyrody w Ameryce Południowej, lecz także Bruksela zgodziła się nawet na to, aby zagwarantować państwom Mercosur ekstra rekompensaty, jeśli z powodu europejskiego Zielonego Ładu handel tych krajów z Europą doznałby jakichś strat i ograniczeń.

Ów „rebalancing mechanism" wpisany do układu budzi namiętną złość „klimatystów", gdyż traktują go oni jako kolejne pośrednie uderzenie w ich ukochany Zielony Ład. Stawiają więc zarzut, iż cała „filozofia" układu z Mercosur jest „przestarzała", gdyż kieruje się on wymogami ekonomii i interesem konsumenta zamiast nowoczesną ideologią „ochrony klimatu". Wśród zielonych podnoszony jest też argument o pestycydach, które może zawierać żywność importowana z Ameryki Łacińskiej. Jest on o tyle słaby, że zgodnie z prawem europejskim Unia powinna skontrolować i zatrzymać na swych granicach każdy produkt zawierający środki chemiczne zakazane w Europie. Inna sprawa, czy państwa unijne potrafią wypełnić ten obowiązek.

Natomiast głównym „prawicowym" zarzutem, który wedle rezolucji 61 miałby być przyczyną odrzucenia umowy przez sąd, jest sprytny, a może wręcz kuglarski pomysł Komisji, aby treść całego układu z Ameryką Łacińską podzielić na dwa odrębne akty. Pierwszy – traktat czysto handlowy (iTA) nie wymaga ratyfikacji przez parlamenty państw członkowskich, gdyż dotyczy tylko unijnego handlu, a więc kompetencji zastrzeżonej w traktatach europejskich wyłącznie i w całości na rzecz Unii. Drugi (EMPA) – szersza umowa o europejsko-latynoskim partnerstwie – musiałaby poczekać na głosowania we wszystkich krajach członkowskich. Ewidentne kuglarstwo prawne polega na tym, że to umowa o wolnym handlu, a nie szerszy traktat o partnerstwie budzi złość i protesty zarówno „zielonoładowców", jak i unijnego lobby rolniczego. Na prawicy nie bez racji uważa się więc, że jest to pewien rodzaj politycznego spryciarstwa Komisji, które ma na celu kolejne zawężenie suwerenności decyzyjnej państw członkowskich Unii.

Za francusko-polskim sojuszem stoją zaś „klimatyści" wraz z „traktorzystami", czyli zieloni, komuniści i przede wszystkim cała (z wyjątkiem Meloni) europejska alt-prawica, w tym niemiecka AfD

ISTOTA KONFLIKTU

Widać jasno, że o ile główny zarzut zielonej lewicy jest sformułowany wprost w rezolucji Parlamentu Europejskiego, to zarzuty prawicy nie dotyczą tego, co tak naprawdę stanowi istotę konfliktu wokół umowy z Mercosur. Wśród pięciu zarzutów zawartych w rezolucji nie ma bowiem słowa o żądaniach lobby uprzemysłowionego rolnictwa unijnego, które za żadną cenę nie chce dopuścić do poszerzenia konkurencji z żywnością pochodzącą z Ameryki Południowej. Tymczasem prawdziwym powodem, dla którego Macron w sojuszu z Tuskiem próbuje obalić umowę z Mercosur, szukając wsparcia prawicy, zielonych, a nawet komunistów, jest strach przed rolniczymi protestami i ostateczną utratą głosów wyborczych ludności wiejskiej. Nie chodzi przy tym – wbrew upowszechnionej także w Polsce propagandzie – o żadne „bezpieczeństwo żywnościowe", bo przecież zarówno Unia jako całość, jak i kraje takie jak Polska, są w praktyce samowystarczalne żywnościowo.

Tak naprawdę umowę z Ameryką Łacińską za wszelką cenę chce obalić wielki unijny agrobiznes, który czerpie dochody przede wszystkim z eksportu rolnego. W szczególności dotyczy to Polski, czyli kraju, w którym produkcja mięsa wołowego czy drobiu wielokrotnie przewyższa krajową konsumpcję, a polski agrobiznes zawdzięcza sukces eksportowi. Przykładowo – Polska jest trzecim na świecie eksporterem przemysłowo hodowanego, taniego drobiu, ale tak się składa, że pierwsze miejsce na świecie w tej dziedzinie zajmuje Brazylia. Obniżka ceł na brazylijskie kurczaki oznaczałaby więc poważniejsze konkurencyjne starcie producentów polskich i brazylijskich na rynkach europejskich, a tego – rzecz jasna – polski agrobiznes absolutnie sobie nie życzy. Tam zaś, gdzie w grę wchodzą dochody wielkiego biznesu, gra z natury rzeczy jest zacięta, a argumenty o przeciwdziałaniu chińskiej dominacji, wzroście PKB albo o korzystnym spadku cen żywności dla zwykłych konsumentów tracą znaczenie.

eprasa.pl 16b4bd8393



Syn – kura domowa

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Gotują, pieką, sprzątają. Młodzi mężczyźni w USA coraz częściej pozostają w domu z mamą i tatą, a zamiast pracy zawodowej podejmują się wykonywania stereotypowych obowiązków gospodyni domowej. W dorosłym świecie radzą sobie bowiem o wiele gorzej od młodych kobiet

Luke Parkhurst ma 34 lata, jest singlem i mieszka na przedmieściach Las Vegas z matką, która pracuje jako stewardesa. Wcześniej miał własny dom i pracę – sprzedawał panele słoneczne – ale alkohol i narkotyki spowodowały, że stracił jedno i drugie. Teraz sprząta, gotuje, robi zakupy, piecze i pierze. „Gdy ktoś pyta mnie o moją sytuację, odpowiadam: »Tak, jestem gospodynią domową. A ty pracujesz, żeby zarobić na życie? To okropne«" – tłumaczył Parkhurst w rozmowie z „The Washington Post".

Odkąd zaczął dokumentować swoje codzienne życie na TikToku stał się jedną z twarzy ruchu tzw. tradycyjnych synów (tradsons), nawiązującego do tradwives – tradycyjnych żon, które od lat zasiedlają amerykańską infosferę. Są to influencerki, które pokazują życie wzorowane na modelu rodziny z lat 50., w którym mężczyzna zarabia, a kobieta dba o dzieci i dom. Okazuje się, że rola kury domowej odpowiada także wielu – przeważnie młodym – mężczyznom, którym niespieszno opuścić dom rodzinny lub którym nie wyszło w życiu i wrócili pod opiekę (oraz parasol finansowy) rodziców.

39-letni Mark Taylor wyprowadził się z domu, gdy miał 16 lat, ale wrócił zaledwie trzy lata później. I został. W Vallejo w Kalifornii, gdzie mieszka, to nic nadzwyczajnego. Według Pew Research Center 33 proc. mieszkańców miasta w wieku 25–34 lata wciąż mieszka z rodzicami.

25 TO NOWE 21

Według najnowszych danych amerykańskiego Biura Spisu Ludności w całym kraju ok. 1 na 3 dorosłych w wieku 18–34 lata mieszka obecnie z matką lub ojcem. Przy czym mężczyźni w tym przedziale wiekowym częściej mieszkają z rodzicami niż kobiety.

Kathryn Smerling, terapeutka rodzinna z Nowego Jorku, podkreśliła w rozmowie z „New York Post", że trend tradsons jest efektem podziałów społecznych za oceanem, niestabilnego rynku pracy, inflacji oraz pogłębiającego się kryzysu mieszkaniowego. Ponadto – jak możemy przeczytać na łamach portalu „Business Insider" – starsi Amerykanie postrzegają wyprowadzkę z domu jako kamień milowy w procesie dojrzewania, podczas gdy przedstawiciele pokolenia Z (urodzeni

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 16b4bd8393

między 1997 a 2012 r.) wzdrygają się przed podejmowaniem poważnych życiowych zobowiązań, takich jak praca, zakup domu czy założenie rodziny. Wchodzą w dorosłość o wiele później niż przedstawiciele pokolenia X, a nawet milenialsi. „25 jest nowym 21" – twierdzi portal.

Według Krajowego Stowarzyszenia Pośredników w Obrocie Nieruchomościami w USA mediana wieku osób kupujących dom po raz pierwszy wyniosła w 2023 r. 36 lat, w 2011 r. – 33 lata. „Zety" nie są również tak skore jak wcześniejsze pokolenia do pracy w biurze w godz. 9–17. W przeciwieństwie do ludzi z poprzednich pokoleń na pierwszym miejscu stawiają dbanie o siebie, dobre samopoczucie i równowagę między życiem zawodowym a prywatnym, co często prowadzi do braku stabilności finansowej. Zwyczajnie nie stać ich na samodzielne życie. Co więcej, problemy ze zdrowiem psychicznym, takie jak stany lękowe i depresja, stały się powszechniejsze w pokoleniu Z. Badanie z 2022 r. opublikowane w „JAMA Psychiatry" wykazało, że zaburzenia zdrowia psychicznego najczęściej występują wśród młodych dorosłych, a zaburzenie lękowe jest jedną z najczęściej stawianych diagnoz. „Zety" zupełnie inaczej definiują więc życiowy sukces. Nie są nim praca, zakup domu czy założenie rodziny, ale „podróżowanie, praktykowanie hobby, rozrywka i zdrowie psychiczne".

Według badania Pew Research Center z 2021 r. prawie połowa dorosłych przedstawicieli pokolenia Z zadeklarowała, że planuje mieć dzieci, ale nie określiła ram czasowych. Jeśli się uda, to dobrze, jeśli nie – to też nic nie szkodzi.

DOROSŁE DZIECKO W PIWNICY

Świat zewnętrzny jest groźny, wymagający, a dorosłe życie kosztuje. U mamy i taty jest bezpiecznie i tanio. Tak uważa też Brendan Liaw, który rozsławił trend tradsons w całym kraju swoim występem w quiz show Jeopardy! w maju 2025 r. Prowadzący Ken Jennings przedstawił Liawa, który ma tytuł magistra nauk politycznych, jako „syna – kurę domową".

„To całkiem niezła robota" – odparł Liaw. Dodał jednak, że nie jest to projekt na całe życie, ale pokazuje, „jak trudny jest obecnie rynek pracy". Od tego czasu Liaw rozpoczął kolejne studia – tym razem prawnicze – i znalazł pracę, choć tylko dorywczą. Jego występ w Jeopardy! stał się wiralem i wygenerował trend w mediach społecznościowych. Zaczęli zgłaszać się rodzice tradsons, by zapewnić, że cieszą się, że ich synowie nie opuścili gniazda. Jak podkreślała matka Luke'a Parkhursta Patty, „to ulga mieć kogoś w domu, kto wyniesie śmieci czy zrobi zakupy". „On jest moim dzieckiem" – dodała.

Nie wszyscy są jednak zachwyceni nowym trendem. Laura Ingraham z Fox News nazwała tradsons „mężczyznami w kryzysie". „Vanity Fair" przypomniało słowa byłej pierwszej damy Michelle Obamy, która w jednym z wywiadów zadeklarowała, że wolałaby „nauczyć [swoje dzieci] granic w wieku trzech, czterech i pięciu lat [...] niż pozwolić im mieszkać w naszej piwnicy, gdy będą miały 35 lat, przez resztę życia". Obama, który siedział obok niej, uśmiechnął się, ale stanowczo podsumował: „Nie chcę dorosłego dziecka w mojej piwnicy". „The Wall Street Journal" opublikował w dziale „Kariera" artykuł zatytułowany „Nowa wymarzona praca dla młodych mężczyzn: syn – gospodyni domowa". Komentatorka Fox News Tomi Lahren zażartowała: „Tylko pokolenie Z potrafi przerobić lenistwo i brak umiejętności społecznych w coś uroczego". Według niej tradsons to nieudacznicy i „najsłodsze zdjęcia młodych mężczyzn w fartuchach w serduszka tego nie zmienią".

Podczas dyskusji w podcaście „Ruthless" współprowadzący Josh Holmes zaznaczył, że „większość mężczyzn z choćby odrobiną testosteronu uznałaby układanie kwiatów i monitorowanie dostaw z Amazonu za nieco poniżające". Jeden z komentatorów zgodził się: „Musimy przywrócić wstyd w tym kraju, Josh, musiałbyś mnie poddać torturom wodnym jak islamskich terrorystów, żebym przyznał, że jestem synem – gospodynią domową".

KUMULACJA PORAŻEK

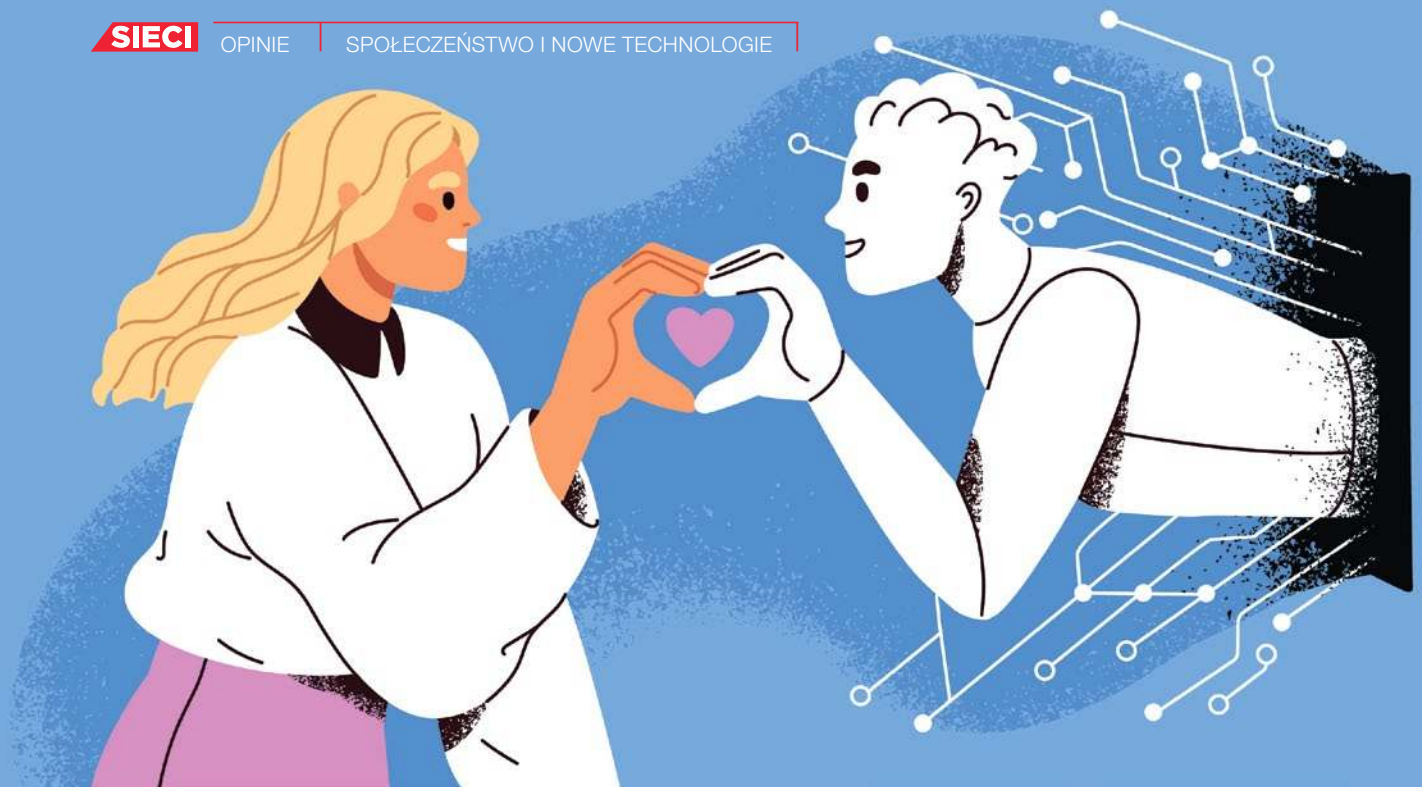
Problem jest oczywiście szerszy i dotyczy – jak twierdzi „The New York Times" – coraz trudniejszej sytuacji mężczyzn w USA i w całym świecie zachodnim. Według gazety chłopcy pozostają w tyle za swoimi koleżankami w wielu aspektach życia. Pod względem edukacyjnym często rozpoczynają przedszkole na niższym poziomie niż dziewczęta i pozostają w tyle przez cały okres nauki. Dziewczęta konsekwentnie osiągają lepsze wyniki w czytaniu oraz wyższą średnią ocen. Chłopcy są częściej zawieszani w prawach ucznia i mają niższy wskaźnik ukończenia szkoły średniej. Chociaż zazwyczaj osiągają lepsze wyniki w matematyce, system edukacji im nie sprzyja. Richard Reeves, prezes Amerykańskiego Instytutu Chłopców i Mężczyzn (American Institute for Boys and Men), zauważył, że amerykański system edukacji nie jest tak „przyjazny chłopcom" jak powinien.

Problemy ze zdrowiem psychicznym są również powszechne wśród chłopców. Ok. 28 proc. z nich w wieku 3–17 lat ma problemy psychiczne, emocjonalne, behawioralne lub rozwojowe – w porównaniu z 23 proc. dziewcząt. U chłopców częściej niż u dziewcząt diagnozuje się także zespół nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi (ADHD) i autyzm. Wskaźnik samobójstw wśród młodych mężczyzn znacznie wzrósł: w 2023 r. wśród mężczyzn w wieku 15–24 lat wyniósł on 21 na 100 tys. Jeśli chodzi o zatrudnienie, wskaźnik aktywności zawodowej mężczyzn w wieku 25–54 lat spadł z 94 proc. w 1975 r. do 89 proc. dziś, podczas gdy wskaźnik aktywności zawodowej kobiet wzrósł w tym samym okresie z 55 do 78 proc. Zniknęło wiele tradycyjnych zawodów męskich, podczas gdy kobiety odniosły sukces w sektorze usług. Mimo niższych zarobków niż mężczyźni, mediana tygodniowych zarobków kobiet w USA wzrosła o 19 proc. od 2000 r. w porównaniu z 7-proc. wzrostem w przypadku mężczyzn.

ŚWIAT SŁUŻĄCY KOBIETOM

Jak twierdzi prof. Scott Galloway z New York University Stern School of Business, młodzi mężczyźni zmagają się ze swoją tożsamością i odnalezieniem celu w życiu. Według niego w USA 1 na 5 mężczyzn w wieku 30 lat wciąż mieszka u rodziców, a 15 proc. nie ma żadnych bliskich przyjaciół. W edukacji różnica między płciami się odwróciła: obecnie to kobiety zdobywają prawie dwa dyplomy ukończenia studiów wyższych na każdy dyplom uzyskany przez mężczyznę. „Wielu mężczyzn utraciło swoją tradycyjną rolę, nie potrafi budować więzi społecznych i żyje w domu rodzinnym za ekranem komputera lub smartfona" – dodał prof. Galloway. W skrócie: mężczyźni sobie nie radzą, bo dzisiejszy świat służy przede wszystkim kobietom. Od systemu edukacji po rozwój zawodowy. A skorygowanie tego trendu nie będzie łatwe.

eprasa.pl 16b4bd8393



Randka ze sztuczną inteligencją

Masowym zjawiskiem wśród młodzieży stają się flirty z cyfrowymi aplikacjami lub nawet celowe budowanie intymnych relacji z systemami AI

Paolo z Rimini rozpoczął na portalu randkowym flirt z Emilią z Rawenny. Ponieważ miał zbyt małe poczucie własnej wartości, posłużył się sztuczną inteligencją. Zaczął używać aplikacji Iris, która – wykorzystując algorytmy do przewidywania zgodności i wzajemnych zainteresowań – pozwalała znajdować wspólne tematy do konwersacji i rozwijać je w błyskotliwy sposób. Inny system – Rizz – umożliwiał automatyczne generowanie idealnych odpowiedzi na każdą sytuację. Komunikacja między nastolatkami stała się coraz bardziej ekscytująca. Paolo był zachwycony, ponieważ prowokowana do coraz bardziej osobistych zwierzeń Emilia ukazywała swe czułe, wrażliwe i kochające wnętrze.



GRZEGORZ GÓRNY

Niestety chłopiec nie wiedział, że dziewczyna w tym samym czasie również używała systemów sztucznej inteligencji. W efekcie mieliśmy do czynienia z wymianą komunikatów między dwoma maszynami, podczas gdy nastolatkowie byli przekonani, że mają po drugiej stronie prawdziwe osoby, obdarzone nieprzeciętną inteligencją, poczuciem humoru i niezwykłą umiejętnością łatwego nawiązywania kontaktów.

W dzisiejszej rzeczywistości cyfrowej takich Paolów i Emilii jest coraz więcej. Ich pierwsze spotkanie w realnym świecie musi się zakończyć głębokim rozczarowaniem.

POKOLENIE „ŚNIEŻYNEK”

Socjologowie i psycholodzy piszą, że obecnie w krajach zachodnich mamy do czynienia z pokoleniem „płatków śniegu” (snowflake generation). Wspomniane „śnieżynki” to ludzie urodzeni na początku XX w. Wychowani w cieplarnianych warunkach państw dobrobytu nigdy nie byli zmuszeni do stawiania czoła poważnym wyzwaniom. W efekcie są przewrażliwieni emocjonalnie, nie radzą sobie ze stresem i trudnościami, a każda krytyka lub nawet odmienna opinia potrafi ich głęboko zranić.

Zanurzeni w rzeczywistości wirtualnej mają problemy zarówno w rozwiązywaniu realnych problemów, jak i nawiązywaniu relacji z innymi ludźmi. W związku z tym nie lubią podejmować ryzyka, często nie posiadają prawa jazdy, a nawet obawiają się korzystać z usług lokali gastronomicznych.

Badania przeprowadzone w Wielkiej Brytanii przez sieć gastronomiczną Prezzo na próbie 2 tys. osób wykazały, że 86 proc. reprezentantów pokolenia Z (urodzonych w latach 1997–2012) przynajmniej

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 16b4bd8393

raz w życiu doświadczyło „lęku przed menu" w restauracji. Dla 34 proc. z nich ów strach był tak wielki, że musieli poprosić inne osoby o złożenie zamówienia, a 40 proc. zadeklarowało, że woli w ogóle nie jeść poza domem, jeżeli wcześniej nie może sprawdzić karty dań w internecie i dokonać wyboru jeszcze przed wejściem do lokalu. Co zastanawiające, ich obaw wcale nie budziły zbyt wysokie ceny posiłków. Znacznie poważniejszym powodem był lęk, że mogą nie znaleźć w menu nic odpowiedniego dla siebie lub zamówić niesmaczne danie, którego później będą żałować.

Dla „śnieżynek" traumatycznym przeżyciem stają się więc doświadczenia, które były codziennością dla pokolenia ich rodziców. Do takiej kategorii należą także randki, które wystawiają uczestników takiego wydarzenia na niespodziewane sytuacje. By zminimalizować ryzyko potencjalnych niedogodności we wzajemnych relacjach, coraz częściej sięgają po pomoc sztucznej inteligencji.

W ŚWIECIE PROJEKCJI

Celem algorytmów randkowych stało się zetknięcie ze sobą osób, które powinny do siebie idealnie pasować. Ten proces dopasowywania bazuje na tym samym mechanizmie tworzenia profilu konsumenckiego klienta, który obserwujemy w mediach społecznościowych. W efekcie powstaje bańka medialna, która filtruje wszystkie docierające do nas komunikaty pod kątem zgodności z naszymi upodobaniami, poglądami czy oczekiwaniami. Taka filtracja relacji ogranicza ryzyko przypadkowych kontaktów, eliminując tym samym nieprzewidywalność i tajemniczość spotkań między ludźmi. Człowiek – zamiast samodzielnie odkrywać inność drugiej osoby – otrzymuje od systemów AI algorytmiczną projekcję własnych preferencji, czyli kolejną wersję samego siebie, tyle że udoskonaloną.

Sztuczna inteligencja pozwala tworzyć fałszywe autoprezentacje i kreować nieprawdziwą tożsamość, by zmaksymalizować atrakcyjność zgodnie z parametrami algorytmów. Bazując na naturalnej tendencji dążenia do perfekcji, wzbudza jednak nierealistyczne oczekiwania i zmniejsza tolerancję dla ludzkiej niedoskonałości. Oparcie relacji na algorytmicznych kalkulacjach nie pozostawia miejsca na autentyczną miłość, która jest krucha i trudna, dlatego wymaga nieustannego pielęgnowania.

Gdy młodzi ludzie muszą pisać o swoich uczuciach, których nie potrafią nazwać, czy o przeżyciach, z którymi nie umieją sobie poradzić, coraz częściej korzystają z ChataGPT. Delegują więc zarządzanie własnymi emocjami na wysoko zaawansowane urządzenia technologiczne. Ten unik ma jednak konsekwencje dla życia wewnętrznego, ponieważ na dłuższą metę oznacza rezygnację z rozwoju osobistego, zwłaszcza wykształcenia empatii, odporności czy dojrzałości emocjonalnej.

Powierzenie swojego losu automatom, które na podstawie obliczeń probabilistycznych decydują za nas, z kim mamy się spotykać i jak komunikować, zubaża nasze ludzkie doświadczenie, w które wpisane są także momenty bólu, rozczarowania czy bezradności. Nawet najdoskonalszy system AI nie był bowiem nigdy zakochany, targany sprzecznymi uczuciami czy dotknięty cierpieniem związanym z zawodem miłosnym.

ROMANTYCZNY ZWIĄZEK

Gdy człowiek nie potrafi odróżnić, czy po drugiej stronie sieci ma żywą osobę, czy profil wygenerowany przez sztuczną inteligencję, budzi się w nim podejrzliwość i brak zaufania, które powinno być podstawą każdej autentycznej relacji międzyludzkiej. Takich dylematów nie ma jednak młodzież celowo wybierająca system AI jako swego partnera, z którym buduje bliskie, osobiste, intymne więzi.

Niedawno Centrum Demokracji i Technologii w USA opublikowało badania, które objęły ponad tysiąc uczniów szkół średnich. Okazało się, że co piąty nastolatek w Ameryce był w romantycznym związku ze sztuczną inteligencją lub zna kogoś, kto przebywał w takim związku. Aż 42 proc. ankietowanych przyznało, że wykorzystuje systemy AI do towarzystwa, wsparcia emocjonalnego lub po to, by uciec od rzeczywistości.

Młodzi ludzie coraz częściej nad kontakt z żywymi osobami przedkładają więc relacje z aplikacjami, takimi jak Replika czy Character, które oferują bezproblemowe i bezstresowe „przyjaźnie". Wspomniane algorytmy zostały zaprojektowane tak, by na bieżąco odgadywać uczucia i myśli użytkowników, a następnie się do nich dopasowywać. W ten sposób nastolatkowie zyskują „partnera", który zawsze ma dla nich czas, zawsze się z nimi zgadza, nigdy ich nie skrytykuje i nie odrzuci. Mając powiernika, który zawsze przyznaje im rację, czują się akceptowani i bezpieczni.

WYZWANIE DLA RODZICÓW

Mechanizm psychologiczny jest analogiczny jak w przypadku pornografii. Wielu młodzieńców woli zaspokajać swój popęd samotnie przed ekranem niż w kontaktach z drugą osobą. Wirtualna „partnerka" w odróżnieniu od realnej kobiety nie ma wymagań ani pretensji, nie żąda atencji czy adoracji i jest cały czas do dyspozycji na każde skinięcie dłoni. Nie trzeba kupować jej kwiatów i tracić czasu na zbędny flirt, skoro można od razu „przejść do rzeczy".

Podobnie się dzieje z budowaniem relacji uczuciowych ze sztuczną inteligencją. Eliminuje ona ryzyko odrzucenia, potrzebę szukania kompromisu czy wysiłek wzajemnej konfrontacji. Oferuje natychmiastową gratyfikację bez wszystkich trudności związanych ze złożonością autentycznych stosunków międzyludzkich. Algorytmy dostarczają więc dane, które pozwalają młodym ludziom budować nierealistyczne oczekiwania wobec związków z innymi osobami. Dlatego w okresie dojrzewania, który jest kluczowy dla rozwoju kompetencji społecznych, użytkownicy tego rodzaju aplikacji nie wykształcają w sobie zdolności działania w sytuacjach kryzysowych, negocjowania i wypracowywania kompromisów czy prawidłowego odczytywania zachowań społecznych.

Nic dziwnego, że brutalne zetknięcie z rzeczywistością często kończy się tragicznie. Niekiedy zraniony człowiek jeszcze głębiej zanurza się w swoim cyfrowym kokonie. Innym razem reaguje agresją na to, iż najbliższe osoby nie spełniają jego nierealistycznych oczekiwań, co rodzi przemoc w związkach domowych. Staje się to plagą, o której coraz częściej mówią psychoterapeuci w krajach zachodnich. Stoimy więc przed wyzwaniem, z którym nie poradzą sobie nawet najlepsi psychologowie i psychiatrzy, jeśli rodzice nie będą dla swoich dziećmi pierwszymi i najlepszymi przyjaciółmi oraz wychowawcami.

eprasa.pl 16b4bd8393



Casus Dariusza Szpakowskiego

Znany i ceniony komentator sportowy Dariusz Szpakowski w swojej autobiografii pt. „Wita państwa Dariusz Szpakowski" opisał próbę werbunku przez Służbę Bezpieczeństwa, którą podjęto wobec niego po mundialu w Meksyku w czerwcu 1986 r. Jej konsekwencją miały być półtoraroczne problemy z wyjazdem za granicę, w tym na zimowe igrzyska olimpijskie do Calgary w lutym 1988 r.

Fot. Maciej Kłos PAP

eprasa.pl 16b4bd8393

Ten fragment jego wspomnień został upubliczniony, m.in. na portalu Onet, który opublikował fragment książki dziennikarza. Czy rzeczywiście Szpakowski padł ofiarą „smutnych panów"? Przyjrzyjmy się jego przypadkowi.



GRZEGORZ MAJCHRZAK

WERSJA SZPAKOWSKIEGO

Jak twierdzi Szpakowski, do próby zwerbowania go do współpracy przez funkcjonariuszy SB miało dojść po powrocie z nieudanych dla Polski mistrzostw świata w Meksyku. Przebywał on wówczas na zwolnieniu lekarskim – z powodu problemów z kręgosłupem – i w jego trakcie otrzymał wezwanie do MSW na Rakowiecką na „rozmowę". Zresztą próbował się z niej wykpić (bez powodzenia) zwolnieniem lekarskim.

Jej przedmiotem – a dokładniej pretekstem – była kradzież, której ofiarami podczas meksykańskiego czempionatu padli jego koledzy – dziennikarze Jerzy Budny i Ryszard Dyja. W trakcie rozmowy doszło do wspomnianej próby werbunku. Tak opisuje ją Dariusz Szpakowski: „Proszę to napisać – nakazuje funkcjonariusz. – Co? – Że pan nic o tym nie wie – mówi z uśmiechem i trudno mi rozszyfrować, co ten uśmiech może znaczyć. Nie jestem głupi i wiem, w jakim kierunku zmierza ta dyskusja. Nie życzę nikomu znalezienia się w takiej sytuacji. Zanim zdążę się zastanowić, co począć, do pokoju wchodzi inny mężczyzna. – Dzień dobry, pułkownik taki i taki. Poruczniku, czego wy chcecie od naszej gwiazdy? Niechże pan już przestanie męczyć redaktora! No, jak ci nasi, panie Darku? Proszę opowiadać, co się wydarzyło na tym mundialu... Gadamy przez chwilkę o niczym, jestem mimowolnym aktorem w zainscenizowanej na potrzeby chwili scence z udziałem fikcyjnych postaci: dobrego i złego funkcjonariusza. Następnie pułkownik rzuca na pożegnanie: – Miło było pana poznać. A jak coś się panu przypomni, to bez problemu pan nas znajdzie. Proszę wpaść, pokój 221 lub 222, Blok D, Telewizja Polska. Tam są nasi koledzy i z chęcią się z panem spotkają".

Znany komentator twierdzi, że odmówił i poniósł z tego tytułu konsekwencje. „Cena nie jest szczególnie wysoka. Przez półtora roku nie wyjeżdżam po prostu za granicę. Tracę przez to możliwość komentowania igrzysk olimpijskich w Calgary. Dwa dni przed wyjazdem dowiedziałem się, że zostaję w Warszawie. Taka była decyzja duetu [Edward] Mikołajczyk – [Karol] Gębka, którą zakomunikował mi ten drugi. Argument, że »wystarczy jeden komentator od hokeja«, nie miał, rzecz jasna, nic wspólnego z rzeczywistością. Tak naprawdę nie leciałem na igrzyska, bo nie podjąłem współpracy ze służbami. To była zwykła zemsta za akt nieposłuszeństwa".

CO WYNIKA Z DOKUMENTÓW SB?

Ani zachowane dokumenty, ani ewidencja operacyjna SB nie zawierają informacji o wytypowaniu czy zarejestrowaniu Dariusza Szpakowskiego jako kandydata na tajnego współpracownika. Jak wynika ze sprawdzenia dokonanego w kwietniu 1986 r. przed mistrzostwami świata w Meksyku przez Wydział IX Departamentu III MSW (odpowiedzialny w tym czasie za tzw. operacyjną ochronę Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej, szkolnictwa medycznego, organizacji i stowarzyszeń medycznych, wymiaru sprawiedliwości, Centralnego Zarządu Zakładów Karnych, adwokatury, Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Sportu oraz Głównego Komitetu Turystyki) 35-letni wówczas komentator nie był wcześniej „w zainteresowaniu" peerelowskich służb. Co prawda prośba o udzielenie informacji na jego temat wysłana do jednostki zajmującej się ewidencją operacyjną miała uzasadnienie „przed rozmową", ale taki zapis widnieje na kartach wszystkich osób (w tym piłkarzy i trenerów), którzy mieli wyjechać na mundial. W zachowanych aktach sprawy prowadzonej w związku z tą imprezą – pod kryptonimem „Mexico 86" – nie ma śladów, aby za wspomnianym sprawdzeniem miały się kryć jakieś dalsze działania. Po prostu nie było takiej potrzeby, gdyż funkcjonariusze dysponowali wystarczająco liczną agenturą, również wśród dziennikarzy wyjeżdżających na tę imprezę.

Nie ma również żadnych śladów, aby Służba Bezpieczeństwa podejmowała działania w celu uniemożliwienia Szpakowskiemu wyjazdu na zimowe igrzyska olimpijskie do Calgary w lutym 1988 r. Jej funkcjonariusze (konkretnie Wydziału IV Departamentu III MSW prowadzącego w ramach sprawy pod kryptonimem „Calgary" działania w związku z igrzyskami w tym kanadyjskim mieście) oczywiście wiedzieli, że ma tam wyjechać. Dysponowali listą 19 dziennikarzy wytypowanych do obsługi tej imprezy. Mało tego, z ich punktu widzenia wyjazd Dariusza Szpakowskiego wydawał się wręcz wskazany.

Dlaczego? Otóż dziennikarz ten figurował w innym zestawieniu, tym razem „niektórych członków polskiej reprezentacji i osób towarzyszących na XV Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Calgary" z końca stycznia 1988 r. Były to osoby, na temat których swoje opinie i spostrzeżenia przedstawił naczelnik Wydziału IV Departamentu III MSW (odpowiedzialnego za „operacyjną ochronę" Ministerstwa Kultury i Sztuki, szkolnictwa artystycznego, stowarzyszeń i związków twórczych, Naczelnego Zarządu Kinematografii, bibliotek i archiwów państwowych oraz domów kultury) Marian Śpitalniak. I „w oparciu o doświadczenia z Sarajewa", gdzie w lutym 1984 r. odbyły się poprzednie zimowe igrzyska olimpijskie, przekazywał dane o tych, których on i jego podwładni uznał za „godnych społecznego zaufania". W gronie 12 osób – obok byłych współpracowników (różnej maści) – znalazły się też takie, które nie miały agenturalnych związków z aparatem bezpieczeństwa. W tej ostatniej grupie był Szpakowski, na temat którego Śpitalniak stwierdził krótko: „TVP, tchórzliwy, wymaga kontroli, udziela obiektywnych danych

eprasa.pl 16b4bd8393

pod naciskiem pytań". Oznaczało to możliwość zdobywania, czy też dokładniej – wymuszania od wspomnianego dziennikarza wiarygodnych, a więc cennych, przydatnych Służbie Bezpieczeństwa (oczywiście zdaniem wspomnianego esbeka) informacji. W tej zaś sytuacji blokowanie jego wyjazdu nie miało sensu. I nie ulega wątpliwości, że akurat funkcjonariusze SB ich nie blokowali.

Wiemy to dzięki zachowanym aktom paszportowym Dariusza Szpakowskiego – wydające je Biuro Paszportów MSW wchodziło w skład Służby Bezpieczeństwa. Wynika z nich, że w marcu 1984 r., przed letnimi igrzyskami olimpijskimi w Los Angeles, na które ostatecznie polscy sportowcy nie mogli pojechać, dziennikarzowi (na wniosek Komitetu ds. Radia i Telewizji, którego był pracownikiem) wystawiono paszport służbowy na pięć lat. Po niespełna czterech latach instytucja ta wystąpiła do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o wydanie Szpakowskiemu – w związku z wyjazdem na mistrzostwa Europy w piłce nożnej w RFN w czerwcu 1988 r. – nowego paszportu służbowego. Potrzebę jego wymiany uzasadniano „brakiem miejsca na stemple W[ojsk.] O[chrony.] P[ogranicza.]", które wstemplowywano przy przekraczaniu granic PRL...

Czy to znaczy, że wspomnianej wcześniej próby werbunku Szpakowskiego na pewno nie było? Niekoniecznie. Mógł za nią stać inny wydział Departamentu III MSW – Wydział VI, odpowiadający za tzw. operacyjną ochronę Komitetu ds. Radia i Telewizji, którego wspomniany komentator (podobnie jak Dyja) był pracownikiem. Natomiast w świetle powyższych informacji między bajki można włożyć będące rzekomo ich efektem represje paszportowe. I jest ku temu – oprócz „esbeckich kwitów" – jeszcze jeden powód.

PRZEWODNICZĄCY, KTÓRY SB SIĘ NIE KŁANIAŁ

Otóż w czasie, kiedy rzekomo miały one miejsce, Komitetem ds. Radia i Telewizji kierował (lipiec 1986 r. – kwiecień 1989 r.) Janusz Roszkowski. To niezwykle ciekawa postać – po zakończeniu II wojny światowej okradał (wraz z kolegami) radzieckie transporty wojskowe, potem był podwładnym „krwawej Luny" (Luny Brystygier) w osławionym Departamencie V Ministerstwa Bezpieczeństwa, wyrzuconym ze służby głównie w wyniku donosów na UB i w efekcie – na podstawie postanowienia Naczelnej Prokuratury Wojskowej – nawet na krótko został tymczasowo zatrzymany (w związku z toczącym się przeciwko niemu śledztwem – był podejrzany o nielegalne posiadanie i handel bronią palną w latach 1945–1946 oraz o przechowywanie pistoletu marki Parabellum do 1949 r.). Z bezpieki trafił do Polskiej Agencji Prasowej. Pracując w PAP, nie zerwał jednak związków z dawnym resortem – miał utrzymywać kontakt służbowy z rezydentem peerelowskiego wywiadu, a kontrwywiadowi udostępniał swoje mieszkanie. Robił też karierę – w listopadzie 1983 r. został nawet redaktorem naczelnym Polskiej Agencji Prasowej. Pełnił tę funkcję do czasu objęcia stanowiska przewodniczącego Komitetu ds. Radia i Telewizji. I co niezwykle ważne, w kontekście *casusu* Szpakowskiego miał – przynajmniej w ocenie funkcjonariuszy SB – pozytywny stosunek do tej służby, ale nie pozwalał jej wtrącać się w politykę kadrową.

> Między bajki można włożyć represje paszportowe zastosowane przez służby PRL wobec Dariusza Szpakowskiego

Mało tego – jak można przeczytać w jego charakterystyce przygotowanej w MSW we wrześniu 1986 r., kiedy już kierował radiem i telewizją, w okresie swoich rządów w PAP: „W sprawach polityki kadrowej natomiast niemal całkowicie eliminował nasz udział. Wyłącznie sam decydował o wszystkich poszczególnych sprawach personalnych, a szczególnie, kiedy dotyczyły korespondentów zagranicznych". Zresztą niekiedy były nimi osoby, wobec których Służba Bezpieczeństwa miała zastrzeżenia (np. redaktor Andrzej Rayzacher). W jego sprawie Roszkowski interweniował nawet u wiceministra spraw wewnętrznych Władysława Pożogi. Z powodzeniem – doprowadził do zmiany negatywnej decyzji resortu. I to mimo że jeden z braci Rayzachera (Bolesław) był uciekinierem politycznym – wyemigrował z Polski w drugiej połowie lat 50. – a drugi (Maciej) zaangażował się w działalność opozycyjną, m.in. współpracował z Komitetem Obrony Robotników.

Trudno zatem przypuszczać, aby Janusz Roszkowski stał się nagle podatny na ewentualne sugestie esbeków w sprawie akurat Szpakowskiego. Inna sprawa, że mianowany (w październiku 1987 r.) – ponoć na jego osobiste życzenie – na stanowisko redaktora naczelnego Redakcji Sportu i Rekreacji Telewizji Polskiej Edward Mikołajczyk był współpracownikiem bezpieki o pseudonimie „Małek". Tyle że nie cywilnej, ale wojskowej (Zarządu II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego). Tak na marginesie – w latach 80. również wojskowa bezpieka nie blokowała paszportu dla Dariusza Szpakowskiego. Być może dziennikarz po prostu podpadł nowemu szefowi (Mikołajczykowi), o którym wojskowa bezpieka pisała trzy miesiące przed igrzyskami w Calgary – na podstawie informacji od swojej agentury – że „dość ostro wziął się za kadry sprawozdawców" i „zamierza zwolnić wszystkich nieudaczników, bez znajomości języków obcych i słabych warsztatowo dziennikarzy".

Jeśli rzeczywiście podpadł, to nie na długo, o czym świadczy wspomniany wcześniej wniosek o wydanie mu – z powodu braku miejsca na stemple – nowego paszportu służbowego.

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

eprasa.pl 16b4bd8393

To po prostu jesteś ty

Tuż przed złotymi godami, w roku, w którym obchodzą 75. urodziny, możemy ich zobaczyć na dużym ekranie w romansowym duecie. Dla Marii Winiarskiej i Wiktora Zborowskiego udział w komedii „Dalej jazda! 2" to swoisty małżeńsko-aktorski debiut



Fot. Artur Zawadzki/Reporter

eprasa.pl 16b4bd8393





JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Poznali się 57 lat temu w warszawskiej PWST (obecnie Akademia Teatralna) i ponoć zwrócili na siebie uwagę już na pierwszych zajęciach – z szermierki. W kolejnym roku zostali parą. Kiedy się pobrali, mieli po 25 lat. Są równolatkami. Ona świętuje urodziny 19 kwietnia, on – 10 stycznia. W kwietniu br. będą obchodzić złote gody (pół wieku małżeństwa), a tuż przed walentynkami do kin trafi komedia „Dalej jazda! 2" w reżyserii Mariusza Kuczewskiego, w której zagrali zakochaną parę. Ludzi dojrzałych, choć w relacjach damsko-męskich powściągliwych, czy wręcz nieśmiałych, a jednocześnie pełnych nadziei.

Z TAK WIELKIM AKTOREM

Jak na pomysł obsadzenia w romansowym duecie – w którym serce ekranowego Antoniego, nieco zgryźliwego sąsiada wielopokoleniowej rodziny Gugulaków, kradnie „wesoła wdówka" Danusia – zareagowali państwo Zborowscy?

– Chciałbym bardzo podziękować ścisłemu kierownictwu, czyli produkcji, scenarzystom, reżyserowi, że na stare lata obsadzili mnie w roli amanta. To się rzadko zdarza. Zagrać takiego szekspirowskiego Romea – wprawdzie po wypadku, ale targanego wielkim uczuciem. Który wypada nawet lepiej niż Romeo, bo to uczucie gdzieś mu się spełnia – komentuje Wiktor Zborowski.

Maria Winiarska nie ukrywa, że miała wątpliwości, czy przyjąć rolę. Poważnie się zastanawiała, ale nie ze względu na scenariusz czy samą postać – bo te bardzo jej się podobały – lecz z powodu świadomości, że ma zagrać „z tak wielkim aktorem". To ją peszyło.

JAK ŁYSE KONIE

– A na poważnie, to w tym roku, w kwietniu, obchodzimy 50-lecie ślubu i znamy się jak przysłowiowe łyse konie – mówi aktorka. – W związku z tym uświadomiłam sobie – i dlatego nie chciałam wziąć tej roli – że on się będzie denerwował za mnie, bo od razu zobaczy, że się denerwuję, a ja zobaczę, że on się denerwuje przeze mnie, więc zdenerwuję się jeszcze bardziej i nic z tego nie wyjdzie – tłumaczy.

Ostatecznie jednak przekonała ją mężowska opinia: „Marysiu, co ty? Grasz siebie. To po prostu jesteś ty. Gadasz bez przerwy" –Więc się zgodziłam – podsumowuje Winiarska.

Nie ukrywa, że ucieszyło ją wejście do ekipy „Dalej jazda! 2". Z kilku powodów – po pierwsze, nie zagrała w zbyt wielu filmach, po drugie, świetnie się odnalazła w tym zespole. No i miała znakomitego partnera. – Chciałabym jeszcze pracować z tym wielkim aktorem – mówi z szelmowską miną.



Z zadowoleniem zaznacza również, że mąż traktował ją na planie nie jak żonę, tylko jak aktorkę. Kiedy miał uwagi, brał ją na stronę i wykładał, o co chodzi. – A potem podchodził reżyser i mówił dokładnie to samo. Więc im wierzyłam i naprawdę muszę powiedzieć, że na własnej skórze przekonałam się, jakim dobrym aktorem jest Wiktor Zborowski – stwierdza z uśmiechem Maria Winiarska.

ZNÓW WE DWOJE

Przy okazji nadchodzącego jubileuszu w różnych okolicznościach przywołują wspólnie przeżyte lata. Stwierdzają przy tym nieraz, że właściwie do siebie nie pasują. Różni ich niemal wszystko. „Nasz związek powstał ze skrzyżowania połówki jadalnej śliwki z połówką jadalnej dyni i tak otrzymaliśmy całkowicie niejadalny owoc. Może właśnie dlatego nikt inny nas jeszcze nie pożarł" – tłumaczył w jednym z wywiadów Wiktor Zborowski.

Maria Winiarska zauważa, że jakaś siła jednak ich do siebie przyciągnęła... Wspomina, że na początku znajomości Wiktor zaimponował jej spokojem, poczuciem humoru, inteligencją, a także tym, jak bardzo starał się o jej względy. Ponoć w środku zimy zdobył dla niej gałązki bzu.

Po latach znów są we dwoje. Dorosłe córki założyły już rodziny. Starsza, Hanna, mieszka w Brazylii – codzienny kontakt umożliwiają komunikatory. Młodsza, Zofia, jest znacznie bliżej i może zaglądać do domu rodziców, gdzie witają ją też kolejne psy przygarnięte ze schroniska. Ponoć Wiktor Zborowski uwielbia spacery z ulubionymi czworonogami. I w okolicach domu pod Warszawą, i tego w ukochanym siedlisku na Mazurach.

Fot. Monolith Films

Summa politycznych gier

„Gry imperialne" pojawiły się w idealnym momencie, bo pomagają rozumieć proces dezintegracji znanego nam porządku międzynarodowego



MACIEJ WALASZCZYK

Pax Americana przestał istnieć, UE się nie liczy, słaba Rosja licytuje wyżej, niż ją na to stać, a Chiny stały się mocarstwem równoważącym wyblakłą potęgę USA. Wkroczyliśmy w rzeczywistość gry imperiów zmagających się w odwiecznej rywalizacji o dominację. W kontrolowanych wokół nich strefach wpływów orbituje ich klientela złożona z państw narodowych, będących dziś jedynie „odrębnymi jednostkami politycznymi wewnątrz imperiów" i częścią ich „polityczno-militarnej infrastruktury".

Książka „Gry imperialne" ukazała się już w 2008 r. w wydawnictwie Arcana. Jej nowe wydanie stanowi twórcze rozwinięcie pracy, a jego rozmach przydał jej tylko nowego wyrazu i objętości. Czyta się ją jednak znakomicie, a prezentujący charakterystyczny styl Tomasz Gabiś tylko nam to ułatwia. Od połowy lat 80. do 2004 r. kierował redakcją kultowego – w pewnych kręgach – pisma „Stańczyk". W drugim obiegu, redagując jego wrocławską odnogę o nazwie „KoLiber", a od 1990 r. kierując całością tego wyjątkowego intelektualno-politycznego przedsięwzięcia.

Nowe wydanie książki zdaje się pełnowymiarowym *opus* z zakresu filozofii politycznej, politologii, historii, wysokiej próby publicystyki politycznej i innych pokrewnych dziedzin, m.in. geopolityki, socjologii czy antropologii, próbujących opisywać i rozumieć polityczną rzeczywistość we wszystkich jej wymiarach. A w praktyce destylując cały intelektualny dorobek wypracowany przez „Stańczyka". Stanowi swego rodzaju autorską summę doświadczeń, intelektualnych fascynacji i przewartościowań, a także pewnej wizji, którą autor w pomysłowy literacki sposób chce się podzielić z czytelnikiem. A jest nią Europa jako imperium – rozumiane jako jedyna możliwa formuła zdolna zawalczyć o jakiekolwiek polityczne znacznie i wejść do gry o najwyższą stawkę, tak jak zrobiła Ameryka po 1945 r. Widać to wyraźniej, gdy na polityczne zmagania spojrzymy z perspektywy najdalszej – jako gry wielkich przestrzeni i imperiów, które – szczególnie po II wojnie światowej – zdominowały polityczną szachownicę na skalę planetarną. Amerykańskie Imperium Zachodnie, Imperium Europejskie i Imperium Wschodnie, którego inkarnacją był Związek Sowiecki, a dziś są nią Chiny i sprzymierzona z nimi – lub faktycznie zwasalizowana przez nie – Rosja.

Tylko z tej perspektywy – przekonuje autor – możemy rozumieć współczesną politykę, której terytorialną organizację przestrzeni określają ostatecznie niezmiennie „porządki władzy militarnej i techniczne środki destrukcji", a dopiero potem ekonomia czy kultura. Jednocześnie UE jako współczesna inkarnacja Europy załamuje się pod własnym ciężarem. Forsując lewicowe utopie, zniszczyła swą cywilizacyjną witalność i morale jej narodów. W praktyce okazała się jedynie biurokratycznym monstrum, będącym dla nich „zakładem poprawczym" rządzonym według wzorców jakobińskich lub sowieckich. Gabiś rysuje tę wizję, idąc głównie tropem europejskiej Nowej Prawicy (Faye, de Benoist, Thiriart), ideami której karmił się „Stańczyk". Niemiecką politykę opisuje m.in. z punktu widzenia tamtejszych prawicowych dysydentów. Zarówno od wewnątrz, jak i z zewnątrz rozpoznaje kwestię żydowską, polityczne znacznie Holokaustu, politycznej propagandy i narracji historycznych, m.in. w „Długiej dygresji o niemieckiej polityce pamięci" czy rozwiniętym do rozmiarów rozdziału manifeście: „My, dezerterzy z frontów Wielkiej Europejskiej Wojny Domowej". W formule literackiej fikcji rozważa skutki upadku wielkich ideologii, odsłania kulisy globalnych gier, na które w pełnych satyry i przenikliwych „referatach" imperatorów lub „Monologach Błazna" spogląda z perspektywy centrum władzy. Mamy wrażenie, że w tym wielogłosie swoje racje wykładają nam zastępy filozofów, konserwatywnych i lewicowych myślicieli, historycznych figur.

Gabiś ożywia obrazy wojen, rewolucji, niekończących się politycznych sporów, zręcznie przybliża je lub oddala, umieszcza w szerszym lub węższym kontekście. Wyświetla wielkie wizje (tyle ich wokół) i dyskretnie zdziera z nich maski. Kalejdoskop migoce, ujęcia się zmieniają, dowodząc, iż rzeczywistość władzy to pole nieustannych i często daremnych zmagań poza dobrem i złem, stawką których jest nasze życie. Postkonserwatywna literatura dla dorosłych.



DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Tomasz Gabiś, „Gry imperialne. Między Imperium Europejskim a Uporządkowaną Anarchią", OMP 2025

eprasa.pl 16b4bd8393





HITY i KITY ZAREMBY

„Wielka Warszawska" – konie i mafia

To dobry film gatunkowy – trochę sportowy, trochę sensacyjny. Ogląda się go z zaciekawieniem, mimo dobrze znanych klisz fabularnych. Zaskakuje zakończenie – obawiam się jednak, że prawdziwe

Opowieść tę wyreżyserował Bartłomiej Ignaciuk, do tej pory autor słabo zauważanych filmów. Kluczem jest tu jednak scenariusz Jana Purzyckiego. To on napisał „Wielkiego Szu" i „Piłkarski poker" – nasuwają się skojarzenia zwłaszcza z tym ostatnim. Rzecz ma się dziać dawno temu, w 1991 r. Czy aż tyle czekał nieżyjący już Purzycki na realizację swojego pomysłu?

Pokazany zostaje nam świat wyścigów konnych na warszawskim Służewcu, a także w innych miastach. Młodemu entuzjaście kochającemu konie udaje się wziąć udział w gonitwie i nawet wygrać. Wchodzi do tego świata jako dżokej, by szybko się dowiedzieć, że wszystko jest w nim ustawione. Skojarzenia z „Piłkarskim pokerem" są oczywiste. Tam drukowanie meczów, tu ustalanie, kto będzie pierwszy, co zapewni tym, którzy kręcą tym światem, tłuste wygrane.

Zręczność fabuły polega na tym, że działają różne, rywalizujące ze sobą ośrodki, po części po prostu mafijne. Krzysiek Salomon – grany przez Tomasza Ziętka – ma kłopot, by się w tym zorientować, a my z nim. Ja do końca nie ogarniałem wszystkich intryg, szczególnie tytułowej, wokół prestiżowej imprezy zwanej Wielką Warszawską. Ale łowiłem świetnie uchwyconą atmosferę: twarze przeraźliwie zwyczajnych ludzi ulegających emocjom, być może ufundowanym na fikcji. I wymięte oblicza innych ludzi, prowadzących swoje gierki, porozumiewających się półsłówkami, czasem po prostu używających przemocy.

Ledwie uniknąwszy śmierci w sfingowanym wypadku, Krzysiek próbuje wejść w układy i godzić to ze swoją miłością do sportowej przygody. 37-letni skądinąd Ziętek świetnie udaje zrazu naiwnego, potem coraz twardszego młodziaka. Ireneusz Czop jako jego ojciec, Tomasz Sapryk jako jego trener czy Tomasz Kot jako naiwny właściciel koni niosą ze sobą jakieś kawałki sympatyczniejszych przesłań.

Ale szczególnie uderza twardy realizm najbardziej charakterystycznych postaci. Andrzej Konopka jako kombinator Kaparski, Paweł Kośnik jako jego nieudolny pomocnik, Marcin Bosak jako opryszek „Omar", Szymon Kukla jako cyngiel „Kruchy", Piotr Trojan jako sprzedajny dżokej, Grzegorz Warchoł jako stadionowy spiker czy Artur Steranko jako sędzia – dawno nie widziałem takiej galerii sugestywnych fizjonomii. Niewielką rolę odgrywają w tym świecie kobiety. Agnieszka Żulewska jako dwuznaczna Irena i Mary Pawłowska jako miłość Krzyśka, próbująca się przedzierać w męskim sporcie, muszą nam wystarczyć.

Oklaski dla Mirosława Kropielnickiego jako mafiosa Pana Ryszarda. Dopiero co oglądaliśmy go w roli pozornie safandułowatego armatora w serialu „Heweliusz". Tu także jest – do czasu – dobrodusznym gangsterem starego typu, przesiadującym w barku na Bazarze Różyckiego, gdzie zajada schabowego i komplementuje hoże pracownice. Jest w tej postaci coś solennie złowrogiego. No i uchwycono w niej początek transformacji, która staje się rajem dla bezpiecznie raczkującej mafii.

Wielu recenzentów krzywiło się na filmowe schematy gatunku, inni zauważyli ów społeczny kontekst początków nowego społeczeństwa. A Piotr Kletowski śpiewał hymny na cześć kina gatunkowego.

Napisałem o dwuznacznym zakończeniu. W „Piłkarskim pokerze" młody entuzjasta piłki (Olaf Lubaszenko) to postać drugiego planu. Nie wiemy, co zrobi ze swoim zapałem do sportu. Tu głównym bohaterem jest Krzysiek. Realizuje swoje marzenie, ale co potem? Będzie obsługiwał system? I pozostaje jeszcze pytanie: jak ten świat wygląda dzisiaj?

Piotr Zaremba

Fot. Łukasz Bąk



Świetni aktorzy, efekt średni

„Dzień listopadowy" to adaptacja opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza zrealizowana przez Teatr Telewizji. Już pasowano to przedstawienie na coś wybitnego. Mnie wydało się niedopracowane, z nieodkrywczymi dialogami i sytuacjami. Grali w nim jednak wybitni aktorzy

Spektakl wyreżyserował – nie w studiu, lecz w naturalnych listopadowych plenerach – Jan Kidawa-Błoński. To pierwszy Teatr Telewizji 72-letniego filmowca, autora m.in. całkiem udanej „Różyczki".

Samo opowiadanie pochodzi z 1959 r. Oto szukającego samotności w leśniczówce człowieka po kilku latach braku kontaktu odwiedza matka, stara aktorka. Przypomina mu tą wizytą o swojej uczuciowej oziębłości – całe życie interesowała ją tylko twórczość. Ale Kidawa-Błoński przeniósł akcję w czasy współczesne. Karol nie jest leśnikiem, lecz prowadzi agroturystyczne gospodarstwo.

Nie znam opowiadania. Iwaszkiewicz – jakkolwiek nie osądzać jego życia – był mistrzem słowa, budowania nastroju, m.in. w małych formach literackich. Skąd więc moje poczucie, że oglądam historię nienajlepiej opowiedzianą? Gdzie albo fabuła rozmywa się w niejasnościach i niedopowiedzeniach – co nie jest jej atutem – albo dialogi brzmią banalnie? Chłód matki i poczucie krzywdy syna, który topi zmarnowane życie w alkoholu, to przewidywalne archetypy. Warto coś do nich dodać, jednak nic takiego nie następuje.

Czy taki jest pierwotny tekst? Czy może Kidawa-Błoński wraz z autorką adaptacji Alicją Regiewicz nie znaleźli dla niego odpowiedniej teatralno-filmowej formy. Owszem, mamy melancholijny nastrój, ładnie kręcone przez Łukasza Gutta widoki, ale poza tym niewiele więcej. Skądinąd widzę jedną zaletę tego spektaklu. O niczym nas nie poucza, za niczym nie agituje. Obecnemu Teatrowi Telewizji czasem przytrafia się taka progresywna nadgorliwość. W imię nadrabiania lat, kiedy w TVP rządziła prawica.

Mamy coś jeszcze – Ewę Wiśniewską jako starą aktorkę i Olafa Lubaszenkę jako Karola. Ona, wielka artystka grająca artystkę, przykuwa uwagę swoją mocną osobowością. To ktoś, kto cały czas gra, także maskując swoje kurczące się sukcesy. Cierpiąca twarz Lubaszenki jest warta wszelkich pieniędzy. Po raz kolejny trafiam na paradoks: aktorzy wypełniają luki niezbyt pomysłowej inscenizacji. Dobre słowa należą się także pozostałej dwójce. Julia Kijowska jako Hanka i Bartosz Gelner jako Kazik, para pracowników Karola, zagrali dobrze, bo są dobrymi aktorami. Niestety ich postaci zostały ledwie zarysowane. Niby sugeruje się nam jakiś trójkąt miłosny, ale słowa i gesty z trudem nadążają za tymi sugestiami.

Lubię opowieści z tajemnicą, ale nie kiedy niejasności zdają się maskować pustkę realnej treści.

Fot. TVP

„CRAVATE CLUB" – O PUŁAPKACH PRZYJAŹNI

„Cravate Club" Fabrice'a Rogera-Lacana miał premierę na małej scenie warszawskiego Teatru Współczesnego. Drugą, bo przed sześcioma laty Wojciech Malajkat wystawił ten tekst w tej samej wersji w Teatrze Polonia. Dobry, inteligentny, zgodny z najlepszą francuską tradycją dialogu scenicznego

Skądinąd ta komedia – a może tragikomedia – chodzi za Wojciechem Malajkatem od lat. W 2003 r. na scenie Prezentacje grał starszego z bohaterów, Bernarda (reżyserował Romuald Szejd). W 2020 r. sam wystawił „Cravate Club" w Polonii. On był Bernardem, a jego wychowanek z Akademii Teatralnej Marcin Stępniak – Adrienem. Teraz został dyrektorem Współczesnego, więc tam przeniósł swoją inscenizację.

Bernard i Adrien to dwaj wspólnicy architekci, odnoszą sukcesy, właśnie zdobyli lukratywny kontrakt. Na dodatek się przyjaźnią. I nagle w zgrany tandem wkrada się niepokój. Bernard dowiaduje się, że Adrien należy do pewnego klubu. Należy „za jego plecami".

Następuje erupcja pretensji i podejrzeń. Konflikt przechodzi kolejne fazy. Opowiada się go nam zręcznie napisanymi dialogami. Realistycznymi, choć fabuła zaczyna grawitować w kierunku groteski.

Przedstawienie Malajkata trwa ledwie godzinę. I urywa w najciekawszym momencie. Relacje dwóch mężczyzn można rozpatrywać w najróżniejszych kategoriach. To przypowiastka o mieliznach przyjaźni. Zbyt zaborczej ze strony Bernarda? Czy zbyt lekkomyślnie traktowanej przez Adriena? A może za nagle ujawnionymi emocjami kryje się coś więcej? Nie chcę podpowiadać, po prostu to zobaczcie.

Na tle realistycznych dekoracji Wojciecha Stefaniaka – bo cały czas jesteśmy w biurze architektów – buzuje samo życie. Dobrze, że taki teatr wciąż istnieje, choć tekst „Cravate Club" doczekał się także filmowej adaptacji z nowymi postaciami i wątkami. Ale w stanie czystym, przy nieustającym – także fizycznym – mocowaniu się dwóch bohaterów, pytania o naturę człowieka brzmią może jeszcze mocniej.

Malajkat jest stworzony do grania tragikomicznych, na wskroś współczesnych everymanów. A Marcin Stępniak, młody aktor o już bogatym dorobku, nadąża za nim w świetnym stylu. Obaj są tak blisko nas, że każdy niuans, każdy ich gest czy grymas śledzimy z zapartym tchem. Dostajemy teatr niepodporządkowany żadnej ideologii czy pedagogice. Korzystajcie!



25 herosów na 25 lat

My, kibice, kochamy rankingi. Porządkują rozsiane na przestrzeni lat triumfy i wielkie momenty, na których wspomnienie serce bije mocniej. Rankingi są też z założenia subiektywne, a więc tworzą okazję do burzliwych dyskusji, w których jesteśmy dobrze wprawieni. Dlatego uderzamy z mocą boksera wagi ciężkiej i prezentujemy ranking 25 najlepszych polskich sportowców ostatniego 25-lecia



MICHAŁ MUZYCZUK

W pierwszej ćwierci XXI w. światowy i polski sport przeszedł transformację od nieco chaotycznego romantyzmu, którego symbolem jest sławetna „bułka z bananem", do pełnego profesjonalizmu. Nadeszła era szczegółowych danych, dogłębnych analiz, nowoczesnych technologii, globalnych marek i armii specjalistów z dziedziny psychologii, dietetyki i regeneracji. Na sukces sportowca pracuje cały sztab ludzi, a on sam to człowiek w pełni świadomy praw rządzących rynkiem i jego karierą.

Polska nie jest już ubogim krewnym Zachodu, a nasz sport przeszedł drogę od kompleksu niższości do wielkiej pewności siebie, zrzucając znoszony dres z napisem: „Jakoś to będzie" na rzecz profesjonalizmu najwyższej próby. To nie tylko ewolucja infrastruktury, lecz przede wszystkim wielkie wietrzenie polskich głów. Iga i „Lewy" nauczyli nas, że bycie numerem jeden to nie uśmiech losu, lecz wynik obsesyjnej dbałości o detale – od diety po higienę psychiczną.

Profesjonalny sportowiec stał się precyzyjną, świetnie zarządzaną instytucją, a przy tym ikoną popkultury. Zmienił się też kibic: z fatalisty, który przed meczem profilaktycznie pił melisę, przeobraził się w świadomego konsumenta sukcesu, który nie śpiewa już: „Nic się nie stało" i ma odwagę wymagać wielkości. Staliśmy się wybredni, bo nie sprawdzamy wyników w Telegazecie, tylko na dystans przycisku pilota mamy do wyboru sport na żywo w najlepszym wydaniu.

I mamy co wspominać, bo minione 25 lat przepełniały momenty sportowej chwały, której autorzy znaleźli się w poniższym zestawieniu. Miejsce zajmowane w sercach Polaków miało szczególne znaczenie w układaniu poniższej klasyfikacji. Zobaczcie, kto tworzył sukcesy polskiego sportu w ostatnim ćwierćwieczu.

1. Robert Lewandowski
(piłka nożna, ur. 1988)



Sprawa jest prosta – futbol to sport numer jeden, więc „Lewy" to sportowiec numer jeden. Udowodnił, że Polak może być największą gwiazdą najpopularniejszego sportu na świecie.

eprasa.pl 16b4bd8393

Jeśli w dowolnym miejscu świata powiesz: „Poland", w odpowiedzi nie usłyszysz już „Papa" czy „Walesa", ale „Lewy".

Nigdy nie wygrał mundialu ani Euro, ale to mu przecież nie groziło, triumfował jednak w Lidze Mistrzów. Być może też nigdy nie był najlepszy na świecie, ale przecież rywalizował z półbogami, czyli Messim i Ronaldo. Mimo to dwukrotnie otrzymał tytuł Piłkarza Roku FIFA, a gdyby nie pandemia, to zapewne miałby w kolekcji również Złotą Piłkę.

Był najlepszym strzelcem zbyt wielu rozgrywek, żeby się o tym rozpisywać, i zdobył zbyt wiele klubowych tytułów, żeby je spamiętać. Jego profesjonalizm zmienił mentalność całego pokolenia sportowców, a jemu dał długowieczność. Najbardziej nieziemskiego wyczynu kariery, czyli ustrzelenia pięciu goli w dziewięć minut w meczu Bayernu z Wolfsburgiem, dokonał ponad 10 lat temu. A przecież wciąż strzela – teraz dla FC Barcelony.

Jeden z najlepszych napastników w historii i najlepszych piłkarzy XXI w., bez wątpienia najlepszy zawodnik w dziejach polskiej piłki nożnej. „Lewy" to nie tylko piłkarz – to instytucja.

2. Iga Świątek
(tenis, ur. 2001)



French Open 2020. 19-letnia Iga idzie przez turniej jak burza, nie traci ani jednego seta. Dziewczyna z Raszyna wchodzi na kort z „Eye of the Tiger" w słuchawkach i po prostu miażdży rywalki. Zdobywa Wielkiego Szlema. Hymn Polski na kortach w Paryżu brzmi jak zapowiedź nowej ery. „Gówniara z paletkom" gra bez kompleksów, z dorosłą pewnością w nastoletnim uśmiechu.

Dziś Iga wciąż jest młoda, autentyczna i piekielnie skuteczna. Królowa mączki, która zdominowała kobiecy tenis w stylu, jakiego nie powstydziłaby się Serena Williams. W młodym wieku osiągnęła w tej globalnej dyscyplinie więcej niż ktokolwiek przed nią w Polsce. Seryjnie wygrywa turnieje wielkoszlemowe: korty ziemne w Paryżu stały się jej prywatnym ogrodem, w zeszłym roku skosiła wreszcie trawę na Wimbledonie. Spędziła 125 tygodni na szczycie rankingu WTA, a jej forhend śni się po nocach największym rywalkom.

To nowa twarz polskiego sportu i najbardziej lubiany sportowiec w kraju. Nie boi się łez, czyta książki, angażuje się w sprawy ważne społecznie, bryluje w social mediach. Dla pokolenia Z i millenialsów jest wzorcem. Pokazuje, że można być bezlitosną bestią na korcie i wrażliwym człowiekiem poza nim.

3. Adam Małysz
(skoki narciarskie, ur. 1977)



Ojciec chrzestny polskiego sukcesu w XXI w. i absolutny bohater masowej wyobraźni. „Leć Adam, leć!" stanowiło narodowe zaklęcie, a: „Zawołaj mnie na Małysza" było najczęstszym niedzielnym zwrotem w polskich domach. Uczynił z totalnie niszowej dyscypliny polski sport narodowy. Kojarzony z bułką z bananem, która była jego śniadaniem mistrzów, oraz z niedzielnym rosołem, który kibice jadali, wpatrując się w ekrany telewizorów. Na początku XXI w. skoki Adama były jak msza – dość powiedzieć, że konkurs olimpijski w Salt Lake City w 2002 r. oglądało wtedy jednorazowo ponad 20 mln Polaków!

Małyszomania była czymś niepowtarzalnym – obudziła się w nas wtedy autentyczna narodowa duma i gdzieś znikały kompleksy względem Zachodu, a przecież jeszcze nie byliśmy nawet w Unii Europejskiej. Małyszomania nie była zjawiskiem sportowym – była narodową terapią.

Kochaliśmy Adama, bo był typowym Polakiem z wąsem, który jakimś cudem potrafił latać. Przecież jeszcze pod koniec ubiegłego wieku myślał o porzuceniu skoków na rzecz pracy jako dekarz. Jego wpływ na polski sport jest nie do przecenienia. Czterokrotny medalista olimpijski, czterokrotny mistrz świata, czterokrotny zdobywca Kryształowej Kuli. A wszystko zaczęło się jakże symbolicznie dla niniejszego rankingu: od cudownego triumfu w Turnieju Czterech Skoczni w sezonie 2000/01, podczas niezapomnianych grudniowych i styczniowych dni z przełomu wieków.

4. Kamil Stoch
(skoki narciarskie, ur. 1987)



Skoro Orzeł z Wisły jest trzeci, Rakieta z Zębu musi być czwarta. Kiedy myśleliśmy, że po Małyszu czeka nas czarna dziura, pojawił się on – techniczny perfekcjonista. Sportowo – dzięki olimpijskim triumfom w Soczi i Pjongczangu – prześcignął nawet starszego kolegę, ale Małysz miał większy wpływ na masową wyobraźnię. Skromny i sympatyczny, na skoczni Kamil patrzył na swoich rywali z góry i bezlitośnie udowadniał im, że ma specjalne układy z grawitacją.

Trzy indywidualne złote medale olimpijskie stawiają go w panteonie najwybitniejszych skoczków w historii dyscypliny. Co więcej, czynią z niego najwybitniejszego polskiego zimowego olimpijczyka w dziejach, a licząc również igrzyska letnie, ustępuje jedynie Irenie Szewińskiej i Robertowi Korzeniowskiemu. Wygrywał Turnieje Czterech Skoczni, zdobywał Kryształowe Kule, był mistrzem świata. Znany z niezwykłej regularności i bajecznej techniki.

5. Justyna Kowalczyk
(biegi narciarskie, ur. 1983)



Królowa Nart z Kasiny Wielkiej. Jako underdog przełamywała hegemonię utytułowanych biegaczek z narciarskich

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 16b4bd8393

potęg. Oglądając jej występy, człowiek nabierał wiary w pokonanie każdej przeszkody. Biegała, gdy cały świat wydawał się mówić, że i tak wygrają te astmatyczne Norweżki. Walczyła niczym Dawid z Goliatem i wielokrotnie finiszowała jako pierwsza. W Soczi biegła ze złamaną stopą, ale i tak zdobyła drugi złoty medal olimpijski, przekuwając jęk bólu w zwycięski okrzyk. Jej charakter to skała, a na trasie udowadniała, na czym polega heroizm.

Ludzie kochali ją za „harówkę", bo Justyna była symbolem polskiego etosu pracy: walki do upadłego, wbrew wszystkim i wszystkiemu. Ikona ciężkiej pracy i morderczego wysiłku, która wygrała pięć razy z rzędu plebiscyt „Przeglądu Sportowego" jako jedyny sportowiec w historii. Nie bała się łez i mówienia otwarcie o poważnych problemach.

6. Anita Włodarczyk
(rzut młotem, ur. 1985)



Najbardziej dominująca sportsmenka w historii. Nikt nigdy nie zawłaszczył dyscypliny sportu tak, jak zrobiła to młociarka z Rawicza. Przez długie lata start Anity oznaczał, że reszta walczyła o srebro. To fenomen, który zdarza się raz na 100 lat. Mimo kontuzji Królowa Młota zawsze wracała silniejsza. Swoimi występami oddawała hołd Kamili Skolimowskiej – to właśnie w rękawicy należącej do zmarłej przyjaciółki odnosiła triumfy.

Pierwsza kobieta, która rzuciła młotem na odległość ponad 80 m. Trzykrotna mistrzyni olimpijska na trzech kolejnych igrzyskach, czterokrotna mistrzyni świata, czterokrotna mistrzyni Europy. Startowała we własnej lidze, bijąc rekordy świata o kilka metrów. Gdyby Anita rzucała młotem w starożytności, Grecy uznaliby ją za córkę Zeusa. Sportowy Olimp zdobyła już dawno.

7. Otylia Jędrzejczak
(pływanie, ur. 1983)



Najpiękniejszy motylek na świecie. Latała nad wodą, a jej uśmiech i determinacja kupiły serca wszystkich Polaków. Pierwsza wielka gwiazda polskiego pływania, w pierwszej dekadzie XXI w. wprowadziła je na salony. Trzy medale na igrzyskach olimpijskich w 2004 r. w Atenach to wyczyn, który wstrząsnął krajem. Dokonała tego jako druga Polka po Irenie Szewińskiej. W wyścigu po olimpijskie złoto wygrała o jedno trzepnięcie skrzydełkiem.

Tomasz Zimoch, komentując występy Polki, stawał się poetą: „Przeradza się w motyla, zaczyna frunąć. Otylia Jędrzejczak jest wielkim, pięknym polskim motylem. Jest delfinem!". Ona sama po olimpijskim triumfie skromnie mówiła: „Jestem taką samą Otylią, jaką byłam. Bohaterem narodowym jest Adam Małysz".

8. Bartosz Zmarzlik
(żużel, ur. 1995)



Trzydziestolatek, który już jest legendą „czarnego sportu". W kraju, w którym żużel jest religią, Zmarzlik został jej papieżem. Przejął pałeczkę po Tomaszu Gollobie, swoim wielkim mentorze, i wszedł na poziom dominacji, jakiej żużel dawno nie widział. Ma chłodną głowę, odwagę i potrafi zawalczyć o każdy milimetr toru. Zdetronizował legendy, stając się najbardziej utytułowanym polskim żużlowcem w historii. Chłodna głowa i regularność dają mu sukces w sporcie, gdzie liczy się spryt i nadludzka odwaga.

Od lat jest żużlowym jedynowładcą. Sześć razy zdobył indywidualne mistrzostwo świata, a przecież to nie koniec. Jeśli zdobędzie kolejny tytuł, stanie się największym żużlowcem w historii tej dyscypliny. Jeździ z taką brawurą i techniką, że fizyka wydaje się dla niego tylko sugestią. Jednocześnie to tytan ciężkiej pracy, który niczego nie pozostawia przypadkowi. Po pierwszym mistrzowskim tytule w 2019 r. powiedział: „Zrobiłem to dla Polski, dla Was".

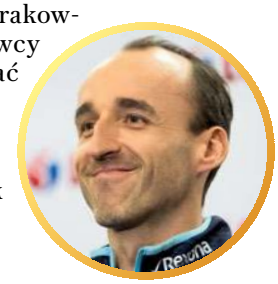
9. Bartosz Kurek
(siatkówka, ur. 1988)



W rankingu nie mogło zabraknąć reprezentanta drużyny, która dała nam najwięcej radości w całej historii gier zespołowych. Jasne, nie zapominamy o Kubiaku, Wlazłym i Leonie, ale Kurek jest tylko jeden. To twarz polskiej siatkówki XXI w. i trwającej nieprzerwanie od lat złotej ery. W tym czasie Polacy zdobyli po dwa tytuły mistrzów świata i mistrzów Europy, trzy razy wygrywali Ligę Narodów/Ligę Światową, w 2024 r. wywalczyli srebrny medal igrzysk olimpijskich. A Bartosz to prawdziwy kapitan reprezentacji, niekwestionowany lider i niepodważalny autorytet. Łączy różne epoki, bo przecież w 2009 r. u boku Gruszki i Zagumnego zdobywał pierwszy medal ME, od którego zaczęły się polskie sukcesy.

To prawdziwie ludzka historia wzlotów i upadków. Nie dostał powołania na MŚ w 2014 r., ale niebawem odrodził się jak feniks z popiołów i poprowadził kadrę do złota cztery lata później. Został MVP turnieju, bo gdy jest w formie, pozostaje zawodnikiem nie do zatrzymania. Jego ataki z wysokości drugiego piętra są najsurowszym wyrokiem dla rozpaczliwie próbujących wybronić się przeciwników. Każde jego uderzenie niesie ze sobą marzenia milionów Polaków zakochanych w siatkówce.

10. Robert Kubica
(Formuła 1, ur. 1984)



W gablocie krakowskiego kierowcy próżno szukać najcenniejszych pucharów. Ale Kubica to przecież jedyny Polak

eprasa.pl 16b4bd8393



w dziejach najbardziej prestiżowych wyścigów samochodowych. Jego historia to materiał na film z Hollywood, który z pewnością prędzej czy później powstanie.

Grand Prix Kanady 2009, Mazurek Dąbrowskiego rozbrzmiewa w sytuacji, o jakiej nigdy nawet nie śniliśmy. Polak wygrywa wyścig F1 i odkorkowuje butelkę ekskluzywnego szampana, stojąc na najwyższym stopniu podium.

Ronde di Andora 2011, Kubica ulega makabrycznemu wypadkowi. Ledwo uchodzi z życiem, a lekarze składają jego potrzaskane kości przez siedem godzin. Tragedia i niemal pewny koniec kariery. Robert nie daje się złamać – mozolna rehabilitacja i walka o powrót do ścigania na najwyższym poziomie trwają latami.

Grand Prix Niemiec 2019, Kubica znów zdobywa punkt w F1, jakże symboliczny. To osiągnięcie z gatunku niemożliwych i potwierdzenie gigantycznej skali talentu Polaka. A w zeszłym roku Kubica jak gdyby nigdy nic wygrał prestiżowy wyścig 24h Le Mans. Gaz do dechy!

11. Joanna Jędrzejczyk
(MMA, ur. 1987)

Globalna gwiazda sportów walki, która przetarła innym Polakom matę w oktagonie. Przez pewien czas uznawana za najlepszą zawodniczkę UFC bez podziału na kategorie wagowe.

12. Tomasz Majewski
(pchnięcie kulą, ur. 1981)

W Pekinie i Londynie zdobył dwa złote medale olimpijskie z rzędu. Król kuli, który w najważniejszych momentach zachowywał spokój sapera.

13. Robert Korzeniowski
(chód sportowy, ur. 1968)

Profesor. Nie ma go na podium tylko dlatego, że trzy olimpijskie złota zdobył jeszcze w ubiegłym stuleciu. Czwarte w Atenach w 2004 r. Jest pomnikiem, do którego sam doszedł. Dosłownie.

14. Agnieszka Radwańska *(tenis, ur. 1989)*

Tenis istniał także przed Igą, a „Isia" czarowała na kortach jako pierwsza. Dzięki niej w Polsce zapanowała moda na tę dyscyplinę, a ona sama była uwielbiana przez kibiców na całym świecie.

15. Paweł Fajdek/ Wojciech Nowicki
(rzut młotem, obaj ur. 1989)

Fajdek to rekordzista Polski i pięciokrotny mistrz świata. Nowicki jest mistrzem olimpijskim z Tokio i trzykrotnym mistrzem Europy. Z ich połączenia powstaje męski odpowiednik Anity Włodarczyk.

16. Michał Kwiatkowski
(kolarstwo, ur. 1990)

Mistrzostwo świata z 2014 r. ze startu wspólnego to jeden z najbardziej ikonicznych momentów w historii naszego sportu. Michał rozpędził dawno zasiedziałe polskie kolarstwo.

17. Marcin Gortat
(koszykówka, ur. 1984)

Nasz człowiek w legendarnej NBA, gdzie przez dekadę był solidną marką. Grał w finałach tej ligi, a w Waszyngtonie organizował „Polish Heritage Nights", promując swoją ojczyznę.

18. Wojciech Szczęsny
(piłka nożna, ur. 1990)

Opoka najlepszych klubów świata i polskiej reprezentacji. Człowiek, który obronił karnego Messiego na mundialu. Potrafił zachować zdrowy dystans nie tylko do słupków, lecz także do siebie.

19. Sławomir Szmal
(piłka ręczna, ur. 1978)

Bez „Kasy" nie byłoby fenomenu szczypiorniaka i mistrzowskich medali polskiej kadry. Najlepszy piłkarz ręczny świata 2009 r., który budował ducha drużyny swoimi interwencjami.

20. Tomasz Adamek
(boks, ur. 1976)

Mistrz świata dwóch kategorii wagowych. Ostatni polski pięściarz, który sprawiał, że cała Polska ustawiała budziki na 3.00, by oglądać bokserskie starcia za oceanem.

21. Sebastian Kawa
(szybownictwo, ur. 1972)

18 tytułów mistrza świata. W świecie lotniczym to absolutny geniusz. Największy sportowiec w historii naszego kraju, choć większość Polaków nigdy o nim nie słyszała.

22. Aleksandra Mirosław
(wspinaczka sportowa, ur. 1994)

Wystarczyło zbyt leniwie mrugać, żeby przegapić jej drogę po złoty medal olimpijski. Sześć sekund w zupełności wystarczy, by stać się nieśmiertelną legendą.

23. Klaudia Zwolińska
(kajakarstwo, ur. 1998)

Rzeka jest jej przyjaciółką, a Klaudia tańczy z jej nurtem z gracją i uśmiechem. Dwa tytuły mistrza świata z ubiegłego roku i olimpijskie srebro sprawiły, że kajaki znowu są w modzie.

24. Jan-Krzysztof Duda
(szachy, ur. 1998)

Królewska gra przeżywa prawdziwy renesans, a w Polsce twarzą tego odrodzenia jest Jaś. Udowodnił, że mózg to także mięsień, i to taki, który u Polaków pracuje na najwyższych obrotach.

25. Natalia Partyka
(tenis stołowy, ur. 1989)

Zburzyła mur między sportem paraolimpijskim a olimpijskim. Swoją determinacją udowadnia, że jedyne prawdziwe bariery to te, które sami stawiamy w swoich głowach.

Fot. PIOTR BLAWICKI/MEDIA EXPRESS/East News, Artur Barbarowski/East News, Matthias Schrader/Associated Press/East News, Shutterstock

eprasa.pl 16b4bd8393


Lucie Tournebize

LUCIE TOURNEBIZE, GUILLAUME DUTREIX*

Miasto, które nie przypomina żadnego innego

Ona jest dziennikarką, blogerką i autorką przewodników, która od dekady mieszka w Wenecji. Mieście – jak podkreśla – polimorficznym i fascynującym, które stale ją zaskakuje. On jest fotografem i podróżnikiem, uwieczniającym piękno architektury. Razem postanowili poprowadzić czytelników wydanego właśnie przez Znak Koncept albumu „Wenecja. Mały atlas hedonistyczny" przez słynne miasto, prezentując jego nie tak oczywistą jak w turystycznych folderach odsłonę.

Wyruszyli w niespieszną podróż po weneckich zakątkach, dając odbiorcom czas na zanurzenie się w przestrzeni, atmosferze i klimacie mijanych miejsc. Tych z szeroką perspektywą i tych przyciągających zacisznością zaułków. Imponujących skalą, pięknem i kunsztem, a także kameralnych, odsłaniających codzienne życie toczące się równolegle z turystycznym szumem.

Oczywiście autorzy dostarczają też wielu ciekawych informacji, snują opowieści z przeszłości i pokazują teraźniejszość. A prowadząc różnymi trasami, wspierają wędrującego czytelnymi mapami. Przede wszystkim jednak starają się oddać charakter i uchwycić piękno tego, co trwale buduje niepowtarzalny wizerunek Wenecji, a także piękno przemijających chwil. Zmieniającego się światła czy uchwyconej – w tym jednym momencie – sytuacji. „Zdaniem niektórych prawdziwy duch Wenecji skrywa się w szczelinach między cegłami, z których wzniesiono pokryte kryształkami soli kamienice. Nie brakuje tych, którzy próbują go wytropić pod karnawałową maską na zakręcie uliczki w styczniowej mgle. Wszyscy mamy w głowach portret Wenecji będący zlepkiem obrazów zapamiętanych z kina, sztuki i literatury" – pisze Lucie Tournebize, zapraszając do wyruszenia w drogę. Do zobaczenia – najlepiej na własne oczy, a jak się nie da, to za pośrednictwem autorów albumu – miasta „utkanego z wyobrażeń". By wędrując po weneckim bruku, dotykając opuszkami palców marmurowych fasad, spróbować znaleźć własną odpowiedź na pytanie, co składa się na tkankę tego przedziwnego miasta, które nie przypomina żadnego innego.

Jolanta Gajda-Zadworna

**Autorzy albumu „Wenecja. Mały atlas hedonistyczny"*





Fot. Unsplash, materiały prasowe



SŁODKO-SŁONY

Sandacz zimą nad Bałtykiem

ANNA MONICKA

Zima nad Bałtykiem jest piękna. Pamiętam wycieczkę kilkanaście lat temu, kiedy słońce już przygrzewało, ale plaża wciąż była zamarznięta na kość. Mewy siedziały na oblodzonych falochronach i łypały na turystów, którzy jeszcze z pewną nieśmiałością spacerowali wzdłuż wody. Wicher wdzierał się w każdy niedopięty zakamarek ubrań. Mnie takie klimaty nie przeszkadzają, więc również w te ferie poniosło nas nad morze.

Weekend w Dźwirzynie – kto by pomyślał, że będzie można wybrać miejsce do zaparkowania, niemal w samotności posłuchać wiatru buszującego po wydmach, pozbierać pióra i muszelki, a potem, bez czekania w kolejce, zamówić w ulubionej smażalni w porcie obiad – genialną zupę rybną i sandacza – i zjeść je w spokoju, bez tłumu za plecami. Miła odmiana.

Zrobiłyśmy zapasy wędzonej makreli i karmazyna na kilka dni, bo wędzarnia jest na chodzie, kupiłyśmy też zupę w słojach na wynos. Miałyśmy przeczucie, bo w nocy zaczął padać marznący deszcz, a nad ranem cała okolica przypominała skuty lodem pałac Królowej Śniegu; w szkołach w Choszcznie odwołano zajęcia, ludzie bali się wyjść z domu, więc fryzjerzy siedzieli bezczynnie, bo klienci nie dotarli. Nie ma się co dziwić, bo podjechanie pod górkę na polnej drodze (na głównych zresztą też) okazało się wyzwaniem, więc także zakupy trzeba było sobie darować. Można było po prostu rozkoszować się urokami prawdziwej zimy.

Sandacz w knajpce nad morzem tak nam smakował, że postanowiłyśmy zrobić powtórkę z rozrywki i rozmrozić kilka filetów, które ciotka zawsze ma w zamrażarce na wszelki wypadek. Kupuje je w zaprzyjaźnionym sklepiku z rybami, bo właścicielka ma dostęp do porządnego towaru. Sandacz jest wspaniałą rybą, o zwartym, delikatnie pachnącym białym mięsie. Tym razem ciotka trochę narzekała, że w filetach jest za dużo lodu i będzie musiała na to zwrócić uwagę w sklepiku, ale i tak wyglądały wspaniale. My pieczemy je bez panierki – w szklanym naczyniu układamy osuszoną rybę, posypujemy solą, wiórkami masła, skrapiamy cytryną, na wierzchu układamy jeszcze kilka plastrów cytrusów i natkę pietruszki czy koperek, a następnie pieczemy – najpierw pod folią ok. 20 min, a potem bez folii jeszcze ok. 10 min. Do tego purée z ziemniaków i sałata rzymska z winegretem. Polecam.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Najstarszy las

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Historia najstarszego lasu na kuli ziemskiej jest przedziwna. Wbrew pozorom nie jest nim ani Amazonia, która ma 55 mln lat, ani puszcza Kotliny Konga, powstała zaledwie ok. 25 tys. lat temu. Najstarszym lasem Błękitnej Planety jest Daintree Rainforest w Queensland, las deszczowy w Australii. Jego początki sięgają ery jurajskiej 180 mln lat temu.

W kolejnych epokach geologicznych wiele zbiorowisk leśnych doświadczało wyniszczających zmian klimatu. Tereny porosłe drzewami albo pustynniały, albo ulegały zlodowaceniu. Tak było w Europie. Ostatnie zlodowacenie sprawiło, że nasz kontynent stał się mroźnym pustkowiem. Kiedy ustąpiło, zaczęły się pojawiać lasy. Prawie cały kontynent porosła wówczas puszcza strefy umiarkowanej. W miarę wzrostu liczebności naszego gatunku lasy te ustępowały miejsca uprawom, miastom i wszystkiemu, co kojarzy się z cywilizacją. Mały fragment ostał się na granicy Polski i Białorusi – Puszcza Białowieska to najstarszy las Europy. Co do Afryki, do niedawna jej większą część porastały rozległe, suche sawanny. Klimat zaczął się tam zmieniać kilkanaście, kilkadziesiąt tysięcy lat temu, tworząc warunki do powstania lasu deszczowego.

Oprócz puszczy w Queensland do najstarszych lasów na Ziemi zaliczają się także ekosystemy na Borneo i Półwyspie Malajskim. Historia tych trzech kompleksów sięga daleko – były one świadkami istnienia dinozaurów. Przechadzały się po nich spinozaury i zauropody. Wielkie gady wymarły, a las istniał – mimo że wielki kontynent Pangea zaczął się rozdzielać. Jego fragmenty rozpoczęły powolną wędrówkę przez oceany. Puszcza zwana obecnie Daintree Rainforest dryfowała na Australii niczym na grzbiecie wieloryba.

Bardzo ciekawym zjawiskiem w polskich kniejach jest mikoryza, czyli niezwykła współpraca pomiędzy drzewami – czy szerzej: roślinami – a nad wyraz mądrymi grzybami. Co by było, gdyby wszelkie skomplikowane relacje leśne – zarówno mikoryza, jak i inne mechanizmy – miały więcej czasu? Jak wyglądałaby sieć zależności, gdyby las rósł nie przez 10 tys. lat, jak u nas, lecz 100 mln lat? Odpowiedź znajdziemy w żywych laboratoriach – najstarszych lasach świata, bezcennych centrach bioróżnorodności. Czy mądrość tych ekosystemów, zbudowana przez miliony pokoleń gatunków roślin, zwierząt, grzybów, protistów, bakterii i archeonów, jest do ogarnięcia przez współczesną naukę?

eprasa.pl 16b4bd8393

3 MIŁOŚCI

Herezja samozbawienia



ROBERT TEKIELI

Dobrzy ludzie idą do piekła, zbawieni – do nieba. Aby się zbawić, nie wystarczą dobre uczynki. Ludzie, którzy poznali Jezusa Chrystusa z Nazaretu i odrzucili jego zbawczą ofiarę, idą na zatracenie niezależnie od tego, ile dobra uczynili w życiu.

Człowiek, który nie poznał Chrystusa, np. hinduista, prowadzący pobożne życie według hinduistycznej tradycji i ćwiczący jogę, będzie zbawiony. Pod warunkiem, że działał zgodnie z naturalnym sumieniem danym każdemu człowiekowi, czyli np. odrzucał świątynną prostytucję 12-latek i potępiał żądania kierowane do wdów, by popełniły samobójstwo po śmierci męża.

Ten hinduista się zbawi, bo nie miał szansy poznać Chrystusa. Człowiek Zachodu, który zlekceważył poświęcenie się Boga-człowieka, nie skorzysta z owoców odkupienia płynącego z niewinnej ofiary Jezusa.

Jeśli myślisz, że do zbawienia wystarczą twoje dobre uczynki, bardzo się zawiedziesz. Człowiek nie jest w stanie sam się zbawić – tak samo jak zasysany przez bagno baron Münchhausen nie był i nigdy nie będzie w stanie samodzielnie wyciągnąć się z niego za włosy.

Herezja samozbawienia zbiera dziś potworne żniwo.

W świecie Zachodu przez ponad 20 wieków wykrystalizowały się dwa paradygmaty poszukiwania prawdy: nauka i wiara. Każdy ma swoje kompetencje. Rzeczywistość materialną, świat przyrody poznaje nowożytna nauka bazująca na dowodzie, a reguły świata poza-przyrodniczego, nad-przyrodzonego – wiara. Od samego początku zachodniej refleksji na temat rzeczywistości wśród jej praktyków występowały dwie postawy. Bezinteresowną ciekawość świata reprezentowali właściwie wszyscy greccy filozofowie – poza Empedoklesem, który poznaną rzeczywistość chciał zmieniać inwokacją, inkantacją, słowem. Przekształcać materię, odwołując się do ducha. Podobnie pełni pychy gnostycy z I–III w. po Chrystusie głosili, że tylko oni reprezentują prawdziwą wiedzę o świecie, a maluczcy – ledwo wiarę. Prawda była zaś dokładnie odwrotna. Kościelni intelektualiści szybko wykazali mętność gnostyckich teorii, a ojcowie Kościoła – ich duchową zwodniczość. Postawa Empedoklesa i gnostyków właściwie cały czas znajduje w naszej kulturze naśladowców. Byli nimi średniowieczni nekromanci i astrologowie, uczeni (z ksiąg) magowie renesansu, Paracelsus, Swedenborg, jednym słowem – nurt wiedzy tajemnej. Adepci samozbawienia.

Dziś nurt ezoteryczny zawładnął właściwie całą kulturą i popkulturą.

Tydzień temu pisałem o wywiadzie Justyny Steczkowskiej dla podcastu Cypriana Majchera. Piosenkarka mówiła o karmie, energiach, ustawieniach rodzinnych Berta Hellingera i uwięzionych duszach. Wygłosiła praktyczną apologię religii samozbawienia.

Właściwie wszystkie traktujące o duchowości poglądy Justyny Steczkowskiej zaprezentowane w wywiadzie wpisują się w tradycję ezoteryzmu. Nie da się ich obronić w porządku intelektualnym, nie znajdują potwierdzenia w empirii: badania nie potwierdzają słuszności zawartych w nich twierdzeń. W porządku praktycznym – okultystyczno-„terapeutyczno”-magicznym – są toksyczne duchowo.

Czym są ustawienia rodzinne, czyli metoda Hellingera? I dlaczego propagowanie ich z wielką emocją i siłą przekonania kaleczy ludzi?

Ustawienia Hellingera są przedstawiane jako rodzaj grupowej terapii ultrakrótkoterminowej. Sam twórca nie uważał tej metody za terapię, lecz działanie duchowe!

W ciągu kilkudziesięciu minut ustawienia ma nastąpić poznanie przyczyn problemów klienta oraz wyzwolenie go z nich. Seans jest przeprowadzany w obecności kilkudziesięciu lub kilkuset osób. Osoba przedstawiana krótko referuje problem, ważne fakty z życia rodziny (rozwód, choroba, aborcja, morderstwo, śmierć). Ustawiający wybiera z publiczności osoby, które będą reprezentować członków rodziny klienta. Ponieważ drzewa rodzinne większości ludzi są ogromne, ustawienia dotyczą głównie zmarłych. Prowadzący ustawia ich zgodnie ze swoim „wewnętrznym obrazem rodziny”. Reprezentanci są ustawiani obok siebie lub daleko od siebie, przodem lub tyłem.

Po utworzeniu konstelacji rodzinnej rozpoczyna się rodzaj spektaklu stymulowanego przez prowadzącego, który pyta reprezentantów i klienta o uczucia, chęć zmiany miejsca, pozycji. Ludzie odpowiadają trochę jak w transie, przemieszczają się, obejmują, kładą na ziemi, wybuchają płaczem. Reprezentanci w niewyjaśniony sposób uzyskują dostęp do uczuć ludzi, których reprezentują, mimo że nigdy nic o nich nie wiedzą: „Nagle zaczynają drżeć ci nogi. Odczuwasz sympatię do siostry stojącej naprzeciw i niechęć do brata stojącego z boku. Zapomniana i wykluczona z rodziny ciocia zostanie ustawiona naprzeciwko ciebie. Nagle w oczach pojawiają ci się łzy i czujesz niesamowitą miłość do tej nieznanej ci osoby”. Reprezentanci mogą doświadczać nie tylko silnych emocji, lecz także objawów somatycznych (osoba reprezentująca zmarłego na raka żołądka członka rodziny ustawionego odczuwała silne bóle brzucha, inna doznała ataku epilepsji podczas reprezentowania epileptyka). Ustawienie kończy się „przywróceniem porządku właściwego rodzinnej konstelacji”. Interwencje często sięgają kilku pokoleń wstecz.

Według Hellingera rodzina jest klanem obdarzonym własną duszą. Przekonania te zaczerpnął z wierzeń plemion Zulusów z RPA, które jako kapłan-misjonarz miał ewangelizować. Po 16-letnim pobycie

eprasa.pl 16b4bd8393

wśród spirytualnych politeistów wystąpił z zakonu i zajął się propagowaniem swej metody duchowych oddziaływań.

Według wierzeń Hellingera dusza klanu ma wytrwale dążyć przez pokolenia do wyrównania krzywd moralnych w rodzinie. Dzieci są uwikłane w los przodków w sposób, który determinuje ich życie.

Ustawiający ma wgląd w kosmiczny porządek świata, stamtąd otrzymuje intuicyjne natchnienia i dzięki temu jest w stanie znaleźć terapeutyczne rozwiązanie konkretnego przypadku.

Ofiary mają akceptować swoich oprawców. Zranione dzieci mają akceptować najgorszych rodziców. Ofiarom wykorzystania seksualnego przez ojca Hellinger oznajmiał: „Ojciec nigdy nie jest winny", „Matka jest winna, że ojciec seksualnie wykorzystywał córkę, bo odmawiała ojcu seksu", „Powiedz to do ojca: »Kochany tatusiu, zwracam ci honor«", „Tatusiu, bardzo chętnie to z tobą robiłam".

Pytany, skąd osoby reprezentujące mają klarowne odczucie relacji w nieznanej sobie rodzinie, Hellinger odpowiadał, że wchodzą w kontakt z wyższym „wiedzącym polem", które jest pewnego rodzaju „duszą świata". Hellinger traktuje „wiedzące pole" osobowo: „Pole tęskni za rozwiązaniem".

Osoby wykluczone, pominięte w systemie, należy nie tylko wspomnieć, lecz także realnie przywołać i uczcić. Hellinger zachęca ustawianych do sformułowań często niezrozumiałych z terapeutycznego punktu widzenia, jednak doskonale mieszczących się w kontekście spirytyzmu: „Biorę cię z powrotem, twoją duszę i ciało", „Znajduję miejsce dla ciebie w moim sercu", „Jestem tylko dzieckiem, oddaję ci cześć".

Pytany, skąd się biorą „przywracające porządek" zdania, Hellinger odpowiada: „One muszą wynikać z sytuacji, tylko wtedy działają. Czasami po prostu słyszę te zdania w uszach".

Reprezentanci odczuwający emocje osób zmarłych w sposób fizjologiczny (ból brzucha, ciężar na karku) nie doświadczają empatii. Empatia nie sięga poza czas. W przypadku „terapii" ustawień rodzinnych Berta Hellingera mamy do czynienia z doświadczeniem mediumicznym przy wyraźnym odwzorowaniu struktury seansu spirytystycznego.

Metoda Hellingera to rodzaj doświadczenia nieprawdziwy jako terapia, prawdziwy jako inicjacja w świat duchowy. Ustawienia rodzinne są parahipnotyczną psychodramą połączoną z antychrześcijańskim i bardzo niebezpiecznym rytuałem spirytystycznym.



Fot. Shutterstock

Trwa inwazja. Mainstreamowe media promują wszelkiego rodzaju alternatywy dla chrześcijaństwa. Satanizująca ezoteryka, odrzucana od stuleci przez autorytety religijne i ośrodki akademickie, ma w Polsce zastąpić wiarę katolicką

Trwa inwazja. Mainstreamowe media promują wszelkiego rodzaju alternatywy dla chrześcijaństwa. Satanizująca ezoteryka, od stuleci odrzucana przez autorytety religijne i ośrodki akademickie, ma w Polsce zastąpić wiarę katolicką.

Co w zamian za nasz katolicyzm? Duchowa trucizna. Ezoteryzm, herezja „energetyczna", toksyczne wierzenia. Gdy zaczynamy jakieś wynikające z tych wierzeń praktyki, np. niechrześcijańskiej medytacji z intencją, medytacji ku pustce czy na guru albo gdy weźmiemy udział w warsztatach tantrycznych, bądź gdy konsekwentnie i uważnie będziemy ćwiczyć jogę, możemy się spodziewać depresji niedających się leczyć farmakologicznie, obniżeń nastroju nieadekwatnych do bodźca, statystycznie nieprawdopodobnej liczby negatywnych wydarzeń w życiu, smutku duchowego, trudności z modlitwą oraz utraty pewności zbawienia.

Formacją naszych dzieci zajmują się celebryci. Ten sam przekaz jest powielany w filmach, kolorowych czasopismach dla kobiet, popularnych serialach fabularnych i paradokumentalnych. Cała popkultura promuje neopogaństwo, neognozę, magię, spirytyzm oraz kilkanaście odmian herezji energetycznej – tak nazywam różnego rodzaju ideologie posługujące się takimi pojęciami jak wibracje, energie, czakry, czakramy, prana, wiedzące pole czy pole morfogenetyczne.

Te przekonania są nieprawdziwe. I rodzą poważne konsekwencje w życiu ludzi, którzy je przyjmują.

Przyjęcie wierzeń „energetycznych" oznacza porzucenie wiary w Jezusa Chrystusa.

Justyna Steczkowska opowiada o swym doświadczeniu z taką siłą, że czyni bezbronnymi ludzi, dla których jest autorytetem, szczególnie młodych. Dla nich jest idolem – człowiekiem, który odniósł wielki sukces.

Deficyty. Ezoteryzm głoszony z wielką mocą. Toksyczna duchowość, fałszywa nadzieja. Dodatkowe, kolejne cierpienie. Pułapka samozbawienia.

Jeśli jest coś, co truje twoją duszę, szukaj pomocy w prawdziwej terapii lub proś Jezusa Chrystusa. On cię uzdrowi.

Szukaj nadziei tam, gdzie jest nauka, tam, gdzie jest wiara. Nie szukaj nadziei w wierzeniach, tam, gdzie opowieści dziwnej treści.

Módlmy się za artystów. Módlmy się za Polskę. Módlmy się za siebie nawzajem.

eprasa.pl 16b4bd8393

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Dokąd zmierzamy?



www.wojciechreszczynski.pl

Niezależność, niepodległość, suwerenność. Każde z tych określeń ma nieco inne znaczenie – to nie synonimy, lecz pojęcia ściśle ze sobą powiązane. Niezależność najlepiej zdefiniować na przykładzie gospodarki. Polska nie jest niezależna, gdy jej decyzje gospodarcze są zależne od decyzji Unii Europejskiej. Dziś budowa elektrowni jądrowej, lotniska, portu czy linii kolejowej wymaga zgody UE. Widzimy likwidację licznych inwestycji zapoczątkowanych przez PiS (dwa bloki energetyczne Dolnej Odry). Narzuca się nam umowy żywnościowe z Mercosur i Indiami, wprowadza system ETS 1 i 2, blokuje rozbudowę portu kontenerowego w Świnoujściu, uniemożliwia transport towarów Odrą, ogranicza potencjał przemysłu zbrojeniowego. To dowody braku naszej niezależności gospodarczej, co potwierdza bardzo trafna wypowiedź prawej ręki Donalda Tuska, likwidatora mediów publicznych, dziś europosła – Bartłomieja Sienkiewicza: „Polska jest wewnętrzną gospodarką Niemiec".

Niepodległość – mówiąc najkrócej – to brak zewnętrznej kontroli własnych autonomicznych decyzji w wyżej wymienionych oraz wielu innych sprawach. Polska podejmując decyzje, nie może podlegać obcej ingerencji, chyba że wyraziła na to zgodę w umowach międzynarodowych. Rzeczywistość nie potwierdza naszej pełnej niepodległości, gdyż Komisja Europejska, jej przewodnicząca, Parlament Europejski oraz sądy (TSUE, ETPC) wydają decyzje dotyczące naszego kraju bez prawnego umocowania w traktatach europejskich. Rzeczpospolita jest członkiem UE, na którą dziś nie ma żadnego wpływu. To nie ta sama Unia, do której przystępowaliśmy. Niepodległe państwo polskie – zgodnie z definicją tego słowa – nie może podlegać innym państwom, a organizacjom i sądom międzynarodowym tylko wtedy, kiedy prawnie wyrazi na to międzynarodową zgodę. I tu dochodzimy do najważniejszego atrybutu państwa niezależnego gospodarczo, niepodległego w swoich decyzjach.

Suwerenność, czyli prawo państwa do tworzenia i realizowania suwerennych, samodzielnych decyzji. Aby mogły takimi być, muszą być podejmowane przez własne autonomiczne instytucje państwa i w obrębie własnego państwa. Co nie znaczy, że po spełnieniu tych warunków nie może następować systematyczna utrata atrybutu suwerenności, czyli zdolności państwa do samodzielnego rządzenia. To tragiczne dla nas, Polaków, zjawisko właśnie widzimy. Doświadczamy jego skutków od czasów rządów koalicji 13 grudnia. A przecież wciąż obowiązuje nas konstytucja RP (kwestionowana przez UE), w której zapisano (art. 4): „Władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu". To naród stoi na straży suwerenności narodowej, to: „Naród sprawuje władzę przez swoich przedstawicieli lub bezpośrednio". I z tym drugim członem art. 4 konstytucji jest największy problem, gdyż konstytucja z 1997 r. nie przewiduje żadnych mechanizmów obrony przed władzą, która neguje i systematycznie dekomponuje cały porządek prawny w państwie, realizując przy tym obce interesy. Chodzi o rządzące dziś kompradorskie pseudoelity, niezainteresowane istnieniem suwerennej Polski, dla których (ponownie cytuję Sienkiewicza z knajpy Sowa i Przyjaciele) „państwo polskie istnieje tylko teoretycznie".

Dziś każdy Polak powinien wiedzieć, że UE dąży do jednolitego, centralistycznego państwa, zgodnie z przyjętą oficjalną unijną rezolucją wprowadzającą w życie wytyczne manifestu z Ventotene, napisanego przez komunistę Altiera Spinellego. Ma nastąpić likwidacja suwerennych państw europejskich, wewnętrznych granic państw narodowych, wspólna armia europejska i polityka międzynarodowa. Stąd wymuszona realizacja inwestycji zbrojeniowych w europejski system obrony za pomocą programu SAFE. Umowa pożyczki UE dla Polski (prawie 44 mld euro) nie przewiduje zakupu przez nasz kraj sprzętu wojskowego z USA i Korei Południowej. Ma być wydatkowana na zakup militariów z Niemiec i Francji.

Ponadto pojawią się ograniczenia z repertuaru ideologii komunistycznej wymierzone we własność indywidualną, wolność słowa (na Zachodzie już istnieją, u nas są podejmowane próby), a nawet ograniczenia w dysponowaniu własnym majątkiem. To dlatego niszczone jest europejskie prywatne rolnictwo, narzucona jest wspólna polityka migracyjna, negowane jest funkcjonowanie niezależnych instytucji w Polsce (NBP, aby wprowadzić euro, oraz sądy – TK, SN, KRS). Władza wykonawcza już podporządkowała sobie prokuraturę, a powszechne sądownictwo traci charakter niezależnej „trzeciej władzy", bo niepotrzebny jest już monteskiuszowski trójpodział władzy. A to właśnie te instytucje są podstawą zachowania podmiotowości państwa – ergo ich niszczenie czy brak to wstęp do szybkiej utraty suwerenności państwa polskiego.

Dodajmy do tego jeszcze „drobne" fakty, jak likwidowanie polskich flag narodowych (wizualny atrybut suwerennego państwa) na moście w Słubicach, rozbudzanie niemieckich resentymentów na ziemiach zachodnich (regermanizacja) czy swoboda poruszania się na terytorium Polski niemieckiej policji przy równoczesnym zakazie dla policji polskiej oraz ponowna próba wyeliminowania z życia publicznego zawsze antysowieckiego posła Antoniego Macierewicza. Dokąd zatem zmierzamy?

eprasa.pl 16b4bd8393

60 ton stali, które przybliżają do zwycięstwa



Andrzej Rafał Potocki

Po ostatniej serii ataków rakietowo-dronowych na Ukrainę jak zwykle zbadano szczątki wystrzelonych pocisków. Ekipy badawcze zwróciły uwagę na fragmenty rakiet manewrujących Ch-101. Te skrzydlate pociski, odpalane z bombowców Tu-95 MS bądź Tu-160, stanowią nowoczesną wersję pocisku Ch-55, który powstał w latach 90. XX w. jako nosiciel ładunków atomowych. System naprowadzania pocisku trafia z precyzją do kilku metrów. Dokładność uderzenia w cel zapewnia obraz z kamery, który jest porównywany z cyfrową mapą, co pozwala na trafienie w punkt nawet w przypadku zakłócania nawigacji satelitarnej przez systemy walki elektronicznej. Ch-101 jest uzbrojony w głowicę odłamkowo-burzącą lub kasetową o masie ok. 480 kg, ale w ostatnich latach Kacap produkował też odmiany z głowicą 800-kilogramową, kosztem zmniejszonego zapasu paliwa dla silnika turboodrzutowego. Normalnie wystarczało to, aby rakieta przeleciała do 4,5 tys. km, ale w odmianie z większą głowicą zasięg jest zmniejszony o połowę. Pocisk Ch-101 porusza się z prędkością nieco poniżej prędkości dźwięku wynoszącej 1 Ma (1225 km/h) na niskiej wysokości w celu uniknięcia naziemnych radarów z wykorzystaniem np. wąwozów czy koryt rzecznych. Co więcej, dysponuje on też systemem samoobrony wyrzucającym flary mające zmylić pociski, naprowadzające się na źródło ciepła. To groźna broń, której obawiają się nawet Amerykanie, gdyby została zainstalowana np. na Grenlandii. Analiza szczątków pocisków manewrujących Ch-101, które zostały użyte m.in. do ataku na Kijów 20 stycznia br., powstały co najwyżej dwa tygodnie wcześniej. Oznacza to, że Moskale zdecydowali się już nawet nie magazynować produkcji rakiet i strzelać nimi np. za miesiąc albo dwa, lecz używają ich zaraz po wyprodukowaniu. Oznacza to wyczerpanie się zapasów tej broni. Moskwa jest zdana na bieżącą produkcję. Kreml „wyprztykał się" z Ch-101 do reszty, co zapewne spowoduje zmniejszenie częstotliwości ataków na strukturę energetyczną Ukrainy.

Na forum w Davos Wołodymyr Zełenski odbył rozmowę z Donaldem Trumpem. Jak sam napisał na platformie X: „Omówiliśmy pracę naszych zespołów i praktycznie każdego dnia odbywają się spotkania lub komunikacja. Dokumenty są teraz jeszcze lepiej przygotowane. Rozmawialiśmy dziś również o obronie powietrznej Ukrainy. Nasze poprzednie spotkanie z prezydentem Trumpem pomogło wzmocnić ochronę naszego nieba i mam nadzieję, że tym razem również ją wzmocnimy". Po tej rozmowie prezydent Zełenski skrytykował europejskich przywódców za bierność i brak zdecydowanych działań w obliczu globalnych zagrożeń, podkreślając, że rok po roku powtarzają te same ostrzeżenia, bez wprowadzania zmian. „Tylko w zeszłym roku tutaj, w Davos, zakończyłem swoje przemówienie stwierdzeniem, że Europa musi wiedzieć, jak się bronić. Minął rok i nic się nie zmieniło. Zmuszony jestem znów wypowiedzieć te same słowa". Choć Parlament Europejski zatwierdził 90 mld euro pożyczki dla Ukrainy, Zełenski – jak widać – nie uważa tego za przełom i krytykuje przywódców Unii Europejskiej za bierność i niezdecydowanie. Raczej wie, co mówi. Dobrze, żeby te słowa dotarły do stada baranów w Polsce, które ciągle uważają Berlin za gwaranta naszego bezpieczeństwa.

Po bitwie o Pokrowsk Tryzuby chwalą niemieckie czołgi. „To jest Leopard 2A4 ze 155. Brygady Zmechanizowanej. Wysoka celność. Wysoka mobilność. Maksymalna przeżywalność załogi. Sprawdził się w Pokrowsku – misja po misji, w rzeczywistych warunkach bojowych" – czytamy na profilu ukraińskiego ministerstwa obrony w serwisie X. Co ciekawe, 60-tonowe kolosy świetnie spisują się w śniegu. Leopardy to czołgi najliczniej dostarczane na front zachodni, przy czym w większości są to warianty 1A5 oraz 2A4, którym towarzyszy znacznie mniejsza grupa wozów w wariancie 2A6. Przewagę Leopardowi 2A4 nad sowieckimi i postsowieckimi konstrukcjami daje systemem kierowania ogniem EMES 15 z termowizją, zapewniający znacznie lepszą świadomość sytuacyjną. Pisaliśmy już o tym w tygodniku „Sieci" dwa lata temu, co teraz potwierdza się na froncie. Polskie wojska pancerne posiadały 140 Leopardów w wersji 2A4, z których większość została poddana modernizacji do standardu Leopard 2PL przez PGZ i Bumar-Łabędy. 14 egzemplarzy z 140 dostarczyliśmy Ukrainie w 2023 r. Jak widać, niemieccy inżynierowie wyciągnęli wnioski z frontu wschodniego z lat 1941–1945. Nauka nie poszła w las.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 16b4bd8393

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Dwie Polski



Aleksander Nalaskowski

Polska polityka przypomina dziś przeciąganie liny, w którym zamiast liny mamy konstytucję, a zamiast drużyn – dwa zupełnie różne pomysły na państwo. Z jednej strony wizja kraju zakorzenionego w tradycji, podejmującego suwerenne decyzje i ostrożnego wobec rewolucyjnych mód z Zachodu. Z drugiej – projekt Polski „nowoczesnej", czyli w praktyce coraz bardziej zależnej od brukselskich urzędników, międzynarodowych trybunałów i opinii zagranicznych mediów. I dziś to napięcie kreuje niemal każdą debatę publiczną.

Prawica patrzy na obecną sytuację z rosnącym niepokojem, bo widzi coś więcej niż zwykłą zmianę ekipy rządzącej. Dostrzega próbę głębokiego przestawienia zwrotnicy państwa – z modelu, w którym to Warszawa decyduje o Warszawie, na model, w którym najpierw się sprawdza, co powie Bruksela, Berlin albo jakiś komitet ekspercki, którego nikt w Polsce nie wybierał. Spory o sądy, media publiczne czy kompetencje prezydenta nie są więc tylko technicznymi kłótniami prawników, lecz starciem o to, kto ma ostatnie słowo: polski wyborca czy międzynarodowa biurokracja.

Spór polityczny w Polsce nie jest walką o stołki, lecz debatą o tym, czy w XXI w. da się jeszcze prowadzić politykę w interesie własnego narodu

Symptomatyczne jest to, jak łatwo w debacie publicznej przykleja się dziś łatki. Obrona granicy? „Brak empatii". Sprzeciw wobec przymusowej relokacji migrantów? „Ksenofobia". Przywiązanie do tradycyjnego modelu rodziny? „Ciemnogród". Tymczasem dla milionów Polaków to nie są żadne ideologiczne fanaberie, tylko zdroworozsądkowe odruchy społeczeństwa, które przez wieki uczyło się, że państwo musi być silne, granice – realne, a wspólnota – oparta na czymś więcej niż chwilowych trendach z mediów społecznościowych.

Prawica ma powody, by z dystansem patrzeć na zachwyty nad „powrotem do Europy". Polska nigdy z niej nie wyszła – to raczej część europejskich elit coraz częściej oddala się od zdrowego rozsądku zwykłych ludzi. Zielona transformacja prowadzona w tempie, na które nie stać ani polskich rodzin, ani naszej gospodarki. Regulacje klimatyczne tworzone tak, jakby węgiel w Polsce był wyłącznie ideologią, a nie fundamentem bezpieczeństwa energetycznego. Do tego presja światopoglądowa, w której narodowa kultura ma się bez końca tłumaczyć ze swojego istnienia.

Nie chodzi o to, by zamykać się na świat. Prawicowa wizja Polski nie jest wizją samotnej wyspy. Chodzi raczej o to, by współpraca międzynarodowa była narzędziem, a nie kajdanami. Byśmy w Unii Europejskiej byli partnerem, a nie uczniem do ciągłego strofowania. By polski rząd – niezależnie od tego, kto akurat nim kieruje – pamiętał, że jego pierwszym obowiązkiem jest dbałość o interes własnych obywateli, a nie dobre samopoczucie zagranicznych redakcji.

Dzisiejsza scena polityczna pokazuje też, jak bardzo wzgardzono wyborcą o bardziej konserwatywnych poglądach. Miliony ludzi, którzy głosowali na prawicę, są przedstawiani jako problem do „rozbrojenia", elektorat do „zreformowania", a nie równoprawna część narodu. To krótkowzroczne i niebezpieczne. Demokracja nie polega na tym, że po wygranych wyborach jedna strona próbuje moralnie zdelegalizować drugą.

Prawica powinna jednak wyciągnąć również wnioski dla siebie. Samo straszenie liberalną rewolucją nie wystarczy. Potrzebna jest wiarygodna opowieść o przyszłości: o nowoczesnej armii i realnym bezpieczeństwie w niespokojnym regionie, o gospodarce, która daje szanse małym i średnim firmom, zamiast dusić je biurokracją, o polityce rodzinnej, która nie jest hasłem, tylko konkretnym wsparciem dla tych, którzy chcą mieć dzieci i zostać w Polsce.

Polska nie stoi dziś na krawędzi przepaści, jak lubią mówić jedni, ani u progu złotej ery, jak przekonują drudzy. Stoimy raczej na rozdrożu. Możemy pójść drogą coraz głębszego rozmywania suwerenności i tożsamości w imię świętego spokoju z silniejszymi. Albo drogą państwa, które współpracuje, ale nie klęka, które jest nowoczesne, ale nie wstydzi się swoich korzeni.

W tym sensie spór polityczny w Polsce nie jest zwykłą walką o stołki. To debata o tym, czy w XXI w. da się jeszcze prowadzić politykę w interesie własnego narodu – i mieć odwagę powiedzieć to na głos. Prawica odpowiada: nie tylko się da, lecz wręcz trzeba. I coraz więcej Polaków będzie tego oczekiwać od rządzących.

Istnieją dwie połówki naszej Polski. Ale są one z innych zestawów puzzli i nijak nie dają się połączyć w spójną całość. Różnice są tak głębokie, że tylko naiwni mogą szukać porozumienia ponad podziałami. Jest ono po prostu niemożliwe.

eprasa.pl 16b4bd8393

***Michał Korsun prezentuje:* Maska Magdaleny Biejat opadła – nie ma „potrzeby dialogu”**



Wycinki z przeszłości

Zabiegi medycyny estetycznej są dziś coraz modniejsze, ale ich zalążki istniały już przed wojną. W 1933 r. „Express Zagłębia” opisywał zjazd przedstawicieli nowojorskich instytutów piękności, w których „można nabyć sztuczne wargi, nosy, rzęsy, a nawet paznokcie. Sztuczne wargi nakłada się na prawdziwe i trzymają się one całą dobę”. Jak zapewniał specjalista, „za pomocą maleńkiej operacji zdobyć można każdy kształt” – od nosa garbatego po zadarty.

(sp)


EXPRES ZAGŁĘBIA

ODDZIAŁY:

NIEMCY ZJEDNOCZONE POD WŁADZĄ HITLERA.

Nowe prawa w Niemczech — Tępienie komunistów. — Bezwzględne odżydzanie Niemiec. — Ochrona praw

Jak się stać piękną.

Nosy, usta, rzęsy i paznokcie do nabycia.

Nowym Jorku odbył się zjazd, w którym wzięli udział przedstawiciele 32.000 instytutów piękności. Zjazd ujawnił cały arsenał sztuk i sztuczek, do których uciekają się kobiety, aby podnieść swoją urodę. W instytucjach można nabyć sztuczne wargi, nosy, rzęsy, a nawet paznokcie Sztuczne wargi nakłada się na prawdziwe i trzymają się one całą dobę. Para takich warg kosztuje pół dolara a można sobie wybrać dowolny ich kształt. Sztuczne uszy zakłada się również na prawdziwe, jak futerały. Co się tyczy nosów, oświadcza jeden ze specjalistów tego rodzaju — operacyj: „Wielu kobietom podobają się nosy zlekka garbate, nie które chcą mieć nosy zadarte. Za pomocą maleńkiej operacji zdobyć można każdy kształt”. Sztuczne nosy kosztują obecnie 35 dolarów, ale jest nadzieja, że ceny spadną wkrótce.

Rozwiązanie sejmu gdańskiego

Z WOLEJA

Wolę nasze meteory niż obce gwiazdy



Ryszard Czarnecki

Kompletnie nie obchodzi mnie, że Trinity (co po angielsku oznacza „Trójca”), córka koszykarskiej sławy Dennisa Rodmana, po podpisaniu nowego kontraktu z klubem Washington Spirit, stała się najlepiej opłacaną futbolistką świata – za sezon ma dostać ponad 2 mln dol. Równie mało obchodzi mnie to, że dotychczas największą kasę z boiska zgarniała Hiszpanka Aitana Bonmatí z FC Barcelony, skądinąd trzy razy uznawana przez FIFA za najlepszą piłkarkę świata. Nie kręcą mnie zagraniczne gwiazdy sportowego firmamentu. Zdecydowanie wolę czytać – i pisać! – o polskich sportowcach. Dlatego sto razy bardziej niż na Trinity czy Aitanę stawiam na Ewę Pajor – czołową futbolistkę Europy, nawet jeśli podnosi z murawy znacznie mniejszą kasę niż jej bardziej utytułowane koleżanki po fachu.

Zawsze patrzę na sport przez pryzmat polskich sukcesów (czasami porażek). Nie jestem więc w stanie podać wyników finałów piłkarskich mundiali kobiet ani igrzysk, ale nawet obudzony w nocy wyrecytuję, że Biało-Czerwone po raz pierwszy w historii awansowały do finałów Mistrzostw Europy, czyli Euro 2025. Tak samo jest z ligami różnych dyscyplin zespołowych w Polsce i na świecie. Co z tego, że piłkę lepiej kopią w angielskiej Premiership, niemieckiej Bundeslidze, francuskiej Ligue 1 czy hiszpańskiej La Lidze?

Prawdę mówiąc, tamtejsze mecze interesują mnie wyłącznie wtedy, gdy grają w nich Polacy. W gruncie rzeczy nie kręci mnie sportowa „sztuka dla sztuki” i zachwyty nad poziomem technicznym piłkarzy z ligi portugalskiej, ale zajmuje mnie, jak sobie radzi FC Porto z naszymi rodakami – obrońcami Janem Bednarkiem i Jakubem Kiwiorem oraz pomocnikiem Oskarem Pietuszewskim. Nie rajcuje mnie jedna z dwóch najlepszych lig świata w siatkówce mężczyzn – obok polskiej PlusLigi – czyli liga włoska, ale zawsze mnie ciekawi, jak się powodzi drużynie Sir Safety Perugia, bo w niej gra nasz Kamil Semeniuk.

Sport to emocje. Nie potrafię ich w sobie wykrzesać, gdy grają obce kluby bez Polaków w składzie lub obce reprezentacje. No, w przypadku tych ostatnich, jak zdecydowana większość moich rodaków, kibicuję, aby przegrywały Niemcy czy Rosja, choć lista krajów, za które na pewno nie będę trzymał kciuków, ostatnio się wydłuża. Może to ułomność, a może oczywistość, że nie jestem w stanie zachwycić się wirtuozami sportu, jeśli emocjonalnie nic mnie z nimi nie łączy. Od obcych gwiazd wolę polskie, swojskie, nasze, choćby meteory – ich występy naprawdę przeżywam. I basta!

eprasa.pl 16b4bd8393



OD A DO ZYBERTOWICZ

Urządzenie, które unieważniło szkołę

W podstawówkach prawie 4 na 10 uczniów ma w czasie lekcji włączony smartfon, a w szkołach średnich – niemal wszyscy

Chciałam coś sprawdzić w internecie. Ale jeszcze zanim wpisałam słowo w wyszukiwarce Google w telefonie, niechcący kliknęłam tryb przeszukiwania AI.

Poza zwykłym przeszukiwaniem sieci Google oferuje też odpowiedzi automatycznie generowanie przez sztuczną inteligencję. Przeglądarka jest tak sprytna, że jeszcze przed wpisaniem zapytania proponuje tematy: „Cześć Katarzyna! Co Ci chodzi po głowie?". I na wypadek, gdybym nie wiedziała, o co chcę zapytać, dostaję aż trzy podpowiedzi: „Jak zacząć grać w padla"; „Porównaj w tabeli metody parzenia kawy"; „Jakie są rodzaje plastiku i czy wszystkie można recyklinować?".

„Co to jest padel?" – zastanawiam się chwilę. Lubię kawę, ale czy tabela z metodami jej parzenia jest mi do czegokolwiek potrzebna? Chyba nigdy nie zastanawiałam się nad tym, czy jakiś plastik może nie nadawać się do recyklingu. Z tego wszystkiego zapominam, co właściwie chciałam sprawdzić.

POCHŁANIACZE UWAGI

Na portalu wirtualnemedia.pl przeczytałam, że ponad 74 proc. uczniów szkół podstawowych i 95 proc. uczniów szkół ponadpodstawowych ma włączone smartfony lub komputery w trakcie nauki domowej – nawet wtedy, gdy te urządzenia nie są potrzebne do nauki.

Dla prawie 29 proc. uczniów podstawówek i ponad połowy starszych uczniów internet jest głównym (często jedynym) miejscem, z którego czerpią wiedzę. W podstawówkach prawie 4 na 10 uczniów ma w czasie lekcji włączony smartfon, a w szkołach średnich – już niemal wszyscy. Co z tego wynika? To, że spora część z nich – 21 proc. młodszych i aż 45 proc. starszych – korzysta z telefonu nie po to, by coś sprawdzić do lekcji, tylko aby ogarnąć komunikatory i tzw. sociale. Ekran kusi, a szkoła udaje, że tego nie widzi.

Te dane pochodzą z badań przeprowadzonych między wrześniem a grudniem 2025 r. wśród prawie tysiąca polskich uczniów. Kierował nimi prof. Mariusz Jędrzejko, badacz, który psychikę młodzieży i jej skłonność do uzależnień zna jak mało kto.

Z tych badań wynika także to, że gdy dzieci i młodzież korzystają z telefonów, komputerów lub telewizji w sposób niezwiązany z nauką, spada ich ogólne zainteresowanie lekcjami, mają większe problemy z koncentracją na danym zagadnieniu i trudniej im wejść w coś, co można nazwać rytmem uczenia się.

Nie dziwi mnie to. Jaki nauczyciel albo która z tradycyjnych pomocy naukowych w postaci planszy, zdjęcia czy modelu jest w stanie przebić siłę bodźców, które wysyłają smartfony!

NIERÓWNY POJEDYNEK

Smartfon podpowiada i zabawia jednocześnie. Ale przede wszystkim niczego nie wymaga – za wyjątkiem uwagi, którą bezlitośnie kradnie. Ale to się nie liczy. Nauczyciel – nawet najbardziej twórczy, edukujący z największą pasją – i tak w końcu musi egzekwować od ucznia wiedzę, zawsze będzie częścią świata opresyjnego.

Czy szkoła ma jakieś szanse w takim pojedynku? Trudno konkurować z urządzeniem, które nie tylko od razu poda odpowiedzi na każde pytanie. Jest też narzędziem przynależności do grupy (rzekome social media) i daje złudzenie bezpieczeństwa – zawsze można wsiąknąć w jakieś przyjazne uniwersum. A do tego kusi powiadomieniami, podsuwa śmieszny filmik albo mem, przypomina o urodzinach koleżanki i jeszcze informuje, że ktoś właśnie polubił nasze zdjęcie!

Jak tu rywalizować z takim wachlarzem atrakcji? No i smartfon łatwo podładować – nauczycielowi w najlepszym razie pozostaje filiżanka kawy.

ZAMKNĄĆ STREFĘ

Tylko co nam z tej wiedzy, że „smartfon jest winny"? Że uczniom łatwiej zerkać w ekran, niż w skupieniu patrzeć na nauczyciela. Że lekcja przegrywa z TikTokiem, a tablica (nawet ta mulimedialna!) – z powiadomieniem, które trzeba sprawdzić. Przecież to zajmuje „tylko sekundkę".

Punkt ciężkości leży gdzie indziej. Rywalizujemy z urządzeniem zaprojektowanym do kradzieży uwagi i dziwimy się, że przegrywamy. Pozwoliliśmy smartfonowi wejść w rolę, której nigdy nie powinien pełnić.

Całkowity zakaz używania smartfonów w szkole jest jedynym rozwiązaniem. Nie widzę żadnego wytłumaczenia, by nie zrobić tego natychmiast.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 16b4bd8393

wPolsce 24

WIADOMOŚCI

codziennie
19:30
wPolsce 24

Najważniejszy program informacyjny w Polsce

Newsy, komentarze, opinie ekspertów



Piotr Pawelec

Marta Kielczyk

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52 telewizja naziemna
909 921, 196 polsat box
62 CANAL+
192 netia
32 orange
825 vectra
65 339, 121 PLAY
459 inea
631 TOYA
43 evio

eprasa.pl 16b4bd8393

Stawiamy na rozwój telewizji wPolsce24



Mobilne centrum transmisyjne
to **telewizja bliżej widzów**

Chcemy być wszędzie tam,
gdzie **bije serce Polski!**

WESPRZYJ patriotyczne media

numer konta: **69 1020 4900 0000 8202 3036 2577**

tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 16b4bd8393